

283 762

ROK 1917

MARJA DUNIN-KOZICKA

PRZEORANE
SZLAKI

I.

ROK 1917

1

LWÓW — WARSZAWA — KRAKÓW
WYDAWNICTWO ZAKŁADU NAROD. IMIENIA OSSOLIŃSKICH
1928

823061

M A R J A D U N I N - K O Z I C K A

ROK 1917

OPOWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z 8 ILUSTRACJAMI

*„Skrzydłem orłem, lub sokolem
Unosić się nad Podolem,
Tamtem życiem — żyć!”*

Maurycy Gostawski



LWÓW — WARSZAWA — KRAKÓW
WYDAWNICTWO ZAKŁADU NAROD. IMIENIA OSSOLIŃSKICH

1 9 2 8

283 762



Z DRUKARNI ZAKŁADU NAROD. IMIENIA OSSOLIŃSKICH
pod zarządem Adama Wierzbickiego.

283.762

K. 1681/57

ZAMIAST WSTĘPU

Oddźwięk — jaki opis naszych cierpień i krzywd na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej za rewolucji rosyjskiej — w społeczeństwie polkiem wywołał, skłania mię do wydania tej nowej pracy. Listy, otrzymywane od znajomych i obcych, od dalekich i bliskich, od partyjnych i poza partjami stojących, a nawet od Rusinów i z zagranicy — świadczą przekonująco, do jakiego stopnia sfinks rewolucji w Rosji i los jego ofiar interesuje żywo tych wszystkich, którzy w roli obserwatorów, lub też z musu tragicznych aktorów, zdaleka raz jeszcze katalizmowi temu przyjrzeć się pragną.

„Przeorane szlaki“ — są próbą panoramy w literaturze:

55 *Oto moment dziejowy, trwający lat kilka, w rozwoju ludzkości — chwila zaledwo. Oto ludzie żyjący dotąd, a wszystkie ich przeżycia i czyny są prawdą, w ich oczach nieprzeplakane łzy, do ich twarzy przywarło pomimo uśmiechu — piętno przebytej tragedji. I oto dalej, piórem już malowany obraz ich zdruzgotanych prac, ich kraju i życia, ich domostw po miastach i wsiach. A wreszcie — naksztalt perspektywy powietrznej —*

historyczna dal wieków, to tu, to ówdzie rzut oka wstecz dla nabrania oddechu.

Historja — mistrzyni narodów — rzuciła niedawno poza naszemi oczyma krwawolity pas faktów i walk na Rusi (niestety, sowieckiej obecnie), z których wyłania się olśniewająca przestroga na przyszłość. Iść śladami ciepłych jeszcze krwi i łez, tej — tak bliskiej nas epoki przewrotu na ukraińnych ziemiach, podnosić z kurzawy zbrodniczych wydarzeń wdeptane w proch perły bohaterstwa, poświęcenia, cierpienia jednych, doświadczenia drugich i, zebrawszy takie bogate pokłosie, powiedzieć: — Stań, chwilo! — przesuwając ten obraz przed wzrokiem swego narodu — oto zadanie historyka, który ukochał je całą mocą swego umysłu.

Tak. Wielka przestroga wyjawia się w tem podeptaniu uczuć ludzkich dla wywyższenia ogólnoludzkich, jak to uczynili teoretycy-przewrotowcy w Rosji, gdyż ucierpiało na tem prawo etyczne, a pomimo pozornych niesprawiedliwości losu — najgłębsza etyka rządzi wszechświatem. Miljardy słońc, gwiazd i światów kołuje w nieobjętych czasem i niezagrodzonych torach Nieskończoności, a pełny wzajemnej harmonji zakres ich biegu świadczy o doskonałości zawartych w nich fizycznych praw. Taka jest etyka gwiazd. I tylko zrzadka śmignie przez niebo jaskrawy rys zrywającej się z miejsca komety i spadnie w otchłań, nie mącąc wszelako gwiazdzystych dróg.

Na ziemi mści się zdeptane prawo człowieka i prawo narodu. Wszakże i teraz, po ostatniej europejskiej wojnie, upadły lub w swych nadziejach zawiedzione zo-

stały — trzy wielkie mocarstwa, gdyż załamała się przewodnia ich, nieetyczna idea — oś ustalonej napozór potęgi. „Divide et impera“! dewiza Habsburgów dała waśnionym przez tyle czasu podwładnym im ludom samodzielną, państwowy byt, a dawna austriacka monarchja zeszała do roli małego państewka. Pruska „Siła przed prawem“, „Kraft vor Recht“, uległa prawu nieuzbrojonych „od stóp do głów“ Belgów, których mężna obrona naruszonej neutralności przeważyla na szali wyników wojny wszystko, co dalekowzroczny rozum i maksymalna sprawność organizacji niemieckiej przez długie lata ku orężnemu zwycięstwu swemu przygotować zdołały.

„Własť łmy“ — ciemnota ludu — opora tronu, panoszyła się Rosja cesarska i dworska. „Nie sprzeciwiać się złu!“ — wraźali w myślącą część społeczeństwa genialni pisarze rosyjscy, przykrywając krasą swego talentu sączący się z tych słów rozkład etycznych idei. I zwyciężyło zło. Ciemny lud-mściciel wtłoczony dziś, po przewrocie, w anormalne stosunki beznadziejnego w komunistycznym, rzekomo, państwie — problemu kapitału i pracy, inteligencja wygnana, bogactwa Rosji — zburzone.

Powstała natomiast Polska. Ale, jeśli prawdą ma być, że dążenie z powodzeniem do celu — jedynym szczęściem na ziemi, to z chwilą dojścia do śnionej przez naród całej niepodległości — straciła Polska swe szczęście — zyskując cel. I nieraz słyszeć się dają głosy: — Hasła nam brak! I celu brak — celu takiego, który zjednoczyłby we wspólnym, zgodnym polocie, rozdarty partyjną waśnią, nasz wolny naród!

Ależ ten cel, to hasło narzuca się wprost naszym oczom — świetlany punkt na zasepionem przestworzu. Skoro mógł Szymon Konarski, wielki Polak rewolucjonista, wstrząsnąć sercami niewolników-Polaków na Litwie i Rusi, zagrzewając ich do wydania społecznej walki gnębiącemu kraj cały caratowi pod hasłem: — Przez lud — dla ludu! To pierwszy szczebel do uzyskania niepodległości! — to czyż nie stać nas — którzy żyjemy w radosnej chlubie odzyskanej wolności — na bardziej wzniosłe i jeszcze piękniejsze cele: — Przez lud — dla narodu! Przez naród — do utrzymania Niepodległości! A choć rozgrzewa się nazbyt mocno wschodnia Twa ściana, o Polsko nasza! od rozłożonego u groźnego sąsiada ognia zagłady — trwaj dalej w odwiecznem Swem dostojęństwie — „niestrudzonej tarczy“ chrześcijaństwa całego!

O, gdyby te iskry bohaterstwa lat dawnych i przedwczorajszej, krwawej doby, jakimi przetkana ta książka, mogły rozpalić ogień niegasnącego, trwałego zapału — gdyby to hasło zjednoczyć nas miało i wydać na wszystkich ziemiach zjednoczonej Polski zbiorową myśl przetworzenia rychło nieoświeconych warstw na ceniących swe prawa, znających obowiązki — obywateli kraju, — jakże wówczas piękniemi, jak pod nowy zasiew bogactemi — stałyby się owe przeorane szlaki polskości — nie! bierzmy szerzej — szlaki ludzkości!

M. D. K.

I.

18 MARCA 1917 W SZAMRAJÓWCE

Wiosna przyszła wcześniej na kresy w 1917 roku. Już na początku marca szeroki wiatr przeciągał nad Podolem, niosąc ciepłe powiewy zbliżających się słonecznych dni. Wobec tych zapowiedzi, narzucona na pola i jary biała płachta śniegowa poczęła zwolna tracić kryształową odporność zamrozi i nakształt szarzejącej, kruchej powłoki, zmieniała się wraz z powierzchnią warstwą odtajającą już ziemi w zawiesziste, podolskie błoto. Tylko po wzgórzach wychylać się jęły podsychnające koleiny „rzemiennej“ drogi i liczne, wydeptane ślady stóp ludzkich biegły bokami, tworząc wąskie i kręte ścieżki. Kilkunastu poważnych i zamożnych gospodarzy wiejskich szło gromadnie takimi ścieżkami pod górę, zdążając ku rysującej się przed nimi sadybie dworskiej. W brunatnych świtach i ogromnych czapach barankowych na głowie wyglądali zdala na ciemnym podłożu obnażonej ziemi jak malowany sepją obraz. Za nimi — na przeciwległym wzgórzu — błękitniały ściany licznie rzuconych chat urodzajnej, w lityńskim powiecie leżącej, podolskiej wsi, Szamrajówki, bielone według miej-

scowego zwyczaju ze znaczną domieszką farbki i w otoczeniu czarnych, bezlistnych sadów zbiegały ku stawowi, który niekiedy jak stalowa tarcza odbijał szaryznię nieba, to znów, niby modra chusta, leżał rozpięty pomiędzy brzegami. Teraz jednak powłoka lodowa przykryła go, jakby olbrzymie oko — usuwając się pod naciskiem wód — bielmem.

Chłopi szli żwawo, podpierając się grubemi kijami i rozprawiając z zakłopotaniem i uciążliwą świadomością powagi chwili.

— ...a chociażby my do sądnego dnia dziwowali się temu, co na łby nam zleciało — kończył jakąś dłuższą przemowę statecznie i z rozważą Łukjan Danilczuk — i językami tak właśnie młócili jakby cepami na klepisku — to jeszcze niczego lepszego by przydumać nie mogli, jak to, że idziemy popytać o wszystko „Stefana“. Przemyślny on, a chociaż „pan“ — zawsze taki „swój człowiek“! Chadziajin¹⁾ też dobry i „tołk“²⁾ ma, taj hodi! —

— Wiadoma rzecz! Hromada wetykij czołowik! — przytaknął spokojnie Jakow Ditiuk. — Hromada tak poreszyła³⁾ — to znaczy rób tak i słuchaj, a przez to odpowiedzialności ty żadnej na plecach nie niesiesz! A nasz „Stefan“ — niczego pan. Chociaj lubi on z dziewczkami swoje sprawy prowadzić, a łzy babskiej na sumieniu ani jednej on nie ma! Po dobrej woli do dworu ty szła i sama już dawno detyną nie była, to nie becz teraz, durna, jak bębna na kolanach pohoćkasz! —

1) Gospodarz. 2) Roztropność. 3) Postanowiła.

Hrehorko Waruszczaak zaśmiał się na całe gardło:
 — Co wam Bóg dał, diad'ku Jakowie? Poco jej beczec, kiedy pan jeszcze potem wesele paradne sprawi i krowę da i chatę pod blachą postawi? A sam — w pierwszej parze tańczy, a pije naumór, aż ze łba mu się kurzy, a bacz, nie widział ja nigdy, żeby bez przytomności w kącie się zwałił! Mocny ma łeb, a serce jak z masła! —

— Ostawcie już te pochwały! — sarknął jakiś zniecierpliwiony głos. — I ja przeciw panu nic nie mam! Znamy się z nim od bachora i niejedną, bywało, noc my przy koniach, na łące przewartowali, jak to panielcem jeszcze ze dworu oknem wyłaził! Ale teraz ważniejsze sprawy na dumce są! Co to nam przyniósł ten 18 marca?!... Aż strach pomyśleć! Nie będzie już prawdy na świecie, oj nie!

— Kto go tam wie?!... Może tak — a może i nie! — bąknęły niezdecydowane głosy.

— A jak to te „szkubenty“ (studenci) gadały, co to rzadko, a potem coraz gęściej po siołach łązić zaczęły: że dopiero wonzas naród biedny szczęściem aż się zachłyśnie, kiedy carskich sług i przysłużników precz szwyrnie od siebie! Kiedy ich za ręce białe ułapi i z tych złotych stolców pościąga, żeby od złodijstwa, ta krywdy narodu sadłem nie obrastali! Wonzas dopiero nastojaszczaja (istotna) prawda w Rossiji bude! —

— Czekajcie na prawdę, czekajcie! — zakrzyknęły w odpowiedzi inni. — Lżej wam będzie na duszy. Gdzie głowy niema, tam bezhołowie! —

Weszli już gromadą przez bramę, w dworskie obejście i, mijając folwarczne budynki, skierowali się ku dworowi. Było to niewielkie, zaledwo o siedmiu pokojach, ale zamożne, szlacheckie domostwo, widne dziś zdala przez strzępiaste draperje nagich i rozłożystych drzew. Na wiosnę znikiała ta kresowa placówka polskości pod baldachimem szumiących olbrzymów i zdawała się być zakotwiczona gdzieś na dnie falującego morza zieleni, wśród okalających ją poza parkiem, tubylczych chat. Piękny sad owocowy, chluba podolskiej gleby, dźwigał rok rocznie uwieszone, niby kolorowe błyskotki pośród gałęzi, — rumiane jabłka, złociste bery, aromatyczne morele i śliwy, a bujne krzewy osypane bywały czerwienią porzeczkowych i malinowych paciorków. Sześćset dziesięcin starannie uprawnych pól i znaczne na nich plantacje cukrowych buraków dawały prawdziwy dobrobyt nie tylko właścicielowi, ale i całej szamrajowieckiej ludności, przysparzając jej zarobku w zmieniających się porach roku. Wewnątrz — dwór był dostatnio i wygodnie urządzony, bez żadnych pretensyj do stylów i sztuki. Czuło się tu odrazu nie blichtr zagadkowej fortuny, ani też upodobanie w subtelnym wykwincie, jeno rubaszną nieco zamożność pewnego siebie szlachcica. Kochano się, snadź, w tym dworze nie w dziełach sztuki, ale w myślistwie, koniach i broni.

Właściciel Szamrajówki, Stefan Rożański, kawaler w starszym już wieku, siedział owego dnia przed południem na staroświeckim, wygodnym fotelu w swoim

sypialnym pokoju, będącym kancelarją zarazem, i czyścił starannie lufy pięknej dubeltówki. Przy łóżku wisiał na ścianie wspaniały dywan, przedstawiający tygrysa w szalonym skoku, pędzącego przez spaloną od słonecznego żaru dżunglę, z zadartym groźnie ogonem i błyskającymi białością kłami. Arcydzieło to wyścibały na krosnach misternym, gobelinowym ścięciem jakieś cierpliwe ciotki, wyczekując napróżno na konkurentów, w latach panieńskich marzeń.

Okazy przeróżnej broni, polskiej, tureckiej, angielskiej, nowej i starożytnej, ułożone ze smakiem, wypełniały środek przeciwległej ściany. Po bokach — jelenie rogi, dwa orły z rozpostartymi skrzydłami i głowa dzika — trofea myśliwskie wraz z rzuconymi na podłogę skórami wilków i niedźwiedzi, stawiały żywo w pamięci urok łowieckich wypraw i tajemniczej, nęcącej kniei. Szlachetne matki stadne w otoczeniu rasowych źrebiątek, ogniste araby i cienkonomie angliki spoglądały z mahoniowych, szerokich ram na wnętrze pokoju, wyginając z fantazją wysmukłe szyje. Pan Stefan zatrzasnął lufy i jedną ręką wzniosł poziomo faworytalną swą strzelbę, jakgdyby oceniając po raz tysięczny przedziwną jej lekkość.

Nagle klamka przy drzwiach brzęknęła znacząco i kredensowy Onyśko wpadł do pokoju: — Proszę pana! Diad'ki ze wsi przyszli do pana!

— Niech wejdą! — rzekł natychmiast Rożański.

Ale już gromada ciemnych świtek ukazała się na progu, tuż prawie za głową chłopaka. Snadź mistrz ceremonji byłby zgoła zbytecznym w tym dworze.

W pokoju zrobiło się nagle ciasno i słyhać było przez dłuższą chwilę szurganie grubych „czobotów“ (butów), odgłos pocałunków, składanych na ręce „pana“, i dźwięk życzliwych słów powitania. Wreszcie gospodarz odsunął się nieco od chłopów, obie ręce włożył w kieszenie domowej kurtki i byстрыm wzrokiem jął wodzić po wszystkich. Stali tak naprzeciw siebie: on — niewysoki i barczysty, szatyn z czupryną na jeża, w obcisłych butach o lśniących cholewach, tamci — w sukiennych świtach z wielkimi czapami w ręku. Znał wielu wśród nich niemal od dziecka, gdy wspólne tajemne wyprawy ze strzelbą do lasu, harcowanie na pasących się po łąkach żrebakach, sypianie pokotem na wonnym stogu podczas rosistej letniej nocki — czyniły te przejawy swawoli czemś tak bardzo swojskiem i drogiem dla owych rozhukanych urwiszów.

— No, no! — rzekł pan Stefan, kręcąc głową z uśmiechem — ilu was tu jest?! Przynajmniej ośmnastu! I co to się stało, że tak licznie przyszlście do mnie?

— Abo to pan sami nie wiedzą?! — odezwał się poważnie Jakow Ditiuk. — Skinuły cara!

Nie było w tych słowach wybuchu uczuć, ani gniewnego protestu — raczej spokojne skonstatowanie faktu. Podolski chłop o wiele jest stateczniejszym i zrównoważonym, niż ukraiński, na którym bliskość i wpływ zuchwałych siczowców pozostawiła wyraźny ślad.

Rożański ważył coś w myślach przez chwilę:

— Zrzucili cesarza! No tak! Czytałem sam o tem w „Dzienniku Kijowskim“. Więc co?!

— Proszę pana! — przemówił już nieco goręcej Hrehorko Waruszczak. — Jakże to tak?! Bez gospodarza i pola obsiać nie podużajesz, a taka wielka Rossija bez gospodarza teraz ma być?!

Rożański wykręcił się na pięcie i wrócił do swego fotela. Chciał zyskać chwilę dla odpowiedzi. Rozsiadł się wygodnie i nogę na nogę założył:

— Moi kochani! Człowiek strzela, a Pan Bóg — kule nosi! To nasze polskie powiedzenie, ale wy pojmujecie, o co tu chodzi. Przeczytaliśmy ludzkie wyroki, ale Bóg — ostatniego słowa jeszcze nie rzucił!

— Ne bude z toho dobra! — zakrzyknął któryś ze słuchaczy z uporem.

— I co nam robić? — zaczął znów wolno i poważnie Jakow Ditiuk. — My tu do pana przyszli po radę. Szo nam teper robyty?! Jak pan dumajut?!

— Czekać na nowe ukazy jakiegoś rządu! — rzekł nieco wykrętnie pan Stefan.

Na tle powstałego nagle w chłopskiej gromadzie rozgwaru Ditiuk ciągnął dalej swą zmierzającą ku określönemu już przedtem celowi — przemowę. Kresowy bowiem chłop, o ile nie zmieni się w podjudzony, oszalały tłum, niechętnie stawia kwestję na ostrzu. Przeciwnie — jest raczej dyplomatą o naiwnie przebiegłych, ale gładkich sposobach.

— Pereproszajem pana, ale nasza dumka inaksza! Jakże tak siedzieć w tej głuszy i czekać, kiedy tam —

na świecie, każda minutka ciekawa?! A my tu nie nie wiemy, jakby te ślepce pod cerkwią! Dobrze my się namoroczyli, póki hromada ot co przydu-mała: — Nikogo teraz słuchać nie chcemy, tylko naszego pana! Idźcie do niego i proście, niech za-raz jedzie „na вокзаł“. On chytry na wszystko, to już będzie sam wiedział, kogo za język pociągnąć!

Rożański skrzywił się nieznacznie i musnął dwa razy odwróconą dłonią puszyste, rudawe wąsiki. Nie w smak mu było to narzucane przez wieś przodownictwo, w przełomowej, niepewnej chwili. Od kiedy przeczytał w „Dzienniku Kijowskim“ 15 marca pio-runującą wieść o nagłej detronizacji Mikołaja II, osądził natychmiast, że epoka spokoju runęła w prze-paść, a kotłujące wiry mogą wyrzucić na powierzch-nię zarówno rewolucję, jak i nawrót do jeszcze ostrzejszego caratu. — Zje djabła, kto teraz zgadnie, co będzie! — myślał. — Rozkosznaby była depor-tacyjka „za rewolucjonnoje podżigatielstwo“! ¹⁾ A Szam-rajówka?! Ból ścisnął mu serce jak kleszczami i spoj-rzał przez okno na znany od dziecka widok. Nie mieszać się do tych zdradzieckich spraw, które, jak tryby rozpedzonej maszyny, mogą wciągnąć i zmiażdżyć śmiałka na proch! Odmówić odrazu! Bo po-tem — zna siebie! Od łyeczka — do rzemyczka! I pisz — na przepadłe!

— Moi kochani! I poco mam jechać na dworzec? Stacja niewielka — droga psia!

1) Podżeganie.

— My pana duże prosymo! Nechaj pan nam wże zrobłał ciu łasku! — przemówili gorąco chłopi. — Teraz będzie właśnie pociąg przechodził. A może kto z „Adesy“ znajomy się znajdzie?! A może naczelnik w telegramę uderzył do Kijowa?! Tam jego córka siedzi. A może przychwycił jakie słówko na drucie?! Nechaj pan budut łaskawi i nie odmawiają nam! My ciemni — nam prowodyra trza!

Rożański milczał, wpatrując się w połyskujące końce butów.

— Proszę pana — nacierali dalej chłopi, podchodząc blisko do gospodarza. — Czy my kiedy pana nie posłuchali, jak żniwo było, albo buraki na polu?! Czy u pana wysypało się kiedy, Boże chroń, ziarno na pszennym, abo-li owsianym łanie?! A może zamarzyły buraki w ziemi?!... Ot temi rękami — chociaż z zimna grabiały, abo w mokrym pocie od żaru słoneczka oślizgły — wszystko my panu wiązali, kopali, nocami do fabryki cukru buraki wozili! A pan teraz od nas się stroni! W naszą stronę — jak cudzy — spoglądać nie chce!

— Niech was kule biją! — zakrzyknął pan Stefan, porywając się z fotela i odtrącając go porywezo wtył poza siebie. — Jadę!!! Onyśko!! — grzmiał tak przezywającym głosem, że fale dźwiękowe lecąc przez drzwi i korytarz, targnęły na pewno gdzieś aż w kredensie słuchem Onyśka. — A obścapiacie człowieka dookoła aż czarno! Jak te muchy, do djaska, co to w lecie opadną nieszczęsne chabety!!! — rzucił zukosa spojrzenie w stronę drzwi:

— Zaprzęgać! Kasztany! W poręcz! Szaraban!!!
A w mig — do kroćset!... Rozumiesz! — Onyśko stał już od chwili na progu z rozwartą jak wrota gębą. Cała jego postać wyrażała bezbrzeżną uległość, poza którą skakały trwożliwe refleksje: — Jak dobry, to niby chleb z masłem! A jak zły — kładź uszy po sobie i tylko czuj duch!

— Aha! — kiwnął głową z przejęciem i wypadł z pokoju.

Pan Stefan zagłębił się znowu w fotelu. Milczał. — Wzięli mię... I to wbrew mojej woli! — zeznawał gniewnie przed sobą. — To tylko początek, a potem — od kłębka do nitki, czy jak tam, u djaska... a losy wsi już na mojej głowie! — Chłopi odsunęli się w kącie pokoju i stali również bez słów, mrugając niekiedy znacząco na siebie: — Nechaj wysapajetsia! — takie było ogólne, racjonalne mniemanie. Tylko wsunięty w przeciwległy róg, szafkowy zegar tykał sekundy z melodyjną sprawnością. Upłynęło tak z kilka minut. Wreszcie pan Stefan poruszył się na fotelu, głowę zwrócił ku ciemnej masie brunatnych świtek i rzekł, nawpół rozbrojony:

— No, no! Już widzę, że nie wykręcę się od was! Chcecie iść moim rozumem, ale czy wiecie, że niebezpieczna to dla mnie i dla was rzecz?! —

Chłopi rzucili się ku niemu, wyciągając ręce:

— Diakujem! Diakujem!! Dziękujemy panu! Pan sami znają, że „za durną głową i nogom bieda!“ Pan rozum ma i szczęście na wszystko! Teraz będą pan sobie nami „komandowali“, a my pań-

skiemu słowu wierzymy lepiej, jak batuszce w cerkwi! —

— Słuchajcie, proszę pana! — odezwał się Danilczuk głębokim głosem. — Po sprawiedliwości i po prawdzie wszystko to się zrobiło! Naszi „bat’ki“ żyli dobrze ze starym, pomerszym¹⁾ już panem, a my — z panem razem wyrosli! To i teraz nam razem, w kupie, trzymać się trza!

Rożański wstał, rękę położył na ramieniu jednego z gospodarzy i miękko przywodził: — Dobrze mówicie! Z tej samej my ziemi wyrosli!

Rozpędzony Onyśko wetknął głowę w szparę od szarpniętych z impetem drzwi, zostając przezornie za progiem:

— Gotowo, proszę pana! we trzech my zaprzęgali. Mykoła już wdziewa kozuch i krzyczy: — Leć duchem do dworu! Ja wraz zajeżdżam!

— Przygotuj mi kozuszek i burkę — rzekł zwyczajnym tonem Rożański.

— Zaraz, proszę pana! — wrzasnął służbiście uradowany chłopak. Przemierzył korytarz wielkimi susami i zdejmując ze stojących w przedpokoju szaragów sławucką burkę, pomrukiwał ochoczo:

— Sława Tobie, Hospody! Już przeszło! Będzie teraz znowu dobry — na długo! — Czwórka kasztanów w bałagulskiej uprzęży, brzęcząc donośnie wielkimi „kwartami“, zatoczyła koło od stajni i zatrzymała się przed bocznym gankiem dworu. Była to

1) Zmarłym.

maść faworytalna pana Stefana, twierdzącego, iż „kasztan, jeśli się uda, zje diabła, kto go zgoni“! Na koźle siedział w dworskiej, bronzowej burce, z wykładanym czerwonym sukniem kapturem na plecach, podpasany szerokim, skórzanym pasem z klamrą i w nasuniętej na bok z zadzierzystą fantazją czapie — furman, Mykoła, Ukrainiec rodem, który przybywszy tu zdała na jakieś wesele, ostał się już w Szamrajówce, przystawszy, jak to mówią „w przyjmyci“ do bogatej „wdowyci“, której spodobał się płowy wąs, jasna czupryna, błękitne oko, a nadewszystko siarczysta we wszystkim fantazja dziarskiego przybyśza. Wbrew rozpowszechnionemu pojęciu, iż „każda wdowa zalety męża pamięta, a wady z nim chowa“, małżeństwo to żyło niezwykle zgodnie i Mykoła stał się Podolakiem całą duszą. Wyprostowany i jakby wykuty z kamienia, trzymał teraz czwórkę osadzonych na miejscu kasztanów, na tak wyprężonych lejcach, jakgdyby go za chwilę nad brzeg przepaści ponosić miały! Był to zupełnie specyficzny, jemu tylko właściwy szyk furmański i potrzeba wykazania własnego, w każdej chwili gotowego do czynu, bohaterstwa. Wyglądał też w tej niezmiernie pokojowej i codziennej roli woźnicy, jakgdyby stale brał diabła za rogi?

Rożański wyszedł ze dworu w słynnej z trwałości bronzowej sławuckiej burce i takiej-że czapce. Bystrem spojrzeniem objął cały zaprząg i dostrzegł natychmiast, iż wszystko jest we wzorowym porządku. Za nim — wysunęła się gromada włościan. Sprężyscie wskoczył na szaraban — Onyśko otulał mu ko-



Pan Stefan jedzie na dworzec

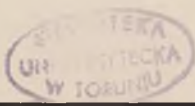


lana i nogi wielką baranicą, podwijając ją pieczołowicie po bokach.

— Z Bogiem! — rzekł do Mykoły — Ruszaj! A z początku pomału, bo prawa orczykowa żrebna!

— To się wie! — odrzucił zuchowato woźnica — Wio, maluśkie! Wio, hej!

— Z Bogiem! — padły jeszcze za nimi ostatnie pożegnalne okrzyki gromady.



II.

REWOLUCYJNE WYBORY.

Kiedy pan Stefan powrócił z kolejowej stacji o zmierzchu do domu, zastał już cały tłum szamrajowieckich chłopów, wyczekujących go niecierpliwie. Otoczyli wnet zabłocony szaraban, przepychając się jedni przez drugich, byle z oczu „pana“ wyczytać jak najspieszniej dobrą lub złą wróżbę.

— Macie nowiny! — rzucił im Rożański z wysokiego siedzenia — cesarz z rodziną uwięzieni w Carskim Siole! Wielki książę Michał wyrzekł się tronu! Rosja bezpańska! Naznaczony Rząd Tymczasowy! Naród sam ma powiedzieć przez usta swoich przedstawicieli, jak chce być rządzonym! Swoboda!!!

Dech zamarł w piersiach słuchaczy. Stary świat zwałił się w gruzy. Jakoby po runięciu niebotycznego, przysłaniającego im wzrok, rusztowania — nieznanego, odkryte już teraz dale — nużyły myśl swym nieobjętym rozmiarem. Wielkie zadania i nowe cele przerastały o wiele prymitywne ideały tego osłupiałego, chłopskiego tłumu. Rożański schodził z szarabana, wlokąc za sobą po zabłoconych stopniach obszerną burkę. Stanął na ganku, twarzą

do ludzi. Patrzyli wzajem na siebie, bez słów. Nagle — pojedyncze wykrzyki, poparte ogólnym, pełnym uznania pomrukiem, wydarły się z piersi zebranych chłopów:

— Jakaby nie była swoboda, a bez „chadziajina“ (gospodarza) — dobra ne bude!

— Jutro z rana przyjdźcie do mnie na naradę, co teraz nam czynić wypadnie, — rzekł pan Stefan tonem obranego już wodza. — Zmęczony jestem i głodny, a przytem ziąb taki dziś na polu przeciąga, że gdyby nie te barany, przemarzłbym setnie! Prawdziwa marcowa pogoda! Więc czekam was jutro. Im wcześniej — tem lepiej! Żegnajcie! — zdjął czapkę z głowy na pożegnanie i wszedł do dworu.

— Ostawajcieś z Bohom! — zakrzyknęła gromada i ruszyła powoli z miejsca, kierując się ku wielkim wrotom folwarcznym.

Od owego przełomowego dnia życie pana Stefana i jego wsi zmieniło się z niewysłowioną mocą kontrastu. Cicha Szamrajówka wypłynęła na ocean rewolucji rosyjskiej. Jak na stalowej tarczy zwickłane rysy po zadawanych przez przeciwnika ciosach, podobnie zawile i groźnie marszczyła się bezbrzeżna jej toń pod nawiewem jeszcze dalekiej burzy, ogarniającej płomieniem wschód. W powietrzu odczuwało się niewiadomo skąd płynące wicherzenie. Pomimo to, w Szamrajówce najzaciejsi i stateczni gospodarze mieli stale liczebną i moralną przewagę. Na nich to opierał się Rożański, przyjąwszy ofiarowaną mu rolę opiekuna i przywódcy całej swej wsi. Jakby na

wielkim korabiu, nieprzystosowanym do nowoczesnych wymagań, z chętną raczej, niż fachowo uzdolnioną załogą — kierował pan Stefan losami Szamrajówki, trzymając się ostrożnie brzegów i lawirując wśród wyłaniających się z każdym dniem trudności.

Nastał początek kwietnia i wzburzenie, podsycane umiejętnie przez agitatorów, jęło się przejawiać wśród okolicznej, wiejskiej ludności, jako nieprzyjaźń względem dworów i „panów“, wybuchając już nawet w ostrych, otwartych potępieniach i słowach zawiści. — Krwio pijcy! Gdyby nie oni — te lasy i pola i łąny byłyby nasze! Skinuty ich, jak skinuły cara!

— My już sami widzimy, proszę pana, — oznajmili zafrasowani chłopci na naradzie we dworze, — że u naszych parobczaków, nawet tu, w Szamrajówce, głowa na dawnym miejscu nie stoi! Niechaj pan będą łaskawi naznaczyć w niedzielę „schod“ przed cerkwią, na stepku. Potrzeba im dobrze roztołkować, żeby nie durły i nie przydziwiali się do innych głupich wsi! Ludej słuchaj — a swój rozum miej! —

Niedzielny dzień był przepiękny. Pod naciskiem orzących już od paru tygodni pługów, ziemia rozwarła swą pierś i w przenikających ją promieniach słońca dyszała świeżą wonnością odwalonych skib. Wewnętrzne tętno jej życiodajnych, zbudzonych sił niosło, w szybkim obiegu, krążące w komórkach drzew, odżywcze soki. Barwiły się lekką kaskadą młodego listowia czarne kontury pobliskich lasów. Staw migotał wdole złotemi blaskami. Nieskazitelne lazury niebios opływały wokoło dalekosiężny widno-

krag, niby mistyczna zasłona, odgraniczająca doczesność ziemską od tającej się za nią wieczności. Dębowa cerkiewka na wzgórzu wyglądała zdała jak ciemna czasza, wrosnięta brzegami w gładkość wygonu.

Malowniczy tłum wysypał się z niej po ukończeniu „służeniju Bożem“. Mężczyźni w samodziałowych kurtach i wyszuwaksowanych na glans wysokich buciskach, w „kaszkietach“ na głowie, mołodyce i baby w kraciastych chustach i wełnianych spódnicach, — dziewczuchy z wymykającemi się z pod kwiecistych „czółek“ pękami kolorowych wstążek, we wzorzystych fartuszkach na barwnych spódnicach, w oblegających jędrne kształty zgrabnych „kaftankach“, w żółtych obowiązkowo butach.

Na szerokim stepku przed cerkwią zawrzały wnet gawędy i śmiechy. Baby trajkotały hałaśliwie, znośząc skwapliwie imponujące, rewolucyjne nowinki o „rozpustnych“ wsiach okolicznych i zaklinając się w międzychwilach z ferworem, że „jej Bohu, prysiej Bohu“ — vse ce prawda, a ne brechnia!“

Mężczyźni stali poważnie na uboczu, pykając fajki, albo kurząc zlezione napoczekaniu z bibułki i „machorki“ tak zwane „cygarki“. Przerzucali się niekiedy słowami powściągliwie i spokojnie. Tęgie parobczaki zabawiały udatnemi — na chłopską miarę — żartami, rozchichotane dziewczęta. Błyskały białe, prześliczne zęby — ten zwykły powab wiejskiego ludu, tryskały zewsząd weselość i życie, tak bogate i bujne jak ścielący się dookoła krajobraz.

Nie zdoła nikt ująć piórem niepożytego piękna

kresowych ziem! Niebo i gleba ślą sobie wzajem czarowne odbłyски: zatapia się szmat lazuru w modrą powierzchnię Sni-wody, a łan pszeniczny przetrzuca poszumne swe złoto wślad za nikiem słońcem na niebios roztoce. Goreje słońce, uchodząc na nocny spoczynek, jak serce płomienne, tęsknotą rozstania palone, a pożegnalna smuga czerwieni zmienia się zwolna na nieba perłowem podłożu w różane i złote kwiaty. Jak step — to step! A tak bezbrzeżnie daleki, że, zda się, ziemia cała w stepową płachtę spowita!

Albo-li też podolski jar: urwisko, krzewami i drzewem zarosłe — zielona czeluść — bijąca fontanna słowicych trylów — tajemnicza świątynia natury, w której na dnie — mieszka driada. Stepowy szlak — rzemienny pas, chatami przydrożnych wsi nabijany. Podolska droga — jak wąż się przetacza przez pola i góry, pełną żółtawem cielskiem to wdół — to znów, okrążając zwysoka, leżące u stóp jej łany i sioła.

Taką to drogą jechał Rożański z przeciwległego wzgórza, zdążając z domu na „schod“. Ze względu na bliskość owego zebrania, Mykoła zaprzęgił do wózka tylko parę złotych kasztanów, które zdawały się rwać jak szalone wobec wyciągniętych, niby poręcze u mostu, rąk woźnicy. Ubrany dziś odświętnie w granatowym, sukiennym płaszczu ze srebrzystymi guzami i w takiejże czapce ze skórzanem denkiem, w białym, krochmalnym kołnierzyku (li tylko o to bywały sceny z żoną, gdy się niechcący przyżółcił), wypomadowany i wyszczotkowany

jak jaki „graf“ — Mykoła jaśniał już zdała urokiem dworskiej kultury. Zatknięty przed nim w skówkę przy koźle, żółty i giętki bat — sterczał wyniosłe jak symbol, zbędnej w tym razie, furmańskiej czujności. Chyląc się nieco w bok, zatoczył w rozpędzie szerokie koło przy wjeździe na wygon i stanął, ściągawszy lejce ku sobie: — Hou — ho! Hou — ho!... Prrr! Wy chłopaki, Podolaki!

Dziewczęta pierzchły z płochliwym piskiem, nie wiedząc, do jakich granic Mykoła posunie ryzykowność furmańskiej swej sztuki i widząc lby końskie przed sobą, a on — z wyżyn kozła — wodził po wszystkich błękitnem okiem, uśmiechając się filuternie pod wąsem.

Rosły parobczak kuksnął w bok piękną Małankę, bogatą szamrajowiecką gospodarską córkę:

— Chciałaby ty takiego mieć dla siebie w komorze?! Ha?!... wybuchnął śmiechem. Dziewczyna zachichotała cicho, przykrywając twarz ręką i odwracając z udaną wstydlivością, ot tak, dla ceremonji, jasną głowinę w czółku z wstążkami.

Rożański wyskoczył z wózka i szedł ku gromadzie mężczyzn, uchyliwszy na powitanie czapki: — Zdorowi ludy! — rzucił przyjęte ogólnie pozdrowienie.

— Daj Boże zdrowia! — odparli jednogłośnie, podchodząc ku niemu z obnażonymi głowami. — Dawno już na pana czekamy. Pora zaczynać. Bahaćko jest spraw na dumce!

Kobiety natychmiast usunęły się na stronę. Sam rodzaj fizycznej pracy na wsi uniemożliwia emancy-

pację kobiet — życie kładzie tu wyraźny przedział pomiędzy zakresem czynności gospodyni chaty, a jej męża lub ojca. Wrodzony zaś konserwatyzm sprawia, iż patriarchalny ustrój rodziny mianuje męzczyznę kierownikiem, odpowiedzialnym za losy wszystkich.

Pan Stefan zagaił „schod“ przemową, mającą na względzie przede wszystkim młodzież wiejską, na której wrażliwym umyśle odciskały się już wyraźnie podszepty, rozżagwiające w niej ogień nienawiści i gwałtów. Mówił prosto i jasno, dobierając słów i porównań, mogących trafić do chłopskiej, skomplikowanej wskutek ciemnoty, psychiki, oczywiście — w języku ruskim. (Tego bowiem zawsze używała szlachta kresowa przy obcowaniu ze wsią, pozostawiając polszczyznę dla własnego użytku. Stąd powstało między chłopami dziwne, lingwistyczne pojęcie: „pańska mowa“ — i „mużyćka“!)

— Znajęte wże, ludy dobre, że cesarza niema — wszystko się zmieniło i my — powiódł ręką szerokim gestem dokoła, podkreślając równość i łączność obecnych — jesteśmy gospodarzami Ukrainy. Powołano nas do wzięcia udziału w rządach — a wiecież wy, co to znaczy rządzić?! Nawet w chacie poznać odrazu, czy siedzi tam łedacza baba, czyli też pracowita i skrzątna „chadziajka“! I w niewęlyczkiem gospodarstwie trza się porządnie natrudzić i niejednen raz krepko „poszewęłyty mozhamy“,¹⁾ aby wszystko wporę było zrobione i jakaś kopiejka w kie-

1) Popracować mózgiem.

szeni została. A cóż dopiero mówić o takiej przegromnej Rosji?! Ileż tu pracy trzeba, ile trudu i czystego sumienia, żeby nikomu krzywdy nie było, a przeciwnie — ład i porządek i sprawiedliwość, gdziebyś okiem nie rzucił! Wiecie sami, że zesзли się my tu wszyscy nato, aby ustanowić nowy porządek. Okażcie się tedy wartni tego, że z was wolnych „hrażdan“ zrobiono! Szanujcie cudze prawo, bo tylko wtedy i was ludzie szanować będą. Na nieważności i pomście jeszcze nikt nie zbudował prawdy, tak jak niemasz pomiędzy nami takiego opętańca, któryby w pocie czoła zdobyte ziarno do ognia, albo li do błota garściami wysiewał! Ludy dobre! Mówię wam jak przyjaciel prawdziwy: Nie zadraszczajcie cudzego dobra! Jak będzie potrzeba i reforma rolna ziemią się z wami podzielić każe, to — wiercie memu słowu — wszyscy „pany“ takiego „zakonu“¹⁾ posłuchać muszą! Wy nam potrzebni, to prawda — a któż wam daje niejedną setkę karbowańców zarobić?!... Trzymajmy się razem, jak dobrzy sąsiedzi, aby nie trza nam było takiej gorzkiej nauki, jak tym synom pomierającego ojca! Znacie to wszyscy: Pęku gałęzi mocno związanych, nie mógł żaden z nich, pomimo siły wielkiej przełamać! Ale każda zosobna, na kolanie przygięta, trzaskała z łatwością, jakoby pręt strupieszwały. Więc poniechajcie złych myśli, bo może ci, co was tak do gwałtów podmawiają pocichu — sami jakąś swoją korzyść w tem mają.

¹⁾ Prawo.

I niech ta Szamrajówka przykładem dla innych wsi będzie, że „pan“ i „hromada“ mogą żyć, jak drухy serdeczne! Niech nam Bóg mocny błogostawi w tej wspólnej pracy! Amen!

Rożański się rozgrzał własnymi słowami i przemawiał z rzetelnym zapałem:

— Światu prawdu każe!¹⁾ — wzdychali chłopci półgłosem. — Sprawiedliwie! Dobrze mówi! Ono po prawdzie tak i jest!

Parobczaki tłoczyli się za plecami starszyny, wyciągając szyje, by dojrzeć lepiej, stojącego poza wałem dorodnych, chłopskich postaci, niewielkiego wzrostem — mówcę. Popularność bowiem pana Stefana była tak znaczna w okolicy, iż na zwołany przezeń „schod“ zjechali się ludzie z trzech wsi. Powstały wówczas z rozporządzenia rządu „komitety sielskie“, nietylko jako organ rządzący w każdej poszczególnej wsi Ukrainy, ale przedewszystkiem mające na celu kontrolę nad gospodarstwem dworskiem w obawie, rzekomo, marnowania skarbów tej ziemi przez „pana“ i konieczności regulowania stosunków pomiędzy wsią a dworem.

Było to wielkie ustępstwo dla chłopskich mas, a nawet wprost wyraźne im schlebianie, gdyż marne i pierwotne gospodarstwa włościan kresowych nie były w możności — z braku niezbędnych wiadomości fachowych — ani dorównać, ani tem bardziej — przodować w świetnej uprawie skarbowych łąnów.

1) Świętą prawdę mówi.



Pilawa, dawniej Czarneckich-Lubieszowskich, w ostatnich czasach rozparcelowana, znajdująca się niedaleko smutnej pamięci Pilawiec



Śpieszność zaś robót polnych czyniła samą naturę gorliwym sprzymierzeńcem ludności wiejskiej, umiejscowionej z tego korzystać przy cenach najmu swych rąk — przytem rzetelność wypłat skarbowych nie ulegała nigdy najlżejszym wahaniom i o skrzywdzeniu robotnika — mowy być nawet nie mogło. Zostawały jednak nieuregulowane serwituty — ta pięta Achillesowa wiejskiego ustroju na kresach, i w nią mierzyć poczęły, gdzie jeno się dało, jakoby oskardy podważające skałę „pańskiej“ samoistności, — owe sławetne „komitety sielskie“.

Na twarzach niektórych chłopów, a zwłaszcza młodzieży, przybyłej z sąsiednich wsi, nie wyłączając i kilkunastu szamrajowieckich parobczaków, malowała się w czasie przemowy Rożańskiego — tajona złość. Wiatr agitacji przyniósł już im wiadomość, jak to baćko Chmielnicki sprzął kiedyś przed laty laskich „panków“! Jak uciekali przed nim w popłochu, rzucając ładowne bogactwem wozy! O ziemię, o lasy, o „pasowyśka“ zielone — wojował ów „Chmiel“, — wódz narodu niezłomny! Majaczyła się im jego sroga, obwisła twarz, rozrośnięte, jak u niedźwiedzia, bary i oko płomieniem zażgnięte... Hej! Hej! atamanie przestawny! Chytryżeś — jako lis, a miodem dla druhów twe serce zalane! Jak orzeł — piorunem spadasz gdzieś z chmur, a jako stepowy wilk — krew zwyciężonych chłepcesz łapczywie! Ten „Stefan“ nawołuje do zgody, do pracy!!... Niczego on „pan“ — to prawda, aleć w uszach brzmią znów wspomnienia podszechuwających słów: — Należli tu

do was te Lachy, jak wielkie mrówczyśka do miodu! A w dworzyszczach rozsiedli się sławnych, palcem o palec z nieróbstwa uderzyć nie chcą, z potu narodu bogactwa gromadzą, obwiedli się wkoło murami, albo-li częstokołem drewnianym — „z rozkoszi durijut“¹⁾ — Abo to nie tak?!... — myśleli. — Rozjeżdża sobie taki „pan“ od świtu do wieczora po polach, po lasach, przynagła wszystkich do pracy, a jeszcze i we dworze, bacz — to tu, to tam, niesie go czart! Aż dziwo?! I kiedy on śpi, taki syn?! A baczył kto może, żeby te pańskie, białe ręce przy sierpie lub przy kosie namozoliły się krwawo?!... A nad rzędzikiem „pędzonych“ buraków nagiął ty kiedy przez cały dzień tą hardą „spynę“²⁾

I przelatywały szczere słowa Rożańskiego koło uszu ciemnych, podjudzonych mołojców, niby woda przez rzeszoto zlewana, nie poruszając wcale ich, tchnących pomstą i zawiścią — dusz. Za plecami starszych gospodarzy hamowana dzikość strzelała im z oczu — rozdęte nozdrza węszyły już dym pożarów, zmieniających te „pańskie gniazda“ w kupę zetlałych żużli... Won, pany! Idit choť do czorta!!! A „zemelkę“ nam ostawcie na wieczne władanie, bo inaczej?!...

Milczeli jednak, panując nad sobą z układną przebiegłością, o ile tylko sił im starczyło, wobec przeważającej stokroć ilości zacnych i statecznych gospodarzy wiejskich. Z powodu bowiem stałego zasi-

1) Z rozkoszy szaleją.

2) Plecy.

lania armji nowemi rocznikami zostali wówczas po wsiach tylko starzy lub też bezwase młodzi.

Rożański już skończył i wnet Jakow Ditiuk wysunął się z koła męskich postaci, podchodząc bliżej do niego:

— Diakujem panu! Sławno pan howoryły. I z rozumem i z serca, aż dusza tajała. Durny będzie ten — kto powie inaczej! Daj, Hospody Boże, żeby ta nasza „pracia“ tak składnie poszła, jako te słowa panowe! A teraz i nam potrzeba, tak jak „powsiudu“ (wszędzie) — zrobić swój komitet. Nechajże pan budut łaskawi i sami naznaczą „komitetczyków“.

— Tak! Tak! — zagrzmiały głosy. — Nechaj pan naznaczejut! Pan nas najlepiej znają i sami wiedzą, do czego który ma głowę!

— Zgoda, — rzekł pan Stefan — proponuję wam zatem przedewszystkiem naszego starostę.

— Sohłasny! Sohłasny! 1) — gruchnęły okrzyki ze wszystkich piersi.

Starosta wyszedł powoli na środek utworzonego przez zebranych chłopów koła, odpiął medal od piersi, wznosił rękę wysoko, ukazując go w ten sposób uczestnikom zebrania, i oznajmił z powagą:

— Jak teraz nastały insze poradki — to i ja ne chocz u buty carskim sługą! Wybierajcie komitet i niech ta „mendal“ u niego na przechowaniu będzie. Może kto kiedy spyta?! A „komitetczykiem“ ja ochotnie zostaję.

1) Zgadamy się!

Wybrano tedy i zatwierdzono jednomyślną uchwałą „schołu“ jeszcze czterech, najuczciwszych i najzamożniejszych chłopów, wedle wniosku pana Stefana i tak powstał szamrajowiecki „Sielski Komitet“. Wybrani stanęli przy sobie zwartą grupą i, wiodąc wzrokiem po całym zebraniu, spytali donośnym głosem:

— Czy wy wsi sohlasny na wybór i czy będziecie nas od tej chwili słuchać?

— Sohlasny! Zgadząmy się! Rozporządzajcie się teraz, jak sami myślicie!

Tak trwało do Wielkanocy. W czasie świąt miało być zebranie w „wołosti“ (gminie) dla przeprowadzenia nowych wyborów administracyjnych. Na kilka dni przedtem otrzymał Rożański listy od okolicznych obywateli, proszące go o stawienie się w gminie na oznaczony dzień. Jednocześnie niemal przyjechała doń delegacja z dwudziestu dwóch wsi, w liczbie trzydziestu trzech chłopów — z usilnem również życzeniem i naleganiem, by „pan“ im nie odmawiali bytności swej w „wołosti“, gdyż tam na ogólnym zjeździe ziemian i chłopów ma się wyjaśnić sytuacja polityczna. Wobec obustronnych zaprosin nie wypadało, oczywiście; odmówić. W dzień wyborów ciż sami komitetowi, uważając widocznie za swój obowiązek „przypilnowanie“ pana Stefana, żeby im czasem się nie „zbuntował“ — zjechali powtórnie do Szamrajówki. Burzyło się coraz bardziej w całej okolicy, więc pragnąc występować już jako pełnomocnik chłopów, w nadziei, iż w ten sposób zdoła przysłużyć się sprawie jakiegoś ogólnego uspokojenia umysłów,

Rożański kazał wyciągnąć ogromny wóz, zabrał nań kilku swoich gospodarzy i trzech obcych delegatów i taką gromadą stanął przed drzwiami „wołosti“ w oddalonem o piętnaście wiorst od Szamrajówki — miasteczku. W dość obszernej sali posiedzeń zebrali się już ziemianie z sąsiedztwa i kilku rządców z większej własności. Ujrawszy przez okna podjeżdżający wóz z zawadjackim Mykołą na przodzie, a za nim pana Stefana wśród rozprawiających „diad'ków“ — rzucili półgłosem z należytem uznaniem:

— Macie go! A to dopiero sprytna bestja ten Rożański! Witajcież się z nim obojętnie, żeby nie zachwiać zaufania doń chłopów! Może jakoś zdoła poprawić tę djablo-niepewną pozycję!

Zebraniu ziemian i włościan przewodniczył sędzia pokoju. Zaczęły się narady na temat sytuacji politycznej. Wreszcie — przewodniczący zaproponował, aby obecni, jako przedstawiciele większej i średniej własności ziemskiej, jako też chłopów — wyłonili z pomiędzy siebie wyborców i naznaczyli kandydatów do objęcia rządów gminnych, albowiem dotychczasowi urzędnicy cesarscy muszą być usunięci ze zajmowanych stanowisk. To ogólne zebranie okazało się dość licznem dla przeprowadzenia tych reform, gdyż wyborców stanęło sześćdziesięciu dwóch i ci — po naradzie — poddali pod głosowanie jedenastu kandydatów. Na „preśdiateła Wołostnowo Ispołnitelnowo Komitieta“¹⁾ — postawiono kandydaturę Rożańskiego.

1) Prezes gminnego Wykonawczego Komitetu.

Głosowanie było tajne i odbywało się zapomocą rzuconych do skrzynki na „białą“ i „czarną“ stronę gałek, a gdy przewodniczący po odbytej już ceremonii podniósł wieko — ujrzano ze zdumieniem jednakową mniej więcej ilość gałek w obu przegrodach.

— Doskonale — pomyślał z zadowoleniem Rożański, a głośno skonstatował: — Widzę, że nie chcecie mnie na waszego prezesa, skoro rzucacie mi czarne gałki!

— Jakto nie chcemy?! Ależ my tylko pana! tylko pana!! — buchnęły ze wszęch stron gorące protesty.

— Nie liczyć! Nie liczyć! Jeszcze raz głosujmy! — krzyczeli ogłuszająco bardziej uświadomieni. — A mówiliśmy wam, bałwany, suń palce na prawo i rzucaj!

— Wybaczajcie, proszę pana, szo my wam kidały (rzucali) źle, ale my szcze ne znajemo, szo ce robyt-sia i jak robyty! — usprawiedliwiali się niemniej hałaśliwie tamci. Powtórzono więc głosowanie i tym razem pan Stefan wyjechał z urny triumfująco, na białych li tylko gałkach.

Poddawano następnie pod głosowanie dziesięciu, niezbędnych dla całości władzy gminnej, kandydatów i wybrano jednego rządcę, jednego obywatela — pozostałych wśród włościan, a wszystko prowadził z surową pedanterją przewodniczący wraz z dwoma pomocnikami, sekretarzem i dwoma członkami kontroli, aby cała działalność była w „rewolucyjnym porządku“. Na pomocnika Rożańskiego obrano niepiśmiennego chłopca Petra Olijnika. Ponieważ jednak posiedzenie ciągnęło się długo, więc zniecierpliwieni włościanie zapropono-

nowali nowemu prezesowi: — Szob my ne zbałamytyły, to wy sobi, proszę pana, wyberajće, koho wam treba, a my zatverdymo! — Pan Stefan — dla ulegalizowania tej uproszczonej nagle czynności — przedstawił kilku znanych sobie dobrze kandydatów, których chłopci natychmiast hucznie i jawnie akklamowali, wznosząc w górę pośpiesznie ręce. Trzeba bowiem jeszcze było wypić za zdrowie i szczęście nowoobranego prezesa suty „mohorycz“, co się uczyniło gładko i już nie w „rewolucyjnym“, ale w dobrze znanym „starym“ porządku. Jedenasta w nocy — ciemno, choć oko wykol, rozgrzęziona błotnista droga. Trzech podpitych chłopów mknie naprzód na małych, ale rącznych konikach — jaskrawa smuga płonących, trzymany w rękę na długich żerdziach kagańców przerywa czarnośći nocy, jak trzy hulające, błędne ognie. Za nimi — wraca na wielkim wozie do domu pan Stefan z szamrajowiecką gromadą. Tęgo urznięty Mykoła, któremu chłopci wynosili pokryjomu przed „panem“ niejedną czarkę, prostuje wciąż uciekającą gdzieś odeń głowę i nie wie sam, czy to on trzyma rwące za łuną kagańców kasztany, czyli też te czworonogie biesy jego ściągają przemocą z wozu. Dojechali tak bez wypadku do domu — nad szaleńcami bowiem czuwa hulaszczy i rozpląsany wśród winnych gron — Bachus! Pomimo wcale niezłego „wstawienia“ pan Stefan nie czuł nawet lekkiego szumu w uszach. Zeskoczył z wozu na ziemię — wokoło niego kręcili się na swych koniętach oddani mu przewodnicy. Kagańce w ich rękach jaskrawiły się czerwonym, wy-

dłużonym płomieniem, rzucając rozedrgane blaski na stojącego przed nimi „pana“. Przemawiali doń z jakimś pijackim rozczuleniem:

— Chwałyty Boha!... Szczęśliwo dostawły my pana do domu!... Ehe!!... Lahajte spaty¹⁾, proszę pana!... He he he he!...

— Z Bogiem! Wracajcie do chat! A pamiętajcie, co postanowiono w wołosti: jutro, raneńko zjechać się tam, wybrać komisję, która zda mi księgi i kasę! — Rożański odmierzał wyrazy z takim naciskiem, jak-gdyby wbijał gwoździe do belek.

— Bud'te spokojny! A wzez! Pamiatajem!... Pan sprawdzi dumajut, że my bez rozumu z pochmielja! He he he he!... Abo to pan nie znają, że u muzyka, żeby nie wiedzieć jak głowa wódką zalana — to jeszcze po wierzchu pływa!... Ehe!... Dobrej nocy panu życzym!... Dobrej nocy!... He he he he!...

Ale odpowiedzi już nie było. Pan Stefan zniknął za drzwiami ganku, które nie były nawet zamknięte na klucz. Tak postanowił stróżliwy Onyśko, rachując na swą nadzwyczajną czujność. Tymczasem jednak, pomimo powrotu „pana“, wyciągnięty na łóżku w kredensie chrapał zawzięcie niby wędrowna orkiestra, z dętych i rzniętych, do Sasa i do lasa, grzmiących instrumentów.

Mykoła już odjechał do stajni. Tamci wszyscy, których zabral z „wołosti“, wygramolili się z trudem (wobéc mocnego „zawiania“) z wozu, przejeżdżając

1) Kładźcie się spać.

poprzednio przez wieś i, płacząc trochę nogami, rozszli się do chat.

Przed dworem został stróż nocny z dębowym sękatym kijem w ręku i począł namawiać wesołych jeźdźców do rychłego udania się na spoczynek.

— Z ogniem w ręku, a „horilka“ aż bucha! — mrucał do siebie. — Borony Boże, jeszcze jakie nieszczęście!... Siano na toku!...

— Jedźcie już, jedźcie, sąsiady! Ja was sam wywiodę aż za wrota folwarczne, a tam — niech Pan Bóg prowadzi! A zgaście lepiej kaganki! Czy to wy i po nocy do swoich chat nie traficie?!

— Czego czepiacie się do nas, diad'ku Matwiju?! Nie zgasimy! — upierali się tamci. — Niech cała wieś znaję, z jaką to ceremonją my naszego „Stefana“ odwozili! A będzie z niego „predsiedatiel“, aż lubo! He he he he!... My jemu jeszcze jutro obiad paradny w „wołosti“ zrobimy! Ehe!!...

Poczłapali wreszcie drobnym truchcikiem przez dworskie obejście w stronę wsi i tylko uśpione tu i tam psy porywały się z przed budynków i chat i gniewnie szczeptały wśród nocnych ciemności wślad za przesuwanymi się blaskami szkarłatnych języków płomienia.

III.

W DAL WIEKÓW.

Rok 1863 jest decydującym zwrotem w stosunkach polsko-rosyjskich na Rusi od chwili rozbiorów i przyłączenia tych ziem do Rosji. Stał się on bowiem owym ciężkim młotem, rozkruszającym autonomję Polaków w trzech zabranych prowincjach, którym Katarzyna przyrzekła najsolenniejsz w chwili ich zajmowania — trwałość i wolność wiary, języka, prawa polskiego i równouprawnienie dla szlachty z uprzywilejowanymi klasami rosyjskiego imperjum. Powstanie 31 roku nie zaważyło ujemnie na polskim stanie posiadania — konfiskat wówczas było niewiele, a ziemianie wyrównali wkrótce utracone obszary, skupując je — o ile się dało — zpowrotem. Dopiero teraz padła na głowy kresowych Polaków paląca obelga ze strony carskiego rządu: — Buntowszczyki! — pod którą wyczuli swoją gorzką, poddańczą niewolę. Nie przemawia się tak bowiem do równych, jeno do niższych, lekceważonych podwładnych, a jedną z najpoważniejszych przyczyn tej radykalnej zmiany tonu było nietylko zupełne niepowodzenie ruchu powstaniowego, ale i postawa włościan-Rusinów, którzy, dając wiarę zręcznie

szerzonym pogłoskom, że „pany“ w ten sposób protestują przeciw obdarzeniu ich ziemią — wydawali tułających się po lasach powstańców i należących do ruchu ziemian — w ręce przedstawicieli caratu.

Ożywiły się bezbrzeżne przestrzenie Sybiru. Przez osnieżone pustkowia, przez szkliwo lodu zamarzłych rzek — ciągnęły jak czarny, żałobny sznur wśród tej bieli — partje skazanych na katorgę lub osiedlenie powstańców. Skurczyły się pod cięgami konfiskat posiadłości polskie na kresach, wzbogacając jednocześnie warujących na straży caratu „patriotów“ rosyjskich, legła na pozostałych wysoka, rozłożona na szereg lat kontrybucja, wszedł do szkoły, nakazany zamiast polskiego, język wykładowy państwowy, usunięto z administracji i kolejnictwa urzędników Polaków, zastępując ich napływowymi Rosjanami, aby wzmocnić element, który i przedtem czuł swoją siłę wobec donacyj dawnych królewsczyzn, starostw, konfiskat — wobec taniego kredytu w subwencjonowanych przez rząd „szlacheckich bankach“, co ułatwiało nabywanie polskich, pozbawionych tego oparcia majątków. — Kandydatom do posad w trzech „zabranych gubernjach“ dawano ułatwienia i przywileje, aby zrusyfikować kraj jak najszybciej, ku czemu służyć miał nakaz obowiązkowego używania w rachunkowości, w handlu, na szyldach i w miejscach publicznych — li tylko języka rosyjskiego. Tak walił grom praw wyjątkowych za gromem w kresowych Polaków, a zło-wieszczy „ukaz grudniowy“, wydany dnia 10 grudnia 1865 roku, wzbraniający im nabywania ziemi

na Podolu, Wołyniu, Ukrainie — jak ciężka kłódka zamknął dwa końce narzuconego na nich łańcucha.

Zagrożeni wydarciem podstawy swego istnienia, otoczyli kresowcy niezmierną, fanatyczną miłością tę resztę ziemi ojców i dziadów, jaką im rząd zaboreczy zostawił, tę żywą historję „zdobyczy pługą polskiego“ i wysiłków oręża przodków, tych rycerzy-rolników, którzy ongi tu — na rozgranicze dwóch światów kulturę łacińską, cywilizację Zachodu, przez trud morderczy, przez bój uporczywy z pogaństwem — lat tyle z zapalem nieśli. Obowiązek wojenny był tu wprost koniecznością, więc tylko to, co tęszem, wybitniejszym się czuło, co miało rozmach, fantazję, a nawet wybujałość energii — rwało się do tych dalekich, a dzikich ziem, gdzie lemiesz naspół z orężem przetwarza uroczyska, stępy i bory w uprawne pola. XVII wiek — to najświetniejsza epoka tego niepowstrzymanego pochodu kolonizacji polskiej. Długim łańcuchem — od Dniestru aż poza Dniepr — jeżą się groźnie zameczki obronne, a kresy pogaństwa wdół odsunięte, ku morzu. Najpotężniejszy — po kamienieckiej twierdzy ze wszystkich ówczesnych grodów strażniczych — Bar — patrzy na cztery tatarskie szlaki. Przewód ziem pustych, niezamieszkałych siedliszcz — okrył się wsiami i miasteczkami. „Ukazały nam to stany koronne“ — mówi konstytucja za króla Zygmunta Wazy z 1590 roku jeszcze — „że z tak wielkiej szerokości państw naszych pustych, jaka jest na pograniczu ukraińskiem — pożytków nie-masz. Żeby odłogiem nie leżały, ustawujemy, że nam

wolno będzie rozdawać te pustynie na wieczność osobom stanu szlacheckiego, zasłużonym wedle zdania i woli naszej.“

Temi szlakami szła Polska Piastów i Jagiellonów — i przez te kresowe obszary, o wiele lotniejszy i bardziej rzutki od swego starszego, królewskiego brata — księżę Witold litewski myśl swą potężną o brzegi morza Czarnego opierał, a wjechawszy weń konno i zbrojno — „panem“ się jego ogłosił¹⁾, — nad Dniestr graniczny łańcuch zameczków rozciągał — Karauł u Raszkowa, Czarnogródek u starożytnego Tyrasu ujścia, przeciw Białogrodu pewnie, a nad „limanem“ już Daszów (Oczaków później), i z portu nad morzem, Kaczybej zwanego, słał wraz z Jagiełłą oblężonemu przez Turków cesarzowi greckiemu — zboże z niw polskich.

I na tych szlakach Jazłowieccy z Jazłowca harcowali najchętniej przez długie lata, a tak im ta obrona podolskich i czerwonoruskich ziem miłą była, że mawiano o nich po całej Polsce: — Obóz im domem, odzieniem — zbroja żelazna, tańce z Tatarami — zabawą!

Nowy urząd, nowy wojenny zaszczyt powstaje wówczas w konstytucjach polskich: „rotmistrz na Podolu“. Za Tatarzynem on ugania, z drużyną strażniczą nieprzyjaciela dopędza, lud w jasyr wzięty odbija, aż dzwięczne, rozkołysane dzwony kościelne i uroczyste nabożeństwa powracających witają, radosnem wese-

1) Autentyczne.

lem sycą, zasłużone lubo krótkie wytchnienie wieszając, albowiem nowa łuna pożarów w oddali rzuca postrach ludności, groźne ostrzeżenie — strzegącym kresów „strażnikom trzech szlaków“. Więc ci rotmistrze waleczni, a czujni, wojnę w auly tatarskie chcą przenieść, by wroga krwawego w gnieździe jego własnem na Krymie zgnieść bezlitośnie. Tak czyni Latałski, po nim starosta śniatyński, Mikołaj Jazłowiecki, lecz od sprzymierzonych kozaków i Wołochów opuszczon, zwyciężony, ze wstydu i zgryzoty rychle umiera. Szczęśliwszy odeń, wznosi się sztuka wojowania znakomity ów Bernard Pretwic, herbu Wczele, starosta trembowelski i barski, jak orzeł bystry po tych szlakach z rozpostartemi skrzydłami lekkiej jazdy latając, pod Oczakowem, Kilją, Białogrodem tysiące Tatarów miażdżąc, oswobodzone gromady ludu z niewoli na ziemie kresowe śląc z powrotem, aż padyszach skargi do Rzeczypospolitej zanosi nań, a gmin piosenkę układa z wdzięczności:

Za pana Pretwica — spała od Tatar granica!

I na tych krwią zlanych krańcach warował ongi jak „sabak“ (pies) stróżliwy Stefan Chmielecki, szlachcic ubogi, na „służnej“ wioszczynie osiadły, a pod Cecorą zbyt rychło z chorągwią własną uchodzący, co jako skazę na honorze rycerskim głęboką, życie całe w owych bojach z pohańcem niezmordowanie ścierał. Na usypiska wysokie, ręką niby olbrzymów sypane, wyjeżdżał, wzrok czujny jak ściśle sokoły w step daleki wysyłając, czyli się trawy nie zakołyszą zdradnie pod przemykającym się czambułem tatarskim,

a koń pod nim cisawy, myśli swego pana uległy, jak posąg z brązu stał nieruchomy, podczas gdy rycerz na strzemionach się wzniosłszy, owych groźnych, nie-nasyconych napastników wietrzył. I nie czekał wcale, aż się po kraju nieszczęsnym rozniosą, jeno na rubieżach spotkawszy, na czele pancernych i kozaków trzepał zajadle, aż matki tatarskie dzieci swe nim, jakoby bogiem zniszczenia straszyły. Tak z rotmistrza na jurgielcie u Tomasza Zamoyskiego wojewodą kijowskim się stał, „zasłudze krwi“ wszystkie dostojęństwa zawdzięczając, gdyż srodze zgromił w 1623 Islemi-murzę, potem Nuredyna sułtana pod Białocerkwią rozbił, 11.000 nieprzyjaciela na polu walki zostawując i równie świetne zwycięstwo pod Uściami, u brodów Dniestrowych, odnosząc. I o nim lud wdzięczny za możność pracy w spokoju, piosenkę śpiewał:

Cny Chmielecki, mężu sławny, jakiego czas nie miał dawny!
Nie jeden wiek, nie dwa minie, a twa sława nie zaginie!

I osłoniła ta kraina kresowa, jako najistotniejsze „antemurale Christianitatis“, pierś Europy, która poza nią mogła spokojnie rozwijać się i kwitnąć, podczas gdy po tej „niestrudzonej tarczy“ dla obcych narodów sączyła się nieustannie krew, przelewana w imię zwycięstwa idei chrześcijańskiej. I nie tylko płynęła obficie krew — ale i łzy jaśniały w oczach pogromcy niewiernych — króla Jana III, a głos mu drżał ze wzruszenia, gdy rękę do ewangelji przyłożywszy, rotę traktatu Grzymułtowskiego powtarzając, wyrzekął się i oddawał Moskwie po wieczne czasy Kijów z pię-

ciomilowym obwodem, Smoleńsk, Czernichów, Starodub, Hadziacz, Niżyn, Połtawę z olbrzymim obszarem ziem zadnieprskich, w tym celu jedynie, by zyskawszy dla Polski pokój od wschodu, swe zobowiązanie względem „świętej ligi“ wypełnić i wciągnąć do uporczywej walki z półksiężycem otomańskim nowego, kupionego taką ciężką ofiarą sprzymierzeńca.

Więc za taką wierność nauce Chrystusa umiłował Bóg te ziemie, jakoby wielka rzymska arena krwią bojowników za wiarę przesiąkłe, i obdarował je hojnie miejscami z cudów słynącemi: w Tynnie — dawnem Humieckich dziedzictwie (potem ks. Karola Nassau de Siegen, admirała floty rosyjskiej), gdzie w dniu 2 lipca tysiące napływają pobożnych na odpust łaskami słynącego obrazu Najświętszej Panny, — legenda głosi, że nazwę swą zawdzięcza Tynna odgłosom dzwonów, jakoby z pod ziemi w tem miejscu przed jej założeniem pobrzmiwających. W Brahiłowie — w kościele XX. trynitarzy przez Franciszka Salezego Potockiego wzniesionym, największym i najpiękniejszym po kamienieckiej katedrze (potem na monastyr prawosławny zmienionym), — sławiła się ongi tak zwana „madrycka“ figura Pana Jezusa, do kapliczki cmentarnej następnie przeniesiona. W Tarnorudzie, na samej granicy, ileż Pan Jezus cudowny w cierniowej koronie — modłów kornych wysłuchał, w Krasnem, w Tywrowie, w Berdyczowie, w Laticzowie — tej Częstochowie podolskiej, stolicy Matki Boskiej, nieustającą swą łaską dookoła promiennej, w Barze przez Zygmunta Starego Bonie podarowa-

nym, która, będąc właściwą miasta założycielką, dawny Rów na pamiątkę włoskiego Bari przemianowała, ufortyfikowała, relikwie św. Mikołaja przewiozła. Nietylko odpustem, rzesze ludu dorocznie w dniu tego świętego ściągającym, zasłynął Bar, ale w nim koncentrowało się społeczne życie na Podolu. Tu — był starostą Bernard Pretwic, tu odbył się wspaniały pogrzeb Stefana Chmieleckiego, tu — hetman Stanisław Żółkiewski pisał swój przepiękny testament, ciągnąc tędy z wojskami na pola Cecory, z których nie sążone mu było powrócić, i tu mieszkał ongi ogniasty i czysty duchem „prorok konfederacji“, ksiądz Marek i zachowaną została ambona, z której miewał kazania.

Nie dziw więc tedy, że niwa bohaterskiego Podola wydała konfederatów barskich — tych rycerzy Marji, o których tak mówi ich pieśń:

Nigdy z królami nie będziem w aljansach,
Nigdy przed obcym nie ugniem szyi,
Bo u Chrystusa my na ordynansach,
Słudzy Maryi!

Nie złamie nas głód, ni żaden frasunek,
Ani zhołdują żadne świata hołdy,
Bo na Chrystusa my poszli werbunek,
Na Jego żołdy!

I nie dziw, że marszałek tej konfederacji, mającej na celu — podobnie jak tyszowiecka — wyparcie z kraju obcych, rozzuchwalonych najeźdźców i protest przeciwko ich bezprawiom (gdyż wtedy przeważnie wszyst-

kie sejmiki przedsejmowe odbywały się pod przymocą rosyjskich wojsk) — Józef Pułaski, piszący się na Pułaziu, Grabiowie, Derażniach, Hołuboczu i t. d., „centum villarum haeres“, kawaler krzyża świętego, starosta warecki, strzemiecki, świdnicki, marszałek związkowy wojska koronnego, posiadający 108 wiosek i kilkanaście miasteczek, złożył tę całą fortunę na potrzeby osaczonej przez wrogich sąsiadów Polski i z trzema synami na czele sił zbrojnych stanął. Chociaż konfederaci barscy nie zgłębili sposobów ratunku uwikłanej Rzeczypospolitej, trzymając się starodawnego, szlacheckiego układu, ale w ich wystąpieniu skryształizowała się cześć deptanego narodu.

Wiekowy, sześćdziesięcio-pięcioletni marszałek takimi słowy zagrzewał do boju swych towarzyszy:

Panowie, to miejsce stoi, to miejsce Bar się nazywa,
 Tu my — rycerze bez plamy, z odkrytą przed Bogiem głową,
 Pod chorągwią Jezusową,
 Za kraj nasz poumieramy, zatknąwszy wieczne sztandary
 Dla miłości prawd i wiary!

Poprzez dziejowe odměty snuje się w dalszym ciągu owa tradycja umiłowania ponad wszystko inne — polskiej idei na ziemiach walczącego lat tyle Podola. W 31 roku, Wacław Jełowicki z Charpaczki, za przykładem Pułaskiego trzech synów w bój za utraconą niepodległość prowadząc, na koń wraz z nimi przed dworem swym wsiada. Jedyna córka, Hortensja, mężnie mu strzemię podaje, a on ją żegna pełnemi żalu słowy:



Wacław Jęłowicki z trzema synami
Z wydawnictwa paryskiego (1831 r.) „La vie des cent Polo-
nais célèbres“



— Szkoda, żeś się chłopakiem nie urodziła! Zabrałbym i ciebie chętnie na tę potrzebę!¹⁾

Zaciąga się wówczas również książę Roman Sanguszko z pobratymczego Wołynia, gdzie w starym grodzie, Krzemieńcu, nie książąt ruskich, a królów polskich był zamek, a później niezapomniane dzieło Czackiego — Liceum — z jego ducha, poświęceń i darów wzniesione.

Po zakończonem niepomyślnie powstaniu matka pragnie młodego księcia od zesłania i katorgi ratować, — układa tedy wraz z przyjaciółmi podanie do cesarza Mikołaja I, wyjaśniając w syna imieniu, iż rzucił się w wir walk „z rozpacz i żalu po śmierci żony“. Dają mu do podpisu ten dokument w więzieniu, lecz książę Roman przekreśla wszystkie uniewinniające go wywody i dopisuje dwa słowa: „z przekonania“.

Ślą tak zgruntu zmienione podanie do Petersburga, a cesarz Mikołaj I, przebiegłszy je wzrokiem, kreśli gwałtownie wyrok:

— Pieszkom w Sybir! (pieszo).

Nie brakowało wówczas i wśród starych sług — bohaterów. Po rozbiciu pod Majdanem przeszedł generał Kołyszko Zbrucz w Satanowie i złączył się w Galicji z generałem Różyckim. Ostatnim postojem

¹⁾ Rodzoną prawnuczką Wacława Jełowickiego była Ewelina Jełowicka z Basztańkowa, która tak ofiarnie i mężnie wybrała się do Moskwy w celu ulżenia losowi zakładników polskich i własnych braci, wywiezionych przez bolszewików w 1919 r. (Burza od Wschodu).

jego wojsk na Podolu była Szarawka Mirskich. Tu — pan odjeżdżając, rozkaz wydaje staremu słudze: — Zawrzesz za nami wrota! Podeprzesz drągami! A nie puść Moskala, dopóki starczy ci sił! — Spełni się — przemówił stary uroczyście. Zabrzmiała pobudka: — Na koń! Broń w dłoń! Na koń!

Wojska polskie z okolicznych ziemian, młodzieży z palestry i urzędników złożone, wyruszyły na zachód, pod górę, kierując się w stronę austriackiej granicy, a stary pozostał sam w opustoszałym dworze. Nadleciał wprędce oddział Moskali. Padł strzał jeden i drugi z poza wysokiej bramy. — Zasadzka! — wykrzyknął dowódca. — Czuwają! Z koni! Bierz szturmem! — Trzaskają wreszcie ciężkie zawory, hurma żołdatów pcha się przez wrota. Na ganku dworu stoi sam stary sługa i w ciżbę ze strzelby mierzy. Rozkaz dowódcy zagrzmiął w powietrzu: — Kali! Na bagnety!

Spełniło się... Do ostatniej kropli krwi z żył...

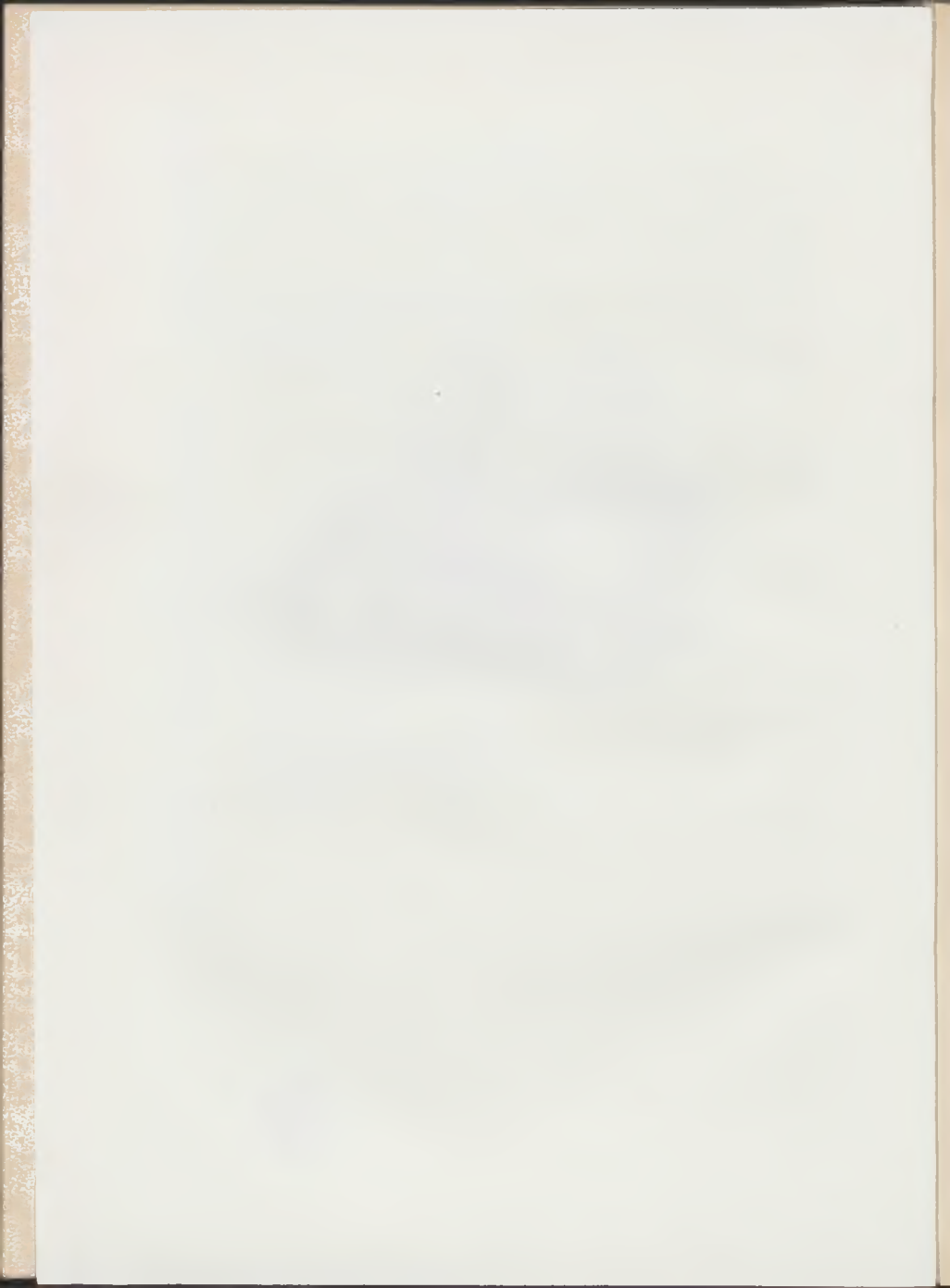
I lud ruski wówczas był inny. Nie wydawał powstańców w ręce wrogów, ale w Zawalu, spoiwszy poprzednio rosyjski oddział, w nocy z górnego piętra dworu, po drabinie żonę generała Dwernickiego z trojgiem dzieci sprowadzał, a potem przez Zbrucz na własnych rękach przenosił. Lud błogosławił wyruszających ze dworów powstańców, których najpierwszem i jawnie przed zebraną wiejską gromadą głoszonym hasłem było — uwolnienie jej od poddaństwa, obdarczenie ziemią, przywrócenie praw człowieczeństwa!

Więc kiedy „choć ochota była i siły były i broń



Sobańscy

Z wydawnictwa paryskiego „La vie des cent
Polonais célèbres” (1831)



i męstwo, ale szczęścia nie było!“ — jak powiada w swych pamiętnikach jeden z trzech synów Wacława — Aleksander Jełowicki, i powstanie na ukraińskich ziemiach zgniecionem zostało — przepiękne hasła owe zabłysły raz jeszcze nieśmiertelnym płomieniem ducha w spisku Szymona Konarskiego.

Po 31 roku wśród emigracji polskiej w Paryżu, powstała „Młoda Polska“, jako odłamek związku „Młodej Europy“, do której wszystkie narody, nie wyłączając „Młodej Rosji“, wchodziły, a o którym Konarski zwykł mawiać, iż był to „Związek ludów“ przeciw „Związkowi królów“. Rozpoczęto wysyłanie emisariuszów do Polski, aby zakładać związki, pośredniczyć w dostarczaniu z zagranicy książek i pism, gromadzić broń i zapasy wojenne. Niebezpieczne to było zadanie wobec czujności policji carskiej i już kilku wysłańców padło ofiarą, aż wreszcie podjął się tej misji Konarski, którego niezłomna wola, moc charakteru i niezwykła przytomność umysłu zdawały się opancerzać przeciw żandarmskim przespiegom. Istotnie — niełatwo było przyłapać tak wytrawnego konspiratora. W ciągu dwóch i pół lat, ciągle ścigany i śledzony, przebiegał on Litwę, Podole, Wołyń, Ukrainę, wstrząsając społeczeństwem polskim, siejąc ziarna demokratycznych zasad, wskazując nowe drogi ku odrodzeniu Polski i pokrywając Litwę i prowincje zabrane — siecią stowarzyszeń. Ten Polak-rewolucjonista nie chciał wszelako burzyć, rujnować, niszczyć — ale budować przyszłość narodu — dlatego wciągnął do swego ideowego programu wyższe, kul-

turalne warstwy (i nie zawiódł się na nich, bo wszędzie znajdował ludzi, którzy go rozumieli), kierując ich uzdolnienia ku nowym torom, a jeśli łamał i burzył, to tylko szlacheckie przesady, klasowość, cześć dla królów bez względu na ich rzeczywistą wartość i zasadniczy błąd niedowiarstwa. W tem znaczeniu mógł śmiało zaiste razem z Mickiewiczem ogłosić że: „Dzieło burzenia jest równie święte, jak dzieło tworzenia!“

Jeśli celem ludzkości na ziemi — iść przez cierpienia i próby ku najwyższej doskonałości, to ów emisarjusz polski był tą dźwignią, która o jeden stopień rzesze wędrowców podniosła — był chlubą nie tylko Polski, ale najdoskonalszym wyrazem władztwa ducha nad ciałem, płomieniem miłości ojczyzny, który wypalił w nim wszelki lęk i troskę o własną osobę.

„Niemasz ani pierwszej, ani ostatniej klasy, nie masz różnicy stanu w obliczu Boga, rozumu, ojczyzny i śmierci. Niegodnym i ubliżającym jest przesąd dzielenia ludzi na klasy! Za Polskę z królem, za Polskę napełnioną przywilejami — ani jednej kropli krwi nie poświęcę!“ Tak mówił Szymon Konarski. Temi słowy zagrzewał do pracy nad ludem wbrew i pokryjomu przed carem coraz liczniejsze koło swych współwyznawców. Lecz kimże byli ci, którzy mieli deptać te przywileje, bezsporną dotychczas własnością stanu szlacheckiego pozostające, kto wchodził do owych „Towarzystw Patrijotycznych“, „Stowarzyszeń Ludu“, mających za cel lud wiejski wolnością i własnością obdarzyć i z wyzwolonym Polskę odbudować? Najbliższymi towarzyszami myśli i prac Konarskiego byli:

Kasper Maszkowski — założyciel tajnego stowarzyszenia — Wiara, Nadzieja i Miłość — Fryderyk Michalski, sekretarz stowarzyszenia na Podole — Antoni Beaupré, sekretarz na Wołyń, i szerzący impuls do czynu wśród studentów uniwersytetu kijowskiego Piotr Borowski.

Wszyscy czterej do najwybitniejszych obywateli kraju należeli, a prócz nich około 3000 Polaków różnego stanu do tych tajnych organizacyj na Litwie i Rusi weszło, nadając tym krajom niezatarte piętno wojującej o najwyższe ideały polskości. Rodzina Michalskich legendarnymi dziś już węzły połączona na zawsze z historją Podola: narzeczoną Konarskiego była Emilja Michalska — Maurycy Gosławski oddał swe serce Melanji Michalskiej i tyle pieśni dla niej z natchnienia wyśpiewał — zaś wuj Słowackiego — Januszewski, u boku Michalskiej — dozgonnej towarzyszki, życie swe przeżył.

Traf wreszcie dopomógł do ujęcia wraz z towarzyszącym mu Rodziewiczem niepochwytnego dotychczas działacza i spełniły się ogniem płonące słowa jego, porywające słuchaczy: — Dla nas — wewnętrzna rozkosz usłużenia ojczyźnie i ludzkości i grób chwalebny. Dla młodych — triumf i owoce zwycięstwa! Na torturach — omdlewał, a przywieziony do przytomności, wołał: — Nikogo nie wskażę! Jeślim przewinił, to sam jeden tylko! Karzcie mnie! Zobaczymy, kto mocniejszy! Wy — czy ja!

— To żelazny człowiek! — powtarzał z gniewem wicegubernator wileński, Trubeckoj.

Najsurowsze kary spadły na wykrytych dzięki podstępowi związkowców, a wojenne sądy wileński i kijowski skazywały ich stosownie do doniosłości „występku“ na — 20 lat ciężkich robót w Syberji, konfiskatę majątku, pozbawienie praw stanu, na służbę bez prawa wysługi w korpusach kaukaskim i orenburskim, w „soldaty“, na osiedlenie w Syberji i twierdzą. Należących zaś do spisku księży pędzono na dwudziestoletnie ciężkie roboty na Sybir, włościanina uniwersyteckiego majątku, Zielińskiego, który ukrył Gordona — skazano na 500 pałek, a Konarskiego rozstrzelano w 1839 roku w Wilnie.

Na cześć Konarskiego urządzano liczne obchody we Francji, Anglii, Belgji, Szwajcjarji, Ameryce, zostawiając na uroczystościach opróżnione i krepą przykryte prezydjalne krzesło duchowi jego. Na słowo: konarszczyk! — pochylały się wszędzie i zawsze z najwyższą czcią głowy, a nazwiska współpracowników tego wielkiego człowieka i Polaka — nazwiska: Ewa Felińska, Rodziewicz, Tomasz Bułhak, Ludwik Orda, Henryk Wołodkowicz, Maurycy Kisiel, Ksawery Pietraszkiewicz, Teofil Czapski, Justyn Ruciński, Edward Milewski, Juljan Osiecimski, Jan Kowalewski, Stanisław Niemira, Adrjan Bienkiewicz, Karol Marchocki (syn „Reduksa“), Władysław Jurkowski, Kajetan Modzelewski, Wilhelm i Lucjan Michalscy, Zygmunt Starorypiński, Stanisław Grabianka, Adolf Roszkowski, Seweryn Szymański, Taubowie, Aleksander Popiel, Piotr Pruszyński, Ignacy Sarnecki, Karol Olizar, Aleksander Rakowski, Hugo Korsak, Edward Porczyński,

Ludwik Janiszowski, Dominik Marten, Józef Brzozowski, Łukasz Dębicki, Dionizy Jaczewski, Izidor Godlewski, z księży: kanonik Zieliński, ks. Narcyz Jarzyna, ks. Tyburcy Pawłowski, młody kleryk Marjan Podhorodeński i tylu, tylu jeszcze innych, których niepodobna wyliczyć — pozostaną na wieki w pamięci żyjących pokoleń wyryte na jednej z najszczytniejszych kart dziejów „wyzłacanej pszenicą, posrebrzanej żytem“, mickiewiczowskiej Litwy, wygwieżdżonego i orlego Podola Maurycego Gosławskiego, wołyńskiej ziemi Czackiego i Słowackiego i owianej tchnieniem stepowych wichrów — Ukrainy Malczewskiego. „Jak świat długi, szeroki, z lutnią moją podróżną — zmieniam miejsca, widoki, ale — zmieniam napróżno!“ — tak śpiewa w przystępie bezbrzeżnej tęsknoty za czarem tych stron oddalonych, przymusowy tułacz i lirnik ukraiński — Bohdan Zaleski.

A ów nieszczęsny rok 63, który po bezowocnych, ale gaszących ludzkie życia wysiłkach widział wędrówki skazanych w katorgę i osiedlenie na Syberji — powstańców? Jeden z takiej partji, pozbawionych praw wszelkich więźniów, dziś nieżyjący — zostawił swe pamiętniki. Z ich krystalicznej i skoncentrowanej głębi przebija moc uczuć bez zbędnych słów. Z jakąż, zdawałoby się, łatwością ci ludzie szli pieszo rok i cztery miesiące na miejsce wygnania. Z jakąż łatwością padali snadź pod ciosami sfanatyzowanego chłopstwa w Sołowiejówce, skoro jeden z nich, często dość wspomniany, Stefan Wyhowski, którego liściowe jakieś ręce uniosły wówczas z pobojowiska,

a który mimo to został również wysłany z kraju, nigdy nie mówi o bohaterskiej idei tych męczenników, pragnących, aby w fakcie oddania bez oporu i walki życia, lud ruski dojrzał ich „dobrą wolę“ dla niego.

Dwie kobiety towarzyszą tej partji wygnańców i rozjaśniają im mroczne cienie życia w katordze: Romanowa Bnińska idzie za mężem, doktorowa Felicianowa Jachimowiczowa bierze ślub z narzeczonym w kijowskiej fortecy i jedzie za skazańcami na wózk. I nigdy nie słyhać wśród nich jęku, lub chwalby: — Za Polskę cierpimy! — Snadź ta idea miłości kraju nie „z nimi“ była, lecz „w nich“ i nie potrzebowała zgola wynurzeń.

Więc zaciążyła z niewysłowioną mocą bohaterska dusza przodków na Polakach Wołynia, Podola, Ukrainy, gdy ukaz Aleksandra III w r. 1884, nakazujący sprzedaż do trzech lat wszystkich majątków, jakie w ostatnich czasach, obchodząc prawo, mocą 99 letniej dzierżawy lub piętężnego na nich zastawu nabyli — spadł na ich głowy, jak drugi, miazdzący cios. A za nim wślad nowe ukazy, zabraniające zastawów, lokowania polskich kapitałów na hipoteki, dłuższych ponad dwanaście, maksimum, lat dzierżaw, potem wszczynane przez gen. gubernatora w Kijowie procesy przeciw działom rodzinnym, zakaz rozporządzania w testamencie posiadaniem w ziemi dobrami, z wyjątkiem ściśle sukcesyjnej drogi, zakaz uczenia dziatwy szkolnej po polsku, surowa kara za wykryte abecadło i... wszystkie te znów wyjątkowe, drakońskie

prawa, stosowane w tej samej mierze do osiadłego na Rusi chłopa polskiego.

Na sztandarze caratu ukazało się jawnie, stosowane dawniej z ostrożnością hasło dla trzech zabranych prowincyj, „Jugo-zapadnym krajem“ przewanych: „Obrusit' i w prawosławnyj kraj obratit“¹⁾)

Wówczas pojęli kresowcy, że wobec nowej falangi Rosjan, nabywców za marne pieniądze z musu „zbebnionych“ wielu majątków polskich, wobec braku taniego i długoterminowego kredytu dla „inorodców polskiego pochodzenia“, albowiem projektowane przed 63 rokiem Towarzystwo Kredytowe dla trzech gubernij nie doszło do skutku, wobec skasowania obieralnych urzędów i możności dawnego, autonomicznego rządu w tym kraju — czeka ich teraz walka o resztę niewydartych im jeszcze obszarów ziemi, walka na śmierć i życie o możliwość zostania na ojcowiznie, moralny bój wytężony — niby ekspiacja za ciężki błąd zawiązanej na kresach, nie przez nich wszakże, — Targowicy! I jednomyślne acz ciche: „Non cedo!“ — wydarło się z piersi wszystkich kresowców po miastach i wsiach i tak głęboko zapadło w ten cały, umiłowany obszar łąnów i murów, lasów i wód, jak u obcego narodu pierścień doży, rzucony w bezdenną toń zaślubianego przezeń Adrjatyku.

1) Zrusyfikować i w prawosławny kraj zamienić!

IV.

RZUT OKA WSTECZ.

„Kraj ten (Wołyń, Podole, Ukraina)¹⁾ pomiędzy latami 1832—1848 zamieszkały był:

1) Przez lud ruski, z nieosiadłego w wieku jeszcze XV — na osiadły i rolniczy, dzięki kulturze polskiej zamienionego.

2) Przez drobną, rozsianą po całym kraju szlachtę polską i lud mazurski, jako dobrowolni koloniści ongi tu przyszłych, lub też przez większych właścicieli ziemskich przed wiekami sprowadzonych.

3) Przez gnieźdzących się głównie po miasteczkach Żydów.

4) Przez szlachtę — posesjonatów i duchowieństwo, tworzących sferę wyższą całego zaludnienia. Urzędnicy Polacy, pochodzenia miejscowego — osobnej warstwy nie stanowili.

Ziemia cała, oprócz nielicznych względnie wyjąt-

1) Fragmenty w cudzysłowach — zaczerpnięte są z nieogłoszonych drukiem pamiętników ś. p. Augusta Iwańskiego, naczelnika cywilnego powstania 1863 roku w taraszczańskim powiecie.

ków¹⁾ była tak prawnie, jak i faktycznie w posiadaniu panów polskich na mocy dawnych nadań królewskich, lub też drogą kupną“.

Faktycznie również znajdowały się w rękach zdawna osiadłej tu szlachty dobra skarbu polskiego i starościńskie, gdyż obdarowani niemi generałowie rosyjscy wydzierzawiali je okolicznym ziemianom. Akty tego rodzaju przedstawiały się w sposób następujący:

Łukanowski folwark bałckiego powiatu, dany najwyższym ukazem z dnia 2 maja 1810 roku na lat dwanaście gen.-lejt. księciu Bazylemu Oboleńskiemu,

1) Dobra skonfiskowane na Podolu: Międzybórz Czartoryskiemu po 1831 roku, Mińkowce Marchockiemu po 1839, na Pobereżu — Ładyżyn Sobańskiemu, w Braclawszczyźnie Granów Czartoryskiemu, Humańszczyzna — Aleksandrowi Potockiemu, w roku 1834 starostwo szawulińskie Bierzyńskim, po 1831 — scheda na Polesiu Wołyńskim Ksawerego Branickiego, oraz pojedyncze dobra i wioski, „dobrowolnie“ w różnych czasach sprzedane, jak chociażby pod naciskiem politycznym w Jassach, w 1788 roku — w powiecie czehryńskim Smilańszczyzna Potemkinowi, który marząc o Królestwie Polskiem dla siebie, potrzebował indygenatu, a więc przedewszystkiem własności ziemskiej. Po jego śmierci wszelako, przybyśże ze rdzennej Rosji wypełnili jako spadkobiercy dwa powiaty: czehryński i czerkaski. Dobra duchowieństwa prawosławnego w okolicy Kijowa, oraz jako „curiosum“ — kilkaset morgów w powiecie humańskim, przy wsi Talniance, w posiadaniu mnichów rolników sprowadzonych i obdarowanych przez jakiegoś gorliwego generała rosyjskiego. Apanaże od potomków targowiczian nie są tu wyliczone, gdyż transakcje na dobra powyższe zostały dokonane w szóstym dopiero dziesiątku wieku XIX.

a od niego, za potwierdzeniem monarszem, ustąpiony Tomaszowi Kuleszy. Piszczkański folwark, bez opłaty kwarty, darowany na lat dwanaście gen. infanterji Siergiejowi Wiaźmitinowi, odstąpiony przezeń — Janowi Wyleżyńskiemu i t. d.

— „W używalności włościan poddanych było z całej ziemi „dominjalnej“ około połowy. Trojakiego rodzaju powinności obowiązywały włościanstwo miejscowe na Rusi: 1) podatek ziemski, 2) podatek rządowy, 3) powinność od ziemi używanej.

Pierwszy z nich — podatek ziemski w naturze, obowiązywał do utrzymywania w porządku gościńców, poczt i mostów w powiecie, na co właściciele ziemski materjał na miejscu dawali.

Podatek rządowy — składał się z tak zwanego „podusznego“ i podatku krwi. Pierwszy obowiązywał wszystkich — tak żyjących (od duszy), jak i zmarłych w okresie pomiędzy jedną a drugą, odbywającą się co parę dziesiątków lat rewizją. Podatek krwi, czyli dostarczanie rządowi rekruta, nie mógł być wobec dwudziestopięcioletniej służby w wojsku i ciężkiego rygoru — pojmovanym jako obowiązek patriotyczny, lecz uważany był powszechnie za „karę“. I tak — gromada wiejska karała w ten sposób zanadto już jawne złodziejskie lub zbrodnicze przestępstwa, w obrębie swej wioski dokonywane, najczęściej zaś — za włóczęgę, a przez to uchylanie się od dorocznego podusznego, gromadę w tym wypadku obciążającego.

Dziedzic bardziej był obiektywnym przy wymie-

rzaniu tej kary, chociaż zdarzało się niejednokrotnie, iż „oddawał w rekruty“ za tak zwane powszechnie „zuchwalstwo“, t. j. za wszelkie objawy poczucia godności ludzkiej, co w żadnym razie przez szlachtę ówczesną tolerowane nie było, gdyż niestety nie było to ani zrozumiane, ani odczute.

Wiedząc zawczasu o mającym nastąpić poborze rekruta, włościanie sami w porozumieniu z dziedzicem przyłapywali upatrzonych kandydatów. (Robiono wprost obławy na tych, co do przyległej chersońskiej gubernji od pańszczyzny, lub z innych pobudek, schronienie tam znajdując — uciekali — byli zaś oni właściwie pierwszymi kolonizatorami południa całego.) Po włożeniu na nogi pojmanych pary ciężkich, drewnianych kłód, trzymano ich pod strażą wiejską aż do chwili stawienia przed komisją w powiecie.

Odpowiedzialność za przeprowadzenie rekrutacji, narzucona przez rząd dziedzicowi na wsi, a marszałkom w powiecie — wytwarzała chroniczne między wsią a dworem rozdrażnienie. Takie wzmocnienie praw dominjalnych z jednej strony, przy upośledzeniu drugiej — musiało spowodować nieobliczalne w przyszłości na kraj cały następstwa.

Powinności za używanie ziemi były dwojakie: 1) Dziesięcina od przędzywa, miodu, drobiu itd. dworowi składana, który to serwitut ustał zupełnie wraz z wprowadzeniem w roku 1848 ograniczających powinności włościan „inwentarzy“. 2) Pańszczyzna — czyli oddanie pracy ręcznej lub ze sprzężajem na

rzecz dziedzica, w stosunku do ilości posiadanej ziemi przez trzy kategorie włościan: chałupników, pieszych i ciągłych. Pierwsi, tylko ogród przy chacie posiadający — jeden dzień pracy w tygodniu dawali, od drugiej zaś i trzeciej kategorii — przeciętnie trzy dni pobierano, jako od posiadaczy kilku do kilkunastu morgów uprawnej ziemi. Zdarzało się jednak, iż uświęconą zwyczajem tę normę w czasie żniw przekraczano, co wywoływało zatargi miejscowe, wdanie się policji, a nawet zbrojną interwencję rosyjskich władz.

Właściciel ziemski, mając w swem ręku administracyjną i wykonawczą władzę, był samowładnym panem w majątku, a najgodniejszym zastanowienia było przeświadczenie tak panujących, jak i podwładnych, że ustrój taki jest przyrodzonym i nigdy się zmienić nie może.

Praktyczny ziemianin, zwłaszcza taki, który sam administracją majątku kierował, wybierał zwykle uzdolnionych i zaufanych włościan na posady urzędników gospodarczych — gumienno, atamana, dozorecy bydła, organizatora tak zw. „wałki czumackiej“ i innych, aż do rzadców włącznie. Najbardziej jednak zaufanym i zbliżonym do dworu (szczególnie u „paniczów“) bywał kozak dworski.

Począwszy od XVII wieku, wchodzili kozacy w skład znajdującej się przy dworach magnackich milicji i używani byli na kresach w zapasach wojennych z Turkami i Tatarami. Gdy z panowaniem Sasów — wojny ustały, kozacy służyli już tylko dla parady,

a czasem wyłącznie do usług dworskich używani byli. Strój ich stanowiły: kubrak granatowy z wyłogami i pasem czerwonym i także, w buty wkładane „hajdawery“, — wehikułem zaś był jednokonny wózek, „bidką“ przewany. Podróżujący tak niemal całe swe życie, kozak — przesiąkał wonią stajni i karczmy, głównie zaś ostrą wonią czosnku, narodowego na Rusi przysmaku. Zapach ten nie opuszczał go nawet w niedzielę, gdy go żona w białą jak śnieg, płócienną koszulę przystrajała. Obok tej właściwości ujemnej przyznawano ogólnie takim dworskim kozakom — uczciwość, wierność i zupełne oddanie swym chlebobawcom. Kozak taki odwoził przed kijowskimi kontraktami długi albo procenty mocodawcy swego, pilnował w czasie kontraktów brzęczącą monetą wyładowanej kasy (gdyż wówczas banków i papierowych pieniędzy nie było!) i tym podobne, zaufane polecenia wypełniał.

Taki kozak niezapomniany, Fed' Marynkiewicz, towarzyszył ojcu piszącego te słowa ¹⁾ na wyprawę daszowską w 1831 roku, — następnie do szkół synów jego nieletnich woził, pocieszając płaczących po opuszczeniu rodzicielskiego domu, a czynił to wszystko nie z obawy bynajmniej, ale z prawdziwej życzliwości.

Toteż sług takich starych szacunkiem i przyjaźnią otaczali chlebobawcy po dworach i dworkach. Jakże odmiennie wygląda „kozak“ współczesny! Z wypożyczoną, pośrodku przedzieloną głową, ze ster-

1) Augusta Iwańskiego.

czącą dewizką, z klamrą świecą u pasa, w monogram lub herb zaopatrzoną, z koroną na kaszkiecie, w białych rękawiczkach, zmieniający zgrabnie talerze przy obiedzie — czyż nie jest to istotnie twór operetkowy?!

Jeśli cechą kolonizatorów we wszystkich krajach i czasach jest pewna bezwzględność, rodząca stałe kolizje pomiędzy pracodawcami a robotnikami, to czynnikiem, łagodzącym podobne przeciwieństwa na Rusi, był melodyjny, przez wszystkich lubiany, język ruski, przez drobną szlachtę w użyciu domowym nawet praktykowany. Dzieci szlacheckie rozpoczynały nieraz w tym języku swą mowę — niewiasty polskie kresowe z zamiłowaniem śpiewały śliczne, ukraińskie piosenki — był to więc cement, spajający różne stany jednego społeczeństwa. Zbliżona natomiast do dworów ludność miejscowa uczyła się z łatwością i bez przymusu po polsku, u duchowieństwa zaś ruskiego używanie języka polskiego uważanem było, przez kobiety zwłaszcza — jako warunek dobrego tonu.

W okresie tedy tu opisanym, antagonizmu tak pomiędzy dwoma obrządkami — łańcińskim i ruskim, jak i pomiędzy temiż językami, zgoła nie było i współżycie dwóch latorośli jednego słowiańskiego szczepu byłoby zupełnie możliwe, gdyby reforma włościańska, zgodnie z wyrażonem w petycji do monarchy w roku 1818 pragnieniem społeczeństwa polskiego, została przeprowadzona tak, jak to miało miejsce w Poznańskim, w pierwszych latach XIX wieku. Sympatja jednak dla Rusinów pomimo ciężkich doświadczeń

1863 roku — mocno jest w urodzonych i wychowanych na Rusi Polakach zakorzeniona — przynajmniej piszący te słowa w wysokim stopniu uczucia tego doznaje.

Takie jednak patryarchalne stosunki torowały drogę do asymilacji mniejszości polskiej przez większość ruską, — procesowi zaś temu towarzyszyły następujące okoliczności: 1) trudność odnalezienia zaginionych w czasie krajowych przejść dokumentów, niezbędnych dla zapisania danych rodzin w poczet szlachty (dworjan); 2) połączone z tą czynnością koszta, tak w gubernji, jak w departamencie heroldji w stolicy, gdzie się adwokaci specjalnie tem zajmowali; 3) obojętność społeczeństwa, respective marszałków (nie wszystkich jednak) wobec zapisywania nie mogącej wylegitymować się szlachty do nowokreowanego stanu tak zw. „odnodworców“; 4) nawyknienie ciemnej, czynszowej szlachty do załatwiania praktyk religijnych przez duchowieństwo miejscowe unickie, do którego się nadal in extremis odwoływała, nieświadoma następstw po skasowaniu unji, a nie będąc w tym względzie poinformowaną ani przez szlachtę ziemiańską, ani przez duchowieństwo. Biedaków tych oczekiwali w przyszłości los stokroć gorszy od pańszczyźnianych włościan“. —

Po uciszeniu się wojen kozackich i szwedzkich, przerwany mocą groźnych wydarzeń ruch kolonizacyjny — wzmógł się na nowo. Ciągnęły do siebie z nieprzepartą siłą żyzne, pustkowiec leżące przestwory i lud zbiegał się tłumnie na nowe osady.

Po poddaniu się Moskwie Doroszeńki (1676 roku) rząd carski usiłował przepędzić na lewy brzeg Dniepru pozostałą na prawobrzeżu ludność, a „zhonu“ tego dokonał hetman Samojłowicz. Teraz — wobec uniwersałów, wymieniających ponętne dla osadników warunki — nie tylko z rdzennej Polski płynęły na wschód fale drobnej szlachty i rolniczego ludu, ale z Zadnieprza, z „pod swobody kozackiej“ wracały tłumy „pod przemoc Lachów“ i żadne przeszkody nie mogły ich od tego wstrzymać. U rybaków dnieprowych przechowuje się po dziś dzień wspomnienie o figurach i krzyżach z zawieszonemi na nich: snopem żyta, cepem i sierpem, na znak, iż ktoś tu „słobodę“ zakłada i przywołuje do niej na pewnych wolnościach chętnych osadników. Aby zaś każdemu przechodzącemu jawnem się stało, na ile lat dana jest tu swoboda, wbijano w belkę poprzeczną, zakopanego na wygonie krzyża, pewną ilość drewnianych kołków, wytrącając je kolejno po upływie każdego roku, a gdy wszystkie lata minęły — winni byli osadnicy płacić czynsz i wnosić odpowiednie powinności. Nie pisane zatem prawo regulowało ten wzajemny stosunek, lecz obyczajowe raczej i trwałe tak przez cały wiek XVIII — do przejścia tych ziem pod obce panowanie.

— „Gdy w 1861 roku włościanie na Rusi otrzymali wolność z prawem wykupu uprawianej dotychczas ziemi, zamiary zaś społeczeństwa polskiego, by przez starania u rządu zastosować tę samą reformę względem szlachty czynszowej — spełzły na niczem z po-

wodu niewczesnego powstania, status quo w stosunkach ziemian do czynszowników stał się ciężarem dla obu stron, dając powód do ciągłych kolizyj, do gorszących nieraz procesów oraz wmieszania się częstokroć policji. Nieszczęściom tym zapobiegł nakoniec ukaz rządowy, oddający z końcem wieku XIX szlachcie czynszowej uprawianą przez nich ziemię na wykup, za wynagrodzeniem pieniężnym. W czasie zwiedzania przez piszącego te słowa w połowie XIX wieku Tulczyna, rezydencji ongi Szczęsnego Potockiego, pokazywał mu bibliotekarz i archiwista Franciszek Kowalski, krzemieńczyanin i pierwszy u nas tłumacz Moljera — ciekawe, gospodarskie archiwum, wykazujące, iż składane dworowi powinności od włościan nie przekraczały przed przyłączeniem tego kraju do Rosji — jednego dnia na tydzień z każdej chaty, że znaczna część włościan była już oczynszowana, a stan ich materialny był wogóle zadowolającym. Dopiero z rozwojem handlu zbożowego w drugiej ćwierci przeszłego stulecia za pośrednictwem Odesy, dotyczące włościan prawo zwyczajowe stało się bezwzględnie obowiązującym i jako takie znalazło miejsce w prawodawstwie rosyjskiem. Prawo to zabraniało włościanom przenoszenia się z jednego miejsca na drugie, pozwalając jednocześnie na przymusowe przesiedlanie, w drodze kupna, do odrębnej kategorii należących t. zw. „ludzi dworskich“, których publicznie na rynku kontraktowym w Kijowie eksponowano. Na Rusi ukraińskiej praktykowało się w innej jeszcze formie to prawo, nikogo

wówczas nie rażąc, przez tak zwaną „ekscepcję“ fachowo uzdolnionych włościan przy sprzedaży majątku, za zgodą ekscypowanej jednostki lub bez.

W celu ukrócenia samowoli szlachty w stosunku do włościan i ujednostajnienia w praktyce powinności tych ostatnich — zaprowadzone zostały przez wielkorządcę Bibikowa w roku 1848 tak zw. „inwentarze“, co było dla szlachty polskiej upokarzającym. Na wprowadzenie tych ograniczeń i emancypację włościan w roku 1861 — obroną może być wystąpienie obywatelstwa z Litwy w roku, 1818 jeszcze, z projektem uwłaszczenia poddanych na sejmiku, który przez przybyłego ze stolicy feldjegra rozpędzonym został. Usamowolnienie włościan na dawnych ziemiach polskich z jednoczesnem poddaństwem po drugiej stronie Dniepru i Dźwiny — niedopuszczalne było z punktu widzenia rządu, tem bardziej, że społeczeństwo rosyjskie nie okazało się ani wówczas, ani później — do takiej reformy przygotowanem i chętnem. W 1855 roku stroniła szlachta na Rusi od chłopów, nawet w obawie przed nimi do miast uciekała, nie rozumiejąc tego, wszczętego podówczas sporadycznie ruchu, — w roku 1863 ciężką krzywdę poniosła też sama szlachta od nierozumiejących ruchu naszego, a sfanatyzowanych chłopów. Krzywdę — powtarzam — wobec gotowości powszechnej ziemian do jak najdalej idących przy przeprowadzeniu reformy rolnej, a niejednokrotnie faktycznie ujawniających się ustępstw w latach 61 i 62.“ —

Okres przed powstaniem 1863 roku, po zgębieniu

walk o utraconą niepodległość i konarszczyzny w latach 1831 i 1839, odznaczał się ożywionym li tylko towarzyskim ruchem. Umysłowe życie natomiast było stłumione, nieledwie żadne. Szalejąca w Europie reakcja i czasy mikołajowskie, o których nawet Rosjanie wspominają ze zgrozą, gdyż ich najwybitniejsi pisarze i działacze, jak Dostojewski, Poleżajew, Ry-lejew, byli deportowani na Sybir lub też karani „administracyjnym porządkiem“, jak Lermontow — dawały się równie mocno odczuwać tak w Polsce, jak i na Rusi przez skasowanie tu unji religijnej, zapisywanie masowo uboższej szlachty do „odnoworców“, zamykanie lub zmianę 900 cerkwi unickich na prawosławne, zamknięcie szkół polskich Komisji Edukacyjnej, ograniczenia dla studentów Polaków w uniwersytetach, przez zakaz używania publicznie języka polskiego i zaprowadzenia najsroźszej cenzury, przez zniesienie wreszcie w 1840 roku Statutu litewskiego, a więc jawności sądu i adwokatury, a wprowadzenie natomiast rosyjskiego „Swodu zakonow“. Zabrano do Petersburga, Moskwy i Kijowa bogate księżnice uczelni polskich, rozsadników kultury naszej w Krzemieńcu i Wilnie, przeniesiono muzea i zbiory. Znoszono zakony duchowne, dobra klasztorne i kościelne zabierano na rzecz skarbu, pomimo, iż były związane z niemi legaty. Rząd konfiskował majątki tym, którzy udział w powstaniu 1831 roku brali, a każda książka, każdy druk z zagranicy — uważany był przez wszechwładnego Bibikowa jako rzecz srodze naganna i podejrzana.

Przygięci i wdeptani w tę ziemię — szary proch na kwitnących dawniej szlakach polskośći — wiedli ówcześni kresowi Polacy życie z musu politycznie bezbarwne, dobrobytem li tylko szeroko zabarwione, przez mgławicę wyobraźni wyczuwając jedynie ukryte tętno pogrzebanej niepodległości.

„Ziemia dostarczała produktów, które własne młyny na krupy i mąkę poślednią przerabiały — najlepszy zaś jej gatunek, tak zw. mąkę „marymoncką“ przywoził, wedle przyjętego zwyczaju, jako podarek dla gospodyni domu, nabywca pszenicy. Stawy zaopatrywały w ryby, które w koszach trzymane starczyły na dni postne, skrupulatnie obserwowane. Lasy dawały oprócz budulcu futra lisie na odzież, a zające do stołu, wreszcie — w ilości dostatecznej dla opędzenia imienin lub chrzcin w domach szlacheckich — trufle. Pasieka zaopatrywała kuchnię i apteczkę domową (schowanko suche, a chłodne, pod kluczem samej pani zostające, w której prócz spiżarnianych, kosztowniejszych produktów, przechowywały się smakołyki, „delikatesami“ zwane). W jesieni — zjawiał się zwykle kapucyn z Winnicy lub Chodorkowa dla sycenia miodu, zabierając część wosku na użytek klasztoru. (Z pozostałej zaś wyrabiały się świece.) Gorzelnie dostarczały okowity, sporo zwykle przed każdym posiłkiem używanej, część której przechowywano w piwnicy dla obdarzenia nią jako starką — żeniącego się syna. Owce dawały łój, przetapiany na świece, wełnę — na grubsze sukno gręplami w młynie przetwarzaną, skóry na

kożuchy, baranice na nogi. Obora, kurnik i chlewnia dostarczały produktów różnych do kuchni, śpiżarni i apteczki. Nieocenione gęsi zamieniały się w puch, smalec i... pióra do pisania. Sad owocowy zasilał piwnicę w warzywa, owoce i trunki. Warsztaty tkackie wyrabiały płótna na użytek domowy: bieliznę stołową, płótna pościelowe i do ubrania służące, które liczny fraucymer pod okiem pani domu w tym celu przygotowywał. Taka obfitość i różnorodność produktów spożywczych byłaby nawet w zamożnych domach szlacheckich wystarczająca — obowiązki jednak gościnności, przez Polaków tak przestrzegane, — do zbytków zniewalały. I tak — przywożono z kontraktów kijowskich prócz zapasu herbaty na rok cały — cukierki od Finkiego dla dzieci, przysmaki wielkopostne: kawior, śledzie i ryby.

Odessa dostarczała win zagranicznych, towarów kolonialnych i tytoniu, pobierając zań 10 zł za „oko“ (dawna miara polska — trzem funtom rosyjskim odpowiadająca.) Nieoceniony Zelman, kupiec z Berdyczowa, który się zjawiał na wiosnę i w jesieni, przywoził jedwabne materje, materiały piśmienne książki do nabożeństwa w Wilnie u Zawadzkiego drukowane i kalendarze berdyczowskie, jako jedyne często pokarmy duchowe w dworach, a niekiedy w dworach współczesnych. Zajeżdżał on bryką krakowską, towarem przeładowaną, we cztery konie ze źrebakami i przekarmał w ciągu dni kilku siebie i swój inwentarz, bytność zaś jego była dla odludnego zakątka niemal uroczystością.“

Jeśli intelektualne życie było w owe czasy wręcz zadławione srogim nakazem caratu, to wrodzona kresowcom energia znalazła ujście we wzmożonym ruchu ekonomicznym. Rozpoczął się handel zbożem z Odessą, „która w 1828 roku była już miastem rozległym, posiadającym przystań pełną okrętów, a po jej ulicach snuły się wozy z pszenicą i innym zbożem, w woły zaprzężone, turkotały „drażki“ kupców, kramy pełne towarów zagranicznych, domy i ulice — pełne ludzi zagranicznych, bo to wolne, kupieckie miasto, nie ma więc piętna narodowego, a mieć je będzie chyba wtedy, gdy polskie powrócą czasy. Odessa powstała na naszej ziemi, z naszej pszenicy, z naszych pastwisk — z Odessy też wzajemnie powstało wielkie bogactwo nasze.¹⁾“

Zaczyna się wówczas również rozwój cukrownictwa na Rusi, a rozpęd ekonomicznych spraw ziemiaństwa pociąga do twórczej współpracy inteligencję po miastach, zwiększając w ten sposób z każdym rokiem wartość ogólnego, narodowego majątku Polaków w trzech zabranych prowincjach.

Nastaly czasy łaskawsze wraz z naznaczeniem na gen. gubernatorstwo księcia Wasylczykowa i skostniały w mikołajowskiej, żelaznej dłoni duch postępowy przejawiał się w wystąpieniu szlachty litewskiej w 1857 roku co do kwestji włościańskiej. Wślad za nią podała szlachta Wołynia, Podola i Ukrainy prośby do tronu o pozwolenie zajęcia się polepsze-

1) Pamiętniki Aleksandra Jełowickiego.

niem bytu włościan, co pozostanie na zawsze faktem historycznym, zaszczytnym dla Polaków na Litwie i Rusi osiadłych. Wystąpienie to zjednało sympatje Aleksandra II i księcia Wasyleczykowa, zaś lata od 1858 do 1861 są kulminacyjnym punktem rozbudzonego życia kresowych ziem, czynnego zajęcia się sprawami publicznymi i dodatnim wpływem Polaków na Rusi, którzy, zasiadając przeważnie w powołanych do istnienia komitetach włościańskich, zajmujących się uwłaszczeniem chłopów i projektowaną reformą rolną, — dali dowody uzdolnienia i obywatelskiego poczucia.

Podczas gdy szlachta wielkorosyjska w uwłaszczeniu włościan dostrzegła jedynie dobry interes, który ją z obdłużenia wyprowadzi, — pracujący w komitecie kijowskim kresowi Polacy podali najpiękniejszy pomysł komisyj regulacyjnych, do których narówni z dziedzicami i w równej z nimi liczbie mieli zasiąść włościanie „w celu klasyfikacji wydzielonych im gruntów i rozwiązywania kwestyj spornych przy aktach nadawczych“¹⁾.

Wielka redakcyjna komisja przy Głównym Komitecie dla Spraw Włościańskich składała się z urzędników przez ministerstwo delegowanych, oraz z ekspertów, z każdej miejscowości cesarstwa wysłanych. Czynności jej rozpoczęły się w październiku 1859 roku, a skoro zjechali tam delegowani z komisyj kresowych — ujawniły się przy zetknięciu

1) Pamiętniki Tadeusza Bobrowskiego.

rozbieżne prądy. Arystokracja rosyjska osiadła, ziemiańska, jak również służbowa i dworska występowała otwarcie przeciw „niewczesnemu liberalizmowi“, — inni znów dyplomatykowali, inni jeszcze, poddając się, albo pojmując konieczność dziejową usamowolnienia włościan, — żądali za to ekwiwalentu w postaci politycznych praw. Do tych ostatnich należeli ziemianie z Litwy i Rusi.

Tradycyjnie mając we krwi zwycięskie choć uporczywe walki z przeciwnościami, ówczesni kresowcy zapomnieli już zda się o przygnębieniu mikołajowskich czasów, tak żywym tętnem biło w tych latach rozbudzone społeczne życie. Nie ucierpiały i kwestje ekonomiczne. Za inicjatywą Zenona Hołowińskiego przystąpiono do założenia towarzystw Rolniczego i Kredytowego w Kijowszczyźnie — na Podolu, statut nawet zredagowali Darowski, Górski, Żukotyński, Podwysocki i Starorypiński — a gdy w 1860 roku w maju przypadły wybory urzędników obieralnych, jakimi byli na mocy „dworjanskiej hramoty“ Katarzyny II — gubernjalny i powiatowi marszałkowie szlachty, kurator honorowy gimnazjum kijowskiego, członek oddziału Kijowskiego Banku Państwa, deputaci do Izby Cywilnej i Kryminalnej, do Komisji Drogowej, do „Prikazu“ (dobroczynność), do Komisji Szlacheckiej, sędziowie, podsędkowie, deputaci magazynowi i wódczani i t. d. — cała szlachta zebrała się tłumnie. Jednomyślność Polaków i napływowych Rosjan zaznaczyła się wówczas podpisanym przez wszystkich zgodnie adresem do Aleksandra II, pro-

szącym go o wprowadzenie w szkołach i na uniwersytecie kijowskim wykładów w języku polskim. Pomimo bowiem zastosowania na kresach „Sводу zakonow“ na miejsce Statutu litewskiego, co pozornie zrusyfikowało kraj, Polacy zostali przeważnie na dawnych urządach, a przysłani Rosjanie spolonizowali się wśród przeważającej ich większości i cel został chybiony. Świadczącym zaś o uporczywości wpływów polskiej cywilizacji na Rusi jest fakt, że Statut litewski utrzymał się na straconem za Jana III Zadnieprzu, aż do reformy sądowej Aleksandra II.

19 lutego 1861 roku został wydany manifest cesarza Aleksandra II o uwolnieniu włościan z poddaństwa. Porównywując go z pracami i projektami komitetów kresowych, przekonać się można z łatwością, iż do owej ustawy nic prawie z postanowień komitetowych nie weszło, a nowe prawa przedstawiały surowy, nieprzerobiony materiał, zależny zupełnie od urzędników, którzy mieli tę zagadkę rozwikłać, a byli nimi — pośrednicy polubowni, zjazdy pośredników, gubernjalne dla spraw włościańskich instytucje, minister spraw wewnętrznych, a wreszcie — senat. Pierwszymi pośrednikami z wyboru byli Polacy, którzy w podzielonym na okręgi powiecie stanowili w kilku z prezesem, „marszałkiem“ zwanym, drugą instancję: zjazd pośredników. W taraszczańskim powiecie pośrednikami byli: Henryk Gnatowski, Piotr Lipkowski, Zygmunt Podhorski i August Iwański.

Oto jak ten ostatni opisuje przebieg reformy rol-

nej w swoim okręgu, a jednocześnie stan polityczny i wybuch powstania 63 roku.

„W naradach i decyzjach „zjazdu pośredników“ przyjmował udział z prawem głosu urzędnik od korony, a takim był w naszym powiecie — Doliński, młody, przyzwoity, z uniwersyteckim wykształceniem człowiek. Olszanka, miejsce stałego mego pobytu, oddalona była o 25 do 30 wiorst od najbliższej granicy przeznaczonego dla mnie okręgu, który składał się w $\frac{4}{5}$ częściach z dóbr stawiszczańskich Aleksandra Branickiego, a w jednej piątej z dóbr koszowackich Józefa Mołodeckiego, dwóch kolokacyj i dwóch pojedynczych wiosek. (Trzecią część wsi Małej Berezianki posiadała jedyna wówczas w powiecie rosjanka, panna Towbicz, właścicielka kilkuset morgów i około stu zamieszkałych włościan.)

Zachowanie się właścicieli dóbr Stawiszcze — Aleksandra i Anny z Hołyńskich Branickich wobec oficyalistów i włościan — poddanych było wzorowe. Kierowany przez inteligentnych medyków szpital, tak zwana „katolicka“, właściwie zaś polska, przykładowie prowadzona szkółka, liczne stypendja dla sierót i uboższych dzieci pracowników, zapewniona opieka w razie klęsk żywiołowych, sprawiedliwość bezwzględna w stosunku do byłych (wobec nowej ustawy) poddanych — na szeroką skalę praktykowany rozum i uczciwość zarządu — łągodziły tę zawiść, jaką czują powszechnie wydziedziczeni wobec wybranych, uczucie — podsycane na Ukrainie tradycją miejscową.

W okresie kilkuletniej zaledwo swej pracy, Antoni Mioduszewski, opierając stawiszczańską szkołkę na gruncie religijno-narodowym, na takim ją poziomie postawił — nietyle pod naukowym, ile pod obyczajowym względem — że znana powszechnie z rozumu Aleksandrowa Branicka nie wahała się zaprosić Mioduszewskiego na nauczyciela do młodziutkiego jedynaka swego, który odtąd wczasy swe z ubogą dziatwą ze szkółki podzielał. Nie zawiodła się ta wyjątkowa wśród arystokracji matka, albowiem wpływy tej szkoły przy współdziałaniu innych domowych czynników — wychowały Władysława Branickiego na zacnego i światłego obywatela kraju naszego, decydujący kierunek życiu jego nadając.

Dodatnią stronę tych miejscowych stosunków odczuwałem przez cały czas praktyki mej na urzędzie, uwieńczonyj przeprowadzeniem układów sprzedażnych pomiędzy włościanami przeszło połowy znajdujących się pod moim zarządem włości. Na stosunek mój z ludem uskarżać się nie mogłem — dzięki tradycjom i dobrobytowi lud ten pewną butą się odznaczał, z czem mu było przy wyniosłej postawie, śniadej barwie i prawidłowych rysach — wcale do twarzy.

Przeprowadzeniem transakcyj pomiędzy dziedzicem a uwolnionymi włościanami dwuletnią pracę moją zamknąłem, — usunięcie zaś z urzędu wszystkich pośredników Polaków nastąpiło, gdy byłem już sam pod kluczem.

Ukształtowanie się komitetu tak zwanego „białego“ w powiecie taraszczańskim miało miejsce wyraźnie

pod wpływem lutowych wypadków warszawskich i utworzenia się w stolicy odpowiedniego komitetu. Powołani do zajęcia się kwestją włościańską marszałek i pośrednicy — działalność swoją przenieśli czasami na grunt społeczno-polityczny, tworząc w ten sposób z notablami, ad hoc przez marszałka zapraszany, a przez ogół akceptowanymi — Komitet Ziemiański. Ten zaś był w nieustannem z Warszawą porozumieniu, jakkolwiek atoli „białym“ przewany, nie zasklepiął się w konserwatywnych zasadach, ale czujne baczenie dawał na ogólny ruch w kraju.

I tak ze stanowiska mego należałem do Komitetu Ziemiańskiego, niedawne tradycje jednak i temperament ciągnęły mię do ruchliwszych, informowałem się tedy o robocie ich przez zamieszkałego w Kijowie Aleksandra Jabłonowskiego i sąsiadującego z innym ogniskiem ruchu w Żytomierzu Korjolana Bielińskiego. Wiadomości te, poufnie przeze mnie najgorętszemu wśród nas, marszałkowi Szostakowskiemu, dostarczane — komitet nasz ożywiały. Zgodność taka pomiędzy działalnością „białych“ i „czerwonych“ praktykowała się przez długi czas, dopełniając się wzajem np. przy urządzaniu demonstracyj narodowych w kościołach, wyprawianiu delegatów na pałajotyczne zjazdy oraz w chwili stanowczej — wobec powziętej przez komitet „ruchu“ decyzji powstania zbrojnego. Ziemianie i wtedy, zachowując pełną trwogi, a zarazem sympatji bierność osobistą, zaopatrywali powstańców w konie i pieniądze na broń. Na Litwie i Żmudzi Komitet Ziemiański złał

się w chwili decydującej z „czerwonymi“, opanowując ten drugi, co zapewniło powstaniu względną trwałość i powodzenie. Na Rusi — starsi dali się opanować młodym i to było główną może, obok innych, przyczyną, że powstanie wyglądało na zbrojną demonstrację jakoby. Bitwy — na miano to zasługujące, stoczone były na Wołyniu tylko, pod wodzą Edmunda Różyckiego, na Ukrainie pod Malinkami, w Kijowskiem — pod Borodianką, poza tem (za włączeniem silnie zorganizowanych misjonarzy i męczenników z pod Sołowiejówki) materiał powstańczy stanowiły „zbiorowiska“, które przed ostatecznem jeszcze uformowaniem, przez żołnierzy lub chłopstwo otoczone — składały broń.

Na kilka dni przed wybuchem powstania, naznaczony jako naczelnik cywilny powiatu taraszczańskiego, odwozłem na wskazane mi miejsce złożone u mnie „złote hramoty“. Przyszłego wodza, oficera od saperów, Zielińskiego — przechowywałem w Olszance i sąsiednich Żytnikach, w domu Jana Kotowicza, jako geometrę, rzekomo do pomiarów gruntów sprowadzonego. W wigilję wybuchu byłem w tych punktach okręgu mego, przez które uzbrojone jednostki przejeżdżać miały, w celu zdjęcia przez policję w kołowrotach ustawionej warty. Ze Stawiszcz dotarłem do Kijowa, dokąd odwozłem gubernatorowi jako prezesowi Komitetu Włościańskiego, kilka transakcyj pomiędzy Branickim a włościanami zawarłych. Piątego maja zjawił się u mnie urzędnik policji, o sympatycznym nazwisku — Witwicki —

z rozkazem, abym się niezwłocznie stawił u gubernatora.

Włożyłem frak (taki był zwyczaj) — gdy zaś wsiedliśmy do dorożki, cerber mój kazał do policmajstra zawrócić. Tam dowiedziałem się, iż gubernator rozkazał odwiedzić mnie do fortecy. — Odchodzącego na długo a może na zawsze ze świata, los łaskawy paru wspomnieniami na drogę obdarzył. Pierwszem było wysłuchanie w czasie oczekiwania na policmajstra — poprawnie wykonanego utworu Mendelsohna, drugim — spotkanie tam uroczej jakby zjawisko panny Walerji Berezowskiej, która wraz z towarzyszącą jej poważną damą, przywiozła pościel i inne pakunki dla uwięzionych: narzeczonego pierwszej — Władysława Kunickiego i męża drugiej — Leona Michałowskiego.“

V.

MŚCICIELE.

Manifest cesarza Aleksandra II o uwolnieniu włościan z poddaństwa — nosił w prawodawstwie rosyjskiem tytuł: „Wriemiennoje położenje o krestjanach“, czyli: „Czasowe postanowienie o włościanach“, a takie sformułowanie kwestji kryło, oczywiście, w sobie obietnicę zmian i możność podziału dworskiej ziemi. To też w piersi ludu ruskiego tała się zawsze prócz żądzy — niepozbawiona pewnej podstawy nadzieja uzyskania „na wieczność“ szerokich „pańskich“ łąnów, a powstały po 1863 roku, zamiast wybieranych poprzednio, szanowanych ziemian Polaków — naznaczany z góry przez rząd „instytut mirowych pośredników“ — Rosjan — niemało się do tego przyczynił. Przeważnie bowiem nie chodziło zgoła tym panom o pomyślny dla kraju całokształt nowego rozplanowania ziemi, przyczem komasacja pól dworskich i uwolnienie od serwitutów w nielicznych tylko majątkach przeprowadzone zostały. Szachownica chłopskich i folwarcznych gruntów, nieracjonalne prawa wsi, uniemożliwiające prawidłowe gospodarstwo, tak zwane „tłoki“ (prawo wypasu po zdjęciu z pola zbóż) — zdawały się być utworzone

w celu pozostawienia ciągłego fermentu pomiędzy dworem a włościanami.

Może to było wynikiem obmyślanego, rządowego systemu, którego wyraźna chęć pognębienia ziemian Polaków na korzyść chłopów przejawiała się niekiedy u bardziej impulsywnych „mirowych pośredników“. Natchnienia, oczywiście, szły z góry. I tak kiedy gen. gubernator kijowski Bezak przyjechał do Zasławia — na prezentacji urzędników powiatowych, wśród których znajdowało się kilku ziemian Polaków, przedstawianych przez najmłodszego z nich Zygmunta Luba-Radziwińskiego, — zapytany przez prezesa zjazdu mirowych pośredników, Tarasiewicza, o instrukcję co do rewizji „ustawnych gramot“, sporządzonych przez pośredników Polaków — odpowiedział Bezak basem, patrząc z poodebna na Radziwińskiego: — Ziemi pobolsze — płaty pomieńsze!¹⁾

To też gdy do Radziwińskiego zjechała komisja szacująca ziemie, z prezesem Tarasiewiczem na czele, propozycja właściciela majątku zawadynieckiego o odseparowaniu gruntów, chętnie przez obecnych włościan przyjęta — natrafiła na gwałtowny opór mirowego pośrednika Dobrochotowa, który wykrzyknął zapalczywie: — Ja wogóle jestem przeciwny separatom! — Mitygował go Tarasiewicz, ale słowa Dobrochotowa nie przeszły bez echa, gdyż pomimo wszelkich starań jedyne Zawadyńce, z kilku folwarków Radziwińskiego, nie zostały odseparowane.

1) Ziemi jak najwięcej — zapłaty jak najmniej!

Wyniki tej polityki dały się spostrzec zczasem w zbiorowych i czynnych wystąpieniach tej lub innej wsi. Rąbano np. dworską dębinę, bo według przeprowadzonej umowy ziemia pod nią należała do chłopów, drzewa zaś — do „pana“. Z okrzykiem, dość zresztą logicznym, że „czyja hołowa, toho i wołosy“ — lub też: „Bacz, jake dywo?! Hołowa nasza, a wołosy czużyje!“ — chłopci ścinali drzewostan, pragnąc jak najrychlej się dostać do przyznanej im, tak bogatej po karczunku ziemi. Bywały i takie pomysły pośredników mirowych, że las należał do dworu — zaś w jego wnętrzu polana — do wsi. — Ptaszkciem nie przelecę do swego gruntu! — sarkali wówczas i jeździli przez las gromadnie, rąbiąc po drodze drzewa albo tratując młodziutkie szkółki. Stawy — przyznano dworom, brzegi zaś ich — chłopom i znów łowienie ryb nocą, zakładanie pokryjomu więcierzy i sieci, uniemożliwiały rozwój racjonalnego rybnego gospodarstwa, wywołując i w tym wypadku kradzieże i nadużycia z jednej strony — protesty z drugiej.

Wszystkie te jednak, sporadycznie wybuchające na kresowych obszarach, „ziemielne bunty“ i wykroczenia — szczególnie zbiorowe — przeciwko prawu, rząd tłumił i karał jak najsurowiej przy pomocy wiernego żołnierstwa w obawie, aby lud nie poczuł swej siły i zadowalał się daną mu również przez Aleksandra II — autonomją gmin. Samorząd chłopski wyrażał się bowiem w wybraniu przez zwołany „schod“ każdej wsi upelnomocnionych, „poniatych“,

kótrzy, zjechawszy się w gminie, „wołosti“ — obierali większością głosów wójta, czyli „starszynę“. W jego to ręku koncentrowała się administracyjno-policyjna władza i rządy nad okolicznem włościaństwem z kilkunastu, należących do danej „wołosti“, wsi.

Niemalą rolę odgrywał tu jednak „wołośny py-sar“, czyli sekretarz starszyny, zwykle półinteligent-mieszczanin, zgóry przez mirowego pośrednika nanaznaczany, a dźwigający wraz z paru pomocnikami ciężar rachunkowości i żmudnej, drobiazgowej pisaniny. W zakres bowiem różnorodnych czynności władzy gminnej wchodziły: spisy z roku na rok — rekruta z włościańskich mas i zdatnych dla wojska koni, ubezpieczenie od ognia chat i budynków chłopskich, utrzymanie i dozór nad szpitalami, szkołkami i drogami w obrębie gminy, kontrola nad handlem i przedsiębiorstwami w miasteczkach (w drodze wyjątku nad młynami i fabrykami w majątku ziemian, albowiem ci podlegali odrębnym prawom), wyrażająca się w przestrzeganiu wykupu handlowych i przemysłowych patentów, wreszcie — nawet możność sporządzenia protokołu i zamknięcia, w razie braku takowych, danej placówki.

Zarząd pożyczkowo-oszczędnościowej kasy znajdował się również w ręku wołośnej władzy, przyjmującej doń drobne, pieniężne wkłady i zaopatrującej w potrzebie włościan tanim i dość wysokim kredytem. Jeśli do wyliczonych już prac dodać jeszcze — odpowiedzialność za szerzącą się w danym wypadku epidemję, poprawę — opornemi, jako że

niepłatnemi wówczas chłopskimi rękami — szerokich, nieszosowanych dróg, godzenie sąsiedzkich waśni i zobopólnych „zachwatów“ ziemi, wsadzanie do znajdującej się przy gminie „chołodnej“, czyli krótko mówiąc „do paki“, wygrzmiewających skandaliczne pieśni i słowa pijaków, jeśli egzekutywa wyroków, wydawanych przez zbierający się nieraz co dni kilka „Wybornyj Wołostnyj Sud“ w liczbie dwunastu, wybranych na przeciąg roku z chłopskiej gromady — sędziów, należała do owego starszyny, plus — ściąganie bez zwłok wykupów za otrzymane w 1861 roku z dworskich gruntów nadziały, gminnych i ziemskich podatków — to pozorny splendor starszyny, jako naczelnika danej „wołosti“, wzbudzał powszechne i niezaprzeczalne poważanie wśród wszystkich chłopów.

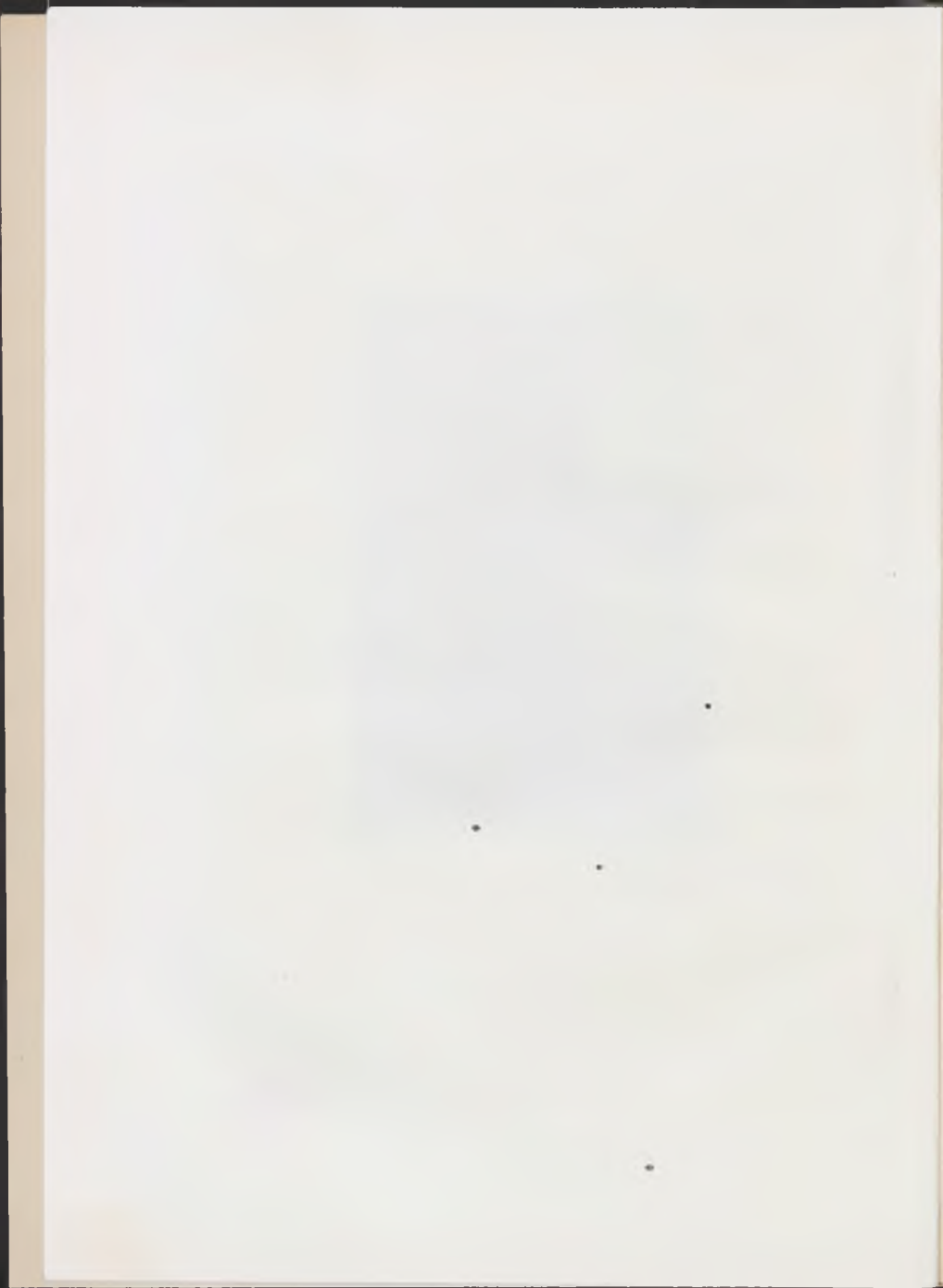
Przytem — było to stanowisko nie lukratywne, lecz honorowe, albowiem chłopci płacili swemu mężowi zaufania 8 do 10 rubli miesięcznie z „mirskiego zboru“ (gminny podatek), co dla zamożnego chłopca na Rusi nie przedstawiało wielkiej wartości, więc tylko ogólny pogląd, że to „welyka cześć“ — wysuwał zawsze chętnych i odpowiednich kandydatów. Domy, w których mieściła się „wołost“, bywały zwykle murowane, pod malowaną na zielono blachą, obszerne i jasne, o sześciu do ośmiu pokojach. Tu bowiem miał swoje trzyizbowe locum „pysar“ z rodziną — kancelarja zaś, komnata „starszyny“ i „zborna“ z kominkiem, w której chłopci oczekiwali, aż ich zawezwą do urzędowej sali, przysmażając przy ogniu słoninę, lub ciągnąc ukradkiem horiikę z flaszki,

i dwa gościnne, dla przejeżdżających urzędników pokoje — stanowiły całość solidnego budynku. Wewnątrz wisiały w rogu ikony z płonącymi przed nimi „lampadkami“, a wszędzie pierwsze miejsce zajmował malowany na blasze obraz św. Aleksandra Newskiego, jako patrona „cara-oswobodziciela“, Aleksandra II. Portrety ostatnich trzech carów z panującej dynastji przyozdabiały ściany obszernej kancelarji, odbijając złożonemi ramami od ich gładkiej i białej wyprawy. Stały tu krzesła i duże, ciężkie stoły, przykryte czeratą na codzien, do pracy, — jaskrawiące się pysznie w dniach zjazdu wiejskich „starostów“ (sołtysów) lub wołosnych sądów, narzuconem na nie czerwonym suknem. W czasie tych uroczystych posiedzeń trójboczne, o złożonych narożnikach „Ziercało“, z drukowanemi ukazami o powołaniu do życia instytucyj włościańskich przez Aleksandra II, z dwugłowym, złotym orłem u góry, ustawione pośrodku stołu, stanowiło dla uczestników jakoby wszechobecny symbol Cesarskiego Majestatu.

Tak zaznaczały się rządy caratu w zastosowaniu do chłopskich rzesz. Odosobniony od warstwy szlacheckiej, zadzierzgnięty w pętlę poddańczej wierności przez obranego z własnego stanu naczelnika — ruski, kresowy lud nie umiał i nie potrzebował myśleć samodzielnie. Ile „wołosti“ — tyleż sieci, ściągniętych sznurem, którego koniec znajdował się w ręku „rządzących wysokich sfer“. Zostawała tylko „wełyka cześć“ starszyny i ta spadała poczęści na lud. On wart był tego, by mieć zwierzchnika nie z miano-



„Starszyzna“, Rusin z pod Płoskirowa



wania, ale z własnego wyboru i radował się tem „uważeniem“ narówni ze wszystkimi przeszłymi, przyszłymi i terażniejszymi starszynami, pomimo, iż często gęsto wysypnięto mu w „chołodnej“ z jakie dwadzieścia różg ojcowską, karcącą ręką stróża przy gminie, w obecności starszyny. W pierwszych latach naszego stulecia „cielesne kary“ zostały „oficjalnie“ zniesione.

Istotna rozległość i wartość autonomji chłopskiej przypominała niezmiernie owo słynne określenie ustroju państwowego w Rosji po 1905 r. i po zezwoleniu na współpracę z rządem nowopowstałej „Dumy“ — określenie, wyrażone w almanachu francuskim w tej formie:

— Russie — monarchie constitutionelle avec un tzar — autocrate.

Podobnie było i w chłopskiej gminie. Starszyna z wyboru — miał nominalną władzę, wszystkim zaś rządziłznaczony przez mirowego pośrednika pisarz, a jeśli się trafił zbyt uświadomiony o wielkości swych praw naczelnik ludu — to rząd usuwał go gładko ze stanowiska. Tak kiedyś w Krutniowie, majątku hr. Alfreda Potockiego, na pograniczu dawnej Galicji, mirowy pośrednik, niezadowolony z opozycji miejscowego starszyny, natarł nań z góry:

— Ty znajesz, kto ja takim?!

— Znaju. Wy carskij słuha, a ja — wybranny dwumia tysiaczami hołosow¹⁾ — starszyna! — Piękne

1) Dwoma tysiącami głosów.

to były słowa, ale też rząd sprzątnął go za nie z błyskawiczną szybkością.

W stosunku do ziemian na Rusi, cesarski „regime“ przedstawiał się zgoła inaczej. Jakgdyby w sroguiej, a nie gasnącej do ostatnich lat przed wielką wojną pamięci o 1863 roku — rząd rosyjski poddał całą warstwę inteligencji polskiej pod władzę gubernatora i policji z isprawnikiem na czele. Zamiast dawnych marszałków szlachty, Polaków z wyboru, rząd naznaczał „Predwoditiela Dworjanstwa“ — Rosjanina, który miał prawo, po naradzie i aprobacie gubernatora, wybrać trzech członków do — wedle poglądu inteligencji „usieczonego“, a podług zdania tak chętnie ironizującego chłopu ruskiego — „kucego“ Ziemstwa.

Po 1905 roku wszelako, szerzej jako samorządy powiatowe i gubernjalne pojęte, zaczęły Ziemstwa funkcjonować na Rusi, podnosząc ogólny stan kultury w kraju przez budowanie tu i tam szosowanych dróg, jako też przez zakładanie pól doświadczalnych i wznoszenie gmachów szkolnych w prowincjonalnych miastach, a nawet po wsiach. Wchodzący do Ziemstw chłopci uchwalali bez namysłu największe sumy na szkolnictwo, tak wielką już była wśród nich potrzeba oświaty, a wobec braku materiału nauczycielskiego odpowiedzialne te posady zajęli w znacznej mierze rewolucjoniści, nie przyczyniając się bynajmniej do ułagodzenia ducha tego ludu, który nie był nigdy celem społecznych prac, ale raczej środkiem, wiodącym do partyjnych, ambitnych i władczych celów.

Życie religijne — ta podnieta do udoskonalania się charakterów i uczuć — było wśród tłumów chłopskich na Rusi raczej formą, niż treścią — raczej przyzwyczajeniem, niż duchową potrzebą, a wpływało to z niskiego poziomu wykształcenia prawosławnego, wiejskiego kleru. Zależność od samodzierżcy Wszechrosji, jako od głowy kościoła, czyniła z popów urzędników cesarskich, a troska o byt i przyszłość własnych, licznych rodzin, odejmowała im aureolę poświęcenia dla ogółu, stawiając ich natomiast w jednej linii z pierwszym lepszym, zapobiegliwym „pater familias“.

Wniwecz tu poszło dzieło zjednoczenia dwóch kościołów, na Synodzie Brzeskim, w roku 1596 dokonane, kiedy to biskupi łacińscy, po wysłuchaniu listu, przez arcybiskupa połockiego z ambony odczytanego, w którym tenże duchowieństwo ruskie pod władzę papieża, czyli „jedynego szafarza obroków Boskich“ oddawał — rzucili się w objęcia biskupów ruskich, a ksiądz Skarga uwieńczył całą tę uroczystość natchnionem kazaniem: „O jedności Kościoła Bożego“, prawdziwym zachwytem stłoczony tłum wiernych, a nawet dyzunitów przejmując. Począwszy od zwołanego w roku 1720 przez zunjowanego metropolitę, Leona Kiskę — zamojskiego synodu — szerzy się unja z nieprzepartą siłą na Rusi, szczególnie wśród miejscowego włościanstwa.

Możnowładztwo sypie hojną dłonią ofiary na wznieszenie cerkwi unickich, — Franciszek Salezy Potocki sam w swych humańskich i braclawskich dobrach

więcej niż sto cerkwi założył, osławiony starosta kaniowski, Mikołaj Potocki, funduje wspaniały monaster w Poczajowie na Wołyniu, a poszukiwania dokumentalne i historyczne prawosławnego duchownego — Eugenija Sicińskiego — stwierdzają, że nieledwie wszystkie istniejące cerkwie na Rusi powstały z fundacyj dawnych panów polskich. Zmiana jednak unji kościelnej na prawosławne wyznanie została przeprowadzona przez rząd carski na Rusi bez wstrząśnień i opozycji.

Najważniejszy akt spowiedzi i komunji pod dwiema postaciami nie uległ przemianie — różnice zaś w obrządkach dokonywały się powoli, nie rażąc ludności wiejskiej, tem bardziej, że metamorfozy tej podjęli się dotychczasowi unicy duchowni, na prawosławnych już przemianowani. Ze zmianą ich szat i z zarostem twarzy pogodzili się również tak pasterze, jak i owieczki. Ksiądz Skibowski — prefekt szkół bazylijskich — mianowany prawosławnym biskupem w Żytomierzu, poddał się tej decyzji rządu ulegle, inni duchowni poszli za jego przykładem i jedynym głośnym protestem w sprawie dawnego obrządku i wiary — były wystąpienia księdza Siemaszki¹⁾, którego długi czas prześladowano, poczem za warjata ogłoszono i dano mu spokój. W obyczajach

1) Imiennik osławionego episkopa litewskiego tegoż nazwiska, wroga unji, który się do jej wytępienia niemało przyczynił, zamykając po 1832 r. podtrzymujące ją gorliwie klasztory bazylijskie.

wszelako byłego duchowieństwa unickiego i w stosunku jego do dworu nic się napozór nie zmieniło. W domostwach ich mówiono dalej po rusku, nie zaś rosyjskim językiem, a towarzyskim, wyższym, jak u nas kiedyś francuszczyzna, — był polski, szczególnie u kobiet.

W jaki sposób warunki życiowe przyczyniały się do „nawracania“ parochów i jak zlekceważona przez rząd rosyjski odporność ich względem nowych władców, a przywiązanie do dawnych, polskich ziemian tkwiło długo w ich duszach — zaświadczyć mogą następujące, z życia wzięte obrazki:

Kiedy w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia właściciel Mińkowiec, pow. dubieńskiego (wieś została zaliczona do niewielu „opornych“) zapytał kiedyś w rozmowie eks-unite, ks. Abdykowicza: — Co księdza parocha skłoniło do przejścia na prawosławie? — tenże odpowiedział mu szczerze po polsku: — Proszę pana dziedzica! W chwili, w której mi oświadczone: „Wynoś się, aspan, do trzech dni, albo przyjmij prawosławie!“ — miałem pięć złotych polskich (75 kopiejek) w kieszeni i dziesięcioro dzieci na karku. — Na takie dictum — pan dziedzic, oczywiście, zamilkł.

W latach pięćdziesiątych zeszłego wieku, w Siekierzynicach Brezów (pow. ostrogski) był zwyczaj, że na Trzech Króli paroch święcił nie tylko wodę na wsi, ale i folwark, obchodząc wszystkie budynki. Na zakończenie tej swojej czynności wstępował do dworu i tu składał życzenia po polsku: — Życzę państwu,

żeby syn państwa, Achilles, doczekał się jeszcze króla polskiego!

W tym również okresie czasu był parochem w Szymkowcach (pow. ostrogski) ks. Skoropadzki, w którego domu mówiono tylko po polsku, a jego córka, Taisia, brała lekcje tańca we dworze razem z młodziutkim podówczas „paniczem“, Zygmuntem Luba-Radziwińskim. Kiedy zaś w roku 1876 przewożono zwłoki babki pana Zygmunta, Franciszki, urodzonej z ostatniej Mukosijówny-Deniskówny (starożytny ród ruski) przez Siwki do Lachowiec, gdzie się znajdowały groby rodzinne Radziwińskich — ksiądz paroch Sendulski przyszedł prosić o pozwolenie przyłączenia się do orszaku pogrzebowego dla oddania czci ostatniej Deniskównie.

Jeszcze w roku 1894 zdarzały się, rzadkie już wprawdzie, objawy łączności prawosławnego duchownego z dworem polskim. Tak więc, gdy umarła w Wołoskiem (krzemienieckiego pow.) z Jełowickich Czosnowska, „przyjaciółka ludu“, pop Kiryłowicz czytał ewangelję przy jej zwłokach i wraz z „piewczymi“ i cerkiewnymi chorągwiemi brał udział w prowadzonym przez kler katolicki, żałobnym pochodzie.

Podobnie życzliwe stosunki zdarzały się i w Kijowszczyźnie. Eks-unita, ks. Michał Szydłowski, po odbyciu ceremonji święcenia wody, czyli tak zwanego „Jordanu“, przychodził również w Zarudziu do dworu i poświęcał pokoje, zostając później u Tytusostwa Karnickich na długiej i przyjacielskiej pogawędce. Gdy zaś Kalikst Dunin-Kozicki objął Zarudzie, jako

spadek po dziadzie — pop prawosławny, Narcyz Tomaszewski, przysyłał mu zawsze życzenia świąteczne i noworoczne po polsku, adresując je do: „Wielebnego Pana Kozickiego.“

Z biegiem lat stawały się, oczywiście, zarysy unji coraz bardziej widmowe i mierzchnące, aż wreszcie zatarły się w pamięci miejscowego włościaństwa, i prawosławie zostało religją, panującą jakoby od wieków. Z Poczajowskiej Ławry, która dawniej unję świętą po całej Rusi szerzyła, — lały się teraz potoki nienawiści ku wszystkiemu, co polskie, a wysyłane stąd przez „monachów“ druki podżęgały lud „prawosławny“ przeciw katolickim, „obcym“ temu ludowi przybyszom.

W tem niezgłębionem morzu ciemnoty, pod narzucaną na nie zasłoną na przeszłość — nurtowały wszelako dwa prądy dziejowej, odwiecznej tradycji — dwa prądy tak różne, a tak historycznie wierne pierwotnym źródłom, z jakich początek swój wzięły.

Jakiś Rosjanin, wzbogacony na dostawach do armji, czy też na budowie fabryk w centralnych gubernjach, z arystokratką żonaty, kupił piękne dobra na Podolu, osiadł w nich i dwór swój urządził wspólnie. Pomimo to wszystko — sąd miejscowych chłopów o nim tak sformułował się jednomyślnie:

— Jakij win pan! Bohatyj prawda, ale do cerkwy chodyt! Ce ne pan z paniw! Pany wsi majut polsku wiru (wiarę)!

Było jednak i tak: Ktoś z polskich ziemian przytapał dwoje dzieci ze wsi okolicznych na szkodzie,

w marchwi pastewnej. Wedle zwyczaju odebrał im za karę marchew i narzędzie, jakim kopały. Wówczas rzuca mu się do nóg z płaczem mały winowajca:

— Bijcie mnie, proszę pana, ile chcecie, ale to mi oddajcie! Ja to wziąłem „krad’kom“¹⁾ przed tatem! A on to tak chowa, bo to nie nóż! To ta pika, szczo Lachiw kołoty! — (kłuć).

Tylko więc mocny i sprawny aparat rządowy utrzymywał te niezliczone i nie mające żadnej z zewnątrz podniety do wyższego duchowego życia, żadnych kulturalnych rozrywek — włościańskie tłumy w ryzach pospolitej moralności i przykładowego przeważnie spokoju. Ale — tak jak fałszywa, odbiegająca od doskonałej linii wykreślona, musi dać w dalekobieżnym swem wydłużeniu jaskrawo rozwarty kąt z tamtą — podobnie — fałszywie na ciemnocie olbrzymaludu oparty system, przyniósł w fatalnym, nieuniknionym wyniku — upadek dynastji.

W pierwszych chwilach rewolucji rosyjskiej mechanizm carskiego systemu funkcjonował jeszcze czas jakiś gładko mocą prawa inercji, — następnie wszystko runęło nagle i niepowrotnie, podcięte kosą rządu tymczasowego. Wszechwładny chaos zapanaował w każdej dziedzinie życia. Ziemstwa zawirowały na lewo, wchłaniając w siebie przygodnych krzykaczy. Poważni, świadomi swych celów dotychczasowi pracownicy usuwali się zwolna, wypychani falą

1) Ukradkiem.

gardlujących i aprioristycznych reformatorów. Upadły wraz ze starszynami — wołosti, zamieniając się w „wołostnyje ispołnitielnyje komitety“, z członkami i prezesem z wyboru, a wobec stosowanego natychmiast prawa o powszechnem ogłosowaniu, rządy znalazły się istotnie w ręku szerokich mas, o których można rzec było z najczystszą sprawiedliwością: „iż dużo tam powołanych, ale maluczko — wybranych!“ Sceny, odbywające się przy skrzynkach, zawierających, jako wyraz „woli narodu“, wrzucane po dwóch stronach środkowej przegrody gałki wyborcze, — warte były bezsprzecznie pióra i pendzla najpierwszych satyryków świata.

Skrzynki owe miały na wierzchu rodzaj blaszanego lejka, osłaniającego jednocześnie dwa przecięte w wieku na „czarną“ i na „białą“ stronę otwory, jako też rękę rzucającego gałkę wyborcy. Zanim bowiem rewolucja rosyjska stała się pod każdym względem bezsprzecznie — „jawną“ — głosowanie nie podlegało jeszcze czteroprzymiotnikowej doskonałości, pozostając „tajnem“. Podchodził tedy chłop-wyborca do „izbiratielnej urny“, brał we dwa palce gałkę, trzymając ją czas jakiś w powietrzu, tak aby mowy nie mogło być o chęci oszustwa, poczem — puszczał ją z góry w środek lejka, mówiąc z rubaszną dobroduszością: — Daj Boh szczastja! Kudy poletyt¹⁾ — tam i bude! — Niekiedy stawiano wyborcze skrzynki bokiem — wówczas otwory i lejek

1) Gdzie polecą — tam i będzie.

znajdowały się u góry, ale nie w pionowej, tylko w poziomej, zwróconej ku wyborcom pozycji. Ci ostatni, łącząc w takim wypadku pożyteczne z przyjemnym, — strzelali zdaleka gałkami w rozwartą szyję lejka, rezonując z fatalizmem słowiańskim:

— Szó Boh dast, — to nechaj i bude!

Niektórzy znów — konserwatyści zaciekli — podchodzili do cudaczných, wedle nich, „skrynok“, rozpytując się podejrzliwie sąsiadów i obcych przybyśzów o znaczenie tych wszystkich „nowości“. Pukali knykciami w drewniane ściany pudła, z pewnem wahaniem brali do ręki wyborcze gałki, wrzucając je istotnie najtajniej w świecie, w tem przekonaniu, iż w gruncie rzeczy kryje się tu, tak albo owak, jakaś nieznaná im „chytróść“. Uświádomionych wśród szerokich, chłopskich mas wyborców — było niezmiernie mało, zdarzali się wszelako i tacy, którzy głosowali, pojmując odpowiedzialność tej procedury, jak i wartość własnego, oddanego kandydatowi głosu.

Po zrzuceniu despotycznego caratu i zapanowaniu „rewolucyjnych czasów“, automatycznie upadła wszelka klasowość, a równość powszechna, ów cel niedościgły idealistów całego świata, stała się czynnikiem, regulującym nowe stosunki. Zniknęła tedy dawna administracyjna odrębność chłopów i szlachty, a wybierane (niestety, powyżej przytoczonym sposobem) gminne i powiatowe „ispołnitielnyje komitety“ ujęły w swe ręce jednocześnie egzekutywę i władzę, reprezentując interesy wszystkich mieszkańców danego okręgu. Mściwa celowość bowiem

genjalnie prowadzonej agitacji nie zadowolili się ruinieniem krępującego poprzednio ich zamierzenia i życie „regime'u“, ale — przez lud — zwróciła ostrza swej zemsty w pierwszej mierze — przeciwko wykonawcom politycznego programu caratu, następnie zaś kolejno — przeciw trzem uprzywilejowanym, korzystającym z tego, co plebsowi i żydom było wręcz niedostępnem, — warstwom społecznym: oficerom, ziemianom i inteligencji miejskiej. Tę — wytępiono przy końcu, jako zgola zbędnych konkurentów przy obejmowaniu kierowniczych stanowisk w nowym, bolszewickim już rządzie. Deptanie nogami rozjuszonego ludu pozostałości obalonego systemu wyraziło się przedewszystkiem w żywiołowej nienawiści ku żandarmerji i policyjnym funkcjonariuszom. Wzburzony tłum chłopski palił ich siedziby wraz z papierami i aktami przeróżnych „dieł“ (spraw), pędząc ich nieraz w bieliźnie i boso przez wieś lub miasteczko, dobijając wreszcie na miejscu wielokrotnemi razami siekier i kijów. — Gińcie przekłęci ochrannicy, carskije „prisużniki“, opriczniki! A żebyście gorzeli w piekle przez całą wieczność! — Zdarzało się wprawdzie, iż „uriadnik“ rozkazał wysmagać niekiedy ukradkiem jakiegoś niepoprawnego złodzieja — albo znęcał się nad zabójcą przy długich „doprosach“, tu więc chęć zemsty byłaby przynajmniej usprawiedliwiona, ale żandarmerja na kresach i w Rosji miała zadania i cele li tylko i najściślej polityczne, tworząc jeden z widocznych przejawów skrycie działającej carskiej „ochrony“. Przytem —

rezydujące w każdym powiatowym mieście, składające się z oficera i podległych mu (prócz kolejowych), kilku na cały powiat żandarmów — „żandarmskoje uprawlenije“ — nie wchodziło nigdy w żadne przykre kolizje z włościąństwem miejscowem, wobec jego pozornie szczerze-lojalnych uczuć dla panującego domu. Dowodziły tego nie tylko liczne i z dobrowolnych ofiar stawiane przy wołostkach, a nawet po wsiach miedziane popiersia i pomniki Aleksandra II, ale i „prygowory“ (uchwały) wołostnych „schodów“, domagające się uczczenia (i to znów z własnych pieniędzy) uroczystą „panichidą“ pięćdziesięciolecia zgonu cesarza-oswobodziciela z sutą następnie ucztą dla zjeżdżających się w tym dniu do wołosti olbrzymich tłumów. Po ukończeniu w cerkwi nabożeństwie, w czasie którego rozbrzmiewał piękny chóralny śpiew, specjalnie w tym celu sprowadzonych, najlepszych w okolicy „piewczych“, szła ciżba powiewającego chorągwiami ludu z „batiuszką“ i zaproszonym, prawosławnym klerem na czele, przy akompaniamencie pobożnych, chóralnych pieśni — do gmachu wołosti miejscowej. Tam — w obszernej kancelarji, przed obrazem św. Aleksandra Newskiego, odbywała się śpiewana „panichida“ (egzekwje) za duszę zmarłego dobroczyńcy włości, „raba¹⁾ Bożija Aleksandra“ — poczem już następowało obfite „ugoszczenie“ wszystkich zebranych. Wyznaczony w tym celu zawiadowca nagromadzonych w niepraw-

1) Sługi Bożego.

dopodobnych ilościach pieczywa i mięsiv, podawał je w misie kolejno podchodzącym chłopom, jako jednaki, zgóry wymierzone porcje. Słowiański Pantagruel zsuwał do czystej „chustynki“ pięknie wypieczony, rumiany i bieluchny wewnątrz kołacz, tęgi kawał smakowitej kielbasy, gotowane jaja i flaszkę „oczyszczonej“, którą chwycił za szyjkę i wsadzał do bocznej kieszeni „pidzaka“ ze sprawnością znającego się na rzeczy amatora. W czasie, odbywającej się w izbach wołosti uczty, dźwięczały mile dla ucha, śpiewane przez „piewczych“ kantaty, sławiące zasługi cara, „ojca narodu“. W dniu zaś imienin któregoś z członków dynastji Romanowych, gdy „batuszka“ wymawiał sakramentalne słowa modlitwy, prosząc Boga „o zdrowie dla całej panującej nam miłościwie carskiej rodziny“, głośne „ura“ chłopów bywało potwierdzeniem ich wiernopoddanych uczuć. Nie bacząc na konwencjonalność porównania, orzechy można w tej mierze, iż wielomiljonowy, kresowy i rosyjski tłum był oceanem nietylko głów, ale uczuć i czynów. Uległość i bierność polerowały długo pod protektoratem „samodzierzców“ zaciszną jego toń. Ale padł piorun w cesarza — zerwał się wicher agitacji i wdarł do głębin, tocząc groźne swą bezwładnością ciemnych głów fale. Lud-olbrzym, żgnięty rewolucyjnym prądem, wpadł w daltonizm moralny, biorąc rozpętanie — za swobodę, w bezprawiu widząc — zwycięstwo, w zbrodni — karzącą sprawiedliwość! W rozwoju logicznie idących wypadków — żołnierz-mściciel, syn ludu, zatopił nóż

w piersi oficerów rosyjskiej armji — opory tronu i gniotącego wywrotowców systemu. W nagrodę zataką wierność rewolucyjnym hasłom darowali przywódcy rozrastającego się potężnie ruchu państwowe i prywatne dominja ziemskie „wsiem wsiem, wsiem!“¹⁾, Już tylko „pomieszczyki“ i „pany“ stali na drodze do urzeczywistnienia najgłębszych pożądań. Olsniony bliskością bogactw i szczęścia, szedł lud-triumfator w słońcu rzekomej wolności, przez rubiny krwi i brylanty łez, przez stargane i zgruchotane sznury pereł ludzkiego, dojmującego cierpienia, łamiąc i burząc wszystko po drodze — do niedostrzeganej jeszcze przez siebie, czarnej nocy nowego zakucia. A ci, którzy od początku, z ukrycia, kierowali agitacyjną dźwignią ku zniszczeniu monstrualnie i mądrze zakreślonego planu, dziś — jako istotni triumfatorzy — panują na kresach i w całej europejskiej i azjatyckiej Rosji, pragnąc narzucić władztwo swych życioburczych idei — całemu światu.

Genjalna intuicja rosyjskich poetów zdawała sobie snadź jasno sprawę ze skomplikowanego i niezrozumiałego częstokroć ducha Rosji, gdy w roku 1831, wiek prawie wstecz przed rewolucją, Lermontow pisał tak:

„Nadejdzie rok, czarny dla Rosji rok,
kiedy dynastja carów legnie w proch,
miłości dla niej niepamiętny tłum
połamie praw tablice. Dzieci jęk
i kobiet nieszczęśliwych rozbrzmi szloch

1) Wszystkim, wszystkim, wszystkim.

bezbronny... I posłyszysz wszecz i wzdłuż
kraj cały, jak zarazy ciężki krok
zatętni, a jej chusty krwawej szum
przeleci nad siołami, wionąc w lud.
I wstanie ponad Rosją czarny głód
i łuna wstanie, czyniąc z nocy dzień.
Wówczas powstanie człowiek, moczarsz — on,
i poznasz go, o Rosjo, we krwi zórz,
i pojdziesz — co oznacza w rękę jego — nóż.
Nad twoim płaczem jego śmiechu zgrzyt,
i ponad tobą jak okropny świt
wysokie jego czoło — zjawia strasznych śnień!“

(Tłumaczenie K. Iłłakowiczówniej.)

VI.

„WSTAWAJ, LUDU ROBOCZY!“

Gmach wołosti w niewielkiem, podolskiem miasteczku N... opustoszał. Po obfitym obiedzie i hucznych, oblewanych szeroko wiwatami na cześć wybranego „predsiedatelia“, komitetowi włościanie się rozjechali i Rożański pozostał w kancelarji gminnej ze swymi pomocnikami. Ściany pokoju świeciły już teraz nagością, albowiem zdjęte z nich portrety cesarzy stały na strychu „na wszelki wypadek“. Pióra piszących posuwały się śpiesznie po papierze, ponieważ spraw wszelkich nagromadziło się wiele. Ci cho było wokół, gdyż licznych interesantów wyprawiono chwilowo do „zbornej“.

Pan Stefan usiadł za stołem, podparł się ręką, oczy przysłonił, aby przed obcymi uchodzić za mocno przejętego jakąś leżącą przed nim pisemną skargą i pograżył się w rozmyślaniach.

...— On — Rożański — spokojny rolnik podolski, który nie chciał nigdy występować na arenie społecznej, stał się niespodziewanie prezesem rewolucyjnego komitetu!... Dźwięczały mu jeszcze w uszach składane przez komitetowych sprawozdania z prze-

różnych wybuchów wsi okolicznych. Starczyło jednego dnia ich nieobecności z powodu wyborów, aby tu i tam znów wyrwały się dzikie płomienie nieznanych przedtem czynów. Strzelano w plecy umykającego konno żandarma — zwałił się na ziemię i tu posiekano go wprost na drobne kawałki, jakby „swyniacze mięso“!¹⁾ W innej znów wsi odbył się krwawy samosąd nad „złodijką“ miejscowym. Chłopi, uznawszy, iż taki psi syn nie wart nawet pogrzebu, wywieźli zwłoki na drogę i tam zrzucili z wozu do rowu. — Ne bude nam bilsze wże koney krasty! — przechwalali się z gwałtowną zajadłością w głosie. Zasepione twarze rozmawiających z Rożańskim komitetowych świadczyły o budzącym się w nich niepokoju wobec tych strasznych wybryków. — Szoco ce tworytsia! Szoco ce tworytsia!!²⁾ — powtarzali chwilami z istotnem zdumieniem: — Tacy byli przedtem „tychije“ (cisi), a teper stały zrazu jak dykije (dzicy) ludy! — A znajete, proszę pana, co u nas zrobiło się?! Aż strach zbiera takie słowa z gęby wypuścić!! Chodził tam czasem na noc do „rekrutki“ Paraski jeden chłop z naszych. Dobrze. Co tobie do tego, kiedy żonka nie twoja! A tu zebrała się ich cała kupa i w trzy migi — ubili człowieka. — To grzech! — mówią. — Jej „czołowik“ na wojnie, głoduje, bieduje, krew leje, a ona z innym na wiarę żyje! My tego już dłużej ścierpieć nie możemy! Zro-

1) Wieprzowe mięso.

2) Co się to robi?!

bili porządek, taj hodi! Nie trzeba im już teraz sądu! Jak kto do kogo za co złość miał, to wnet najgorszych zabijaków we wsi podbechta! Obstąpią tamtego z pałkami dokoła, o ziemię nim rzucą i dalejże — winny ty, brat, czy bez winy — a walą go wzdłuż i poprzek, jakoby baby szmaty kijankami na rzece! — Wże nema tobi Mykołaja! — tak mu przygadują i taki „samosąd“ dopóty robią, aż ukatrupią człowieka! — Mróz szedł po kościach słuchającego tych opowieści, pana Stefana. Ciężar odpowiedzialności za utrzymanie jakiegokolwiek, przynajmniej względnego porządku, tak legł mu na głowę, jak w pojęciu starożytnych — świat na barki wysilającego się dla dźwignania go Atlasa.

— Potrzebne mi to! — myślał teraz. — A w dodatku pełno mam skarg od ziemian! Tu — koniżynę spaśli i kijami ekonoma z „objeszczykiem“¹⁾ precz odegnali, gdy ci im, wedle zwyczaju, konie za stratę zająć chcieli. W innym majątku — las rąbią, jak swój — a tam znów przepędy chłopskiego bydła przez wyorane pod buraki pola — udeptują rolę jakby z umysłu! Spasają łąki nocami. Trawa młodziutka, ledwo podрастаć zaczęła! Dla bydła korzyść niewielka, a dla sianożęci okrutna strata! O karach mowy tu niema! Godzić ich wszystkich trzeba koniecznie, żeby to się w jakiś straszny, niszczycielski pożar nie zamieniło! Muszę zorganizować natychmiast po wszystkich wsiach sprężystą milicję.

1) Polowy.

Tylko — skąd wezmę na to potrzebne środki?! Podatków nie płaci nikt! Ja sam nie płacę i czekam, co będzie. Tymczasem, jest w kasie trochę pieniędzy, a potem jakoś inaczej dam sobie radę! W każdej z tych wsi, które już mnie podlegają, jest przecież magazyn z zapasowem zbożem, jako rezerwa na głodne lata. To było mądre rozporządzenie carskiego rządu! Przyznaję mu chętnie tę jego zasługę! Ale chłopci ruszyć z tego, bezsprzecznie ich zapasu, ani ziarenka nie dadzą! Trzeba będzie do dworów przemówić! Chcecie ochrony przed rabunkami i bezprawiem — to złóżcie pieniądze na porządną milicję! Inaczej — i Salomon tu nie poradzi! Może zwołną mnie wszyscy razem z tej wielce zaszczytnej prezesury, a ja z rozkoszą powrócę do domu. Prawda, że chłopci obiecywali mi szczerze: — Niechaj się pan nie frasują! Pan tu będą „chadziajewaty“, a my — u pana. I zbierzemy i zmłócimy, kiedy i jak pan rozkaże! Będzie szło panowe gospodarstwo, tak sprawnie, jakby pan sami na karku nam siedzieli! Tylko nakażcie, proszę pana „Franekowi“ (ekonom) i Iwanowi Zelenomu (pomocnik), szob ne dywyłysia na żadnu swobodu i jak tra kogo wychrestyty¹⁾ — to nechaj ne żałujut! —

— Towarzyszu prezesie! — przerwał mu rozmyślenia jeden z pomocników. — Już część „powiestek“ (awizacyj), wzywających do stawienia się w wołosti chłopów i właścicieli ziemskich dla rozpatrzenia wza-

1) Ogrzmocić.

jemnych ich skarg, gotowa. Możeby je rozesać po dworach i wsiach?

— Oczywiście — rzekł Rożański. — Posadzić zaraz na koń gminnego posłańca i niech wszystkim wedle adresów doręcza¹⁾.

— Przepaść tu można będzie z tylu sprawami! — odezwał się gniewnie pisarz — patrząc na leżące przed nim papiery. — To nietylko dwory z wsią, ale chłop z chłopem za łby się biorą! „Swoboda“ wam, szob wy połopały,²⁾ durackie głowy! Dalibóg! jakby się szaleju wszyscy po same gardło ponapijali! Przedtem — to była jakaś „włast“, był starszyna, policejski uriadnik przy każdej wołosti, a po wsiach — diesiatskij, sotskij, ten na dziesiątek, a drugi na setkę muzyków, a nad wszystkim — za tobą i nad tobą, wprzód i wtył, w lewo i w prawo — jakbyś się nie wiercił — „zakon“³⁾ tobie tu, „zakon“ tobie tam! To i strach taki mieli, jak ryba przed niewodem! A teraz — czuje dusza — nie wytrzymać nam tu długo z takim narodem! Licho wie, jak do nich przystąpić.

— Dobrze, że my tu w swojej kompanji — rzucił ostrzegawczo jakiś głos. — Chociaj wy szczerą prawdę mówicie, a byłoby wam, było, żeby tak do chłopów to doszło! Niech Pan Bóg strzeże! Aż mróz kości łamie! Wiecie już, jak oni z „wrogami słobody“

1) Przy gminie za czasów carskich były cztery konie dla sprawności administracyjnych rządów.

2) Popękały.

3) Prawo.

od tych kilku rewolucyjnych tygodni rozprawiać się zwykli!

— Ja myślę — rzekł znowu Rożański — że może dobrze zorganizowana milicja potrafi przyciągnąć im cugli. Bo jeśli dłużej taki stan potrwa, to musi się skończyć anarchją. Trzeba tę kwestję ze wszystkich stron i dokładnie rozpatrzyć. Dawna, naznaczana przez wiejskiego starostę (sołtysa) nocna straż sielska nie jest w stanie utrzymać porządku. Dwóch ludzi z kijem w ręku, to nieco za mało na rewolwery i bomby! A tyle ich jest, pokryjomu, po chatach! Wobec zniesienia kary śmierci w armji, pozostawiali je wszędzie „dezertiry“ opuszczający samowolnie front, „szob dowidatyś¹⁾ do swoich“. I tam „swoboda“ pożarła wprost dyscyplinę! Wątpię przytem, czy tak jak dawniej, według zwyczaju, położony w ich chatach „wartowy kij“, nakazujący bez słów pełnienie opieki nocą nad wsią — wywarłby jakiegokolwiek wrażenie! Powtarzam: spokój i czuwająca nad nim sprężystość naszego komitetu wykonawczego, to najpierwsza winna być myśl nasza i troska!

— Towaryszcz-predsiedatiel — rzekł stróż przy gmienie, wchodząc śpiesznie do kancelarji — w „zbornej“ aż hude!²⁾ Chłopi przyprowadzili na sznurkach dwóch „okomanów“ i czterech „objeszczyków“! Jest i jeden posesor!

— Lycho jeho materi! — krzyczą. — Nie daje nam paść na łące! Wziały jeho na „nytku“ i pry-

1) Dowiedzieć się.

2) Huczy.

węły do preśdiedatiela! Nechaj robyt sud! A drugie aź ryczą: — Okoman z objeszczykiem wyganiają nam skotyńę¹⁾ z leśnych posadek! — Znajdetsia mutuzok²⁾ i dla tebe, ne bijśia! Szcze ty ne zna-jesz, szo teper swoboda?! Hde choczu, tam pasu!

— Wprowadzaj ich pokolei do kancelarji — rzu-cił krótko Rożański. — A z kaźdej wsi osobno!

— Nasłuchamy się różnej „czuszi“! (głupstw), za-śmiał się ironicznie pisarz. — Nie mówilem-li wam przed chwila, że oszalał naród, jakby nim biesy wkółko, aź do zawrotu głowy kręcili!

Tak stał się Rożański gospodarzem gminy, jeź-dząc codziennie do miasteczka kilkanaście wiorst z Szamrajówki i powracając nieraz do domu o dzie-siątej w nocy z powodu gromadzących się nieustan-nie rozlicznych spraw. Powstał bowiem przy Wołost-nym Ispołnitelnym Komitecie tak zwany „Ziemiel-nyj Oddział“, w celu rejestrowania majątków ziem-skich, biorąc je „na uczoł“ (ewidencja). Z nakazu Rządu Tymczasowego spisywano po dworach martwe i żywe inwentarze, stan i powierzchnię zasiewów, ilość ziemi i budynków folwarcznych, ograniczając już zlekka prawo własności, gdyż podpisany przez właściciela spis, obowiązywał go nadal, co do ilości wyszczególnionych narzędzi, bydła i koni.

Przedstawiciele „Sowieta Sółdatskich i Raboczich Deputatow“, który utworzył się w N... tak samo-rzutnie i niezależnie od obranej, nowej, gminnej wła-

1) Bydło.

2) Sznurek.

dzy, jak wogóle w całej, nurzającej się w toni swobody Rosji, — zjawiali się niejednokrotnie w gmachu dawnej wołosti „na kontrolę“, żądając od „predsiedatiela“ wykazu wszelkich czynności i rachunków. Kontrola kasy odbywała się zawsze w obecności kilku przynajmniej chłopów, po których pędził nagle kasjer, skoro tylko dojrzano zdala, przez okno, zdążających ku siedlisku „Ispołnitielnawo Komitieta“ żołnierzy. Z początku odnosili się oni z uznaniem dla rzetelności towarzysza-predsiedatiela, a nawet, jako wyżsi od oficjalnej władzy, rzekomi obrońcy „praw narodu“ — chwalili go przed chłopami: — Nie mogli wy lepszego wyboru zrobić! On nie da was skrzywdzić! — Powoli jednak jęły z nich opadać stalowe łuski pancerza cnót, przykrywające jakby na wielkiej tragicznej maskaradzie żarłoczne apetyty tych stróżów rewolucyjnych ideałów. Przesuwający się z frontu w luźnych gromadach przez miasteczko N... i tam i sam, po całym Podolu, „towariszezi“ — nieśli z sobą zaduch, ogarniającej armję gangreny. Coraz częściej miewał już Rożański hałaśliwe sceny w swej kancelarji, gdy żołnierze wymagali zuchwale otwarcia bez świadków stojącej w rogu, stalowej kasy. — Eto narodnoje dobro! — tłumaczył im z całym spokojem. — Tu lud złożył „swoją kopiejkę“! Pojmijcie, towariszczu! To „trudowaja kopiejka“ narodu! Zresztą — kasjera gdzieś niema, a klucz u niego. Łamać przecież takich zamków nie będziemy! Poczekajcie chwilę. On zaraz przyjdzie.

Nadchodził kasjer istotnie, ale ku wściekłości sa-

mozwańczych deputatów, w otoczeniu uzbrojonych w potężne kije chłopów. Przy drzwiczkach otwartej kasy odbywała się nudna już teraz komedia rachowania wydobytych asygnat.

Patrzano na siebie wzajemnie z podejśba. Grube sękaty kije zdawały się mówić: — Nie ugryziecie naszego dobra! — A chciwe połyski żołnierskich oczu wieściły niechybnie: — Jak zbraknie nam cierpliwości, to wszystkie kasy, i wasze i „panów“, bombami rozniesiemy!

Ciągnęło się tak z wielką biedą do 15 czerwca i już Rożański na walnem zebraniu złożył swoją dymisję, ale go chłopci zwolnić nie chcieli.

— My was nie puścimy! Umiecie wykręcać się jak wjun! Drugiego takiego nie znajdziemy! Nam z wami — dobrze. Zostawajcie dalej.

— Dobrze. Zostanę. Ale — rzucił stanowczo — dacie mi urlop na dziesięć dni. Ośmnastego czerwca odbędzie się w Kijowie zjazd Polaków z naszego kraju. Muszę tam być, rozglądnać się w różnych sprawach, ludzi popytać, co i jak dalej czynić należy, posłuchać zdania mądrzejszych odemnie. A i dla was to będzie tylko z korzyścią, bo sami widzicie, że nie tak ta „słoboda“ wygląda, jak się nam zdało z początku!

— Ta, prosze pana — chłopci skrobali się za uchem zakłopotani i wahający. — Jakże pan nas bez opieki zostawia?! Kiepsko będzie z tymi żołdaciskami! Nie poradzimy!

— Kilka dni prędko przeminie — uspokajał ze-

branych Rożański. — Powiecie „towariszczam“ i ich deputatom, że pojechałem do Kijowa, bo mnie tam wezwał... no kto? ...Niech będzie — Kiereński! Tak! Doskonale. Kiereński wezwał naszego „predsieda-tela“, a bez niego my nic nie wiemy! Tak im będziecie walili, a głośno i ani okiem nie mrugnąć! Iwan Ditiuk mnie zastąpi, a nasz pisarz i pomocnicy od czego mają języki w gębie?! Tam do diabła! wy tu jesteście gospodarzami, czy oni?! Tylkoż ostro! A po powrocie zaraz wam wszystko opowiem!

— No, to niech już pan jadą! Ale niechże pan dobrze się przysłuchują, co tam będą o „ziemi“ mówili! Czy prędko chłopów nadziela?!

— Co wy gadacie! Tyle razy tłumaczyłem wam przecież, że tylko ogólne zebranie, kon-sty-tu-anta, może taką ważną sprawę rozstrzygnąć! Co mają do tego „panowie“? Oni tylko posłuchać muszą nowego prawa jak wyjdzie od rządu.

— Jakto co mają panowie?! Oni tę „ziemię“ w rękach trzymają, to i dać mogą, albo nie! Proszę pana! Źle będzie! Naród już nie taki ciemny, jak za Mi-kołaja, a złe ludzie buntują, a kręcą, a takie rzeczy plotą, że uszy puchną! Proszę pana! Nam samym straszno! Niech pan będą łaskawi i na tem zebraniu tak wszystkim powiedzą:

— Pośpieszajcie, bo będzie coraz to gorzej!

VII.

POLSKI LUD NA PODOLU.

Złowrogi wał chmur zaciągał tedy powoli niebo jak nierozzerwalne kolisko ze wszech stron i tylko w jednym miejscu widniał ciągle lazuru pogodny szmat, a piorunowy zygzak gromu zniszczenia nie miał się teraz po nim przewinać. Tą niedostępną dla burz rewolucji i bolszewizmu opoką polskośći i wiary były, zwartą masą przez lud polski, tak zwanych „Mazurów“, zamieszkałe, niemal do Płoskirowa przylegające, wsie: jak Zarzecze, Hreczana, Maćkowce, Szaraweczka i dalsze nieco: Malenicze, Różyzna, Różydzanka, Leźniów, tak owymi dziarskimi Mazurami zapełnione, że parafja płoskirowska liczyła około dwudziestu tysięcy wiernych katolicyzmowi dusz. Kolonizacja ta, po tak pomyślnym dla Polski karłowickim traktacie, mocą którego zwracała jej Porta Kamieniec i ziemie podolskie, na początku XVIII wieku powstała, najwymowniejszym jest dowodem, w jaki sposób należało osiedlać po tylekroć razy spustoszone pola i stepy kresowe, aby żywioł polski zachował swą narodową odrębność i nie zlał

się z biegiem czasu w jedną całość z elementem miejscowym.

Dwa bowiem jednoczesne ruchy wirowały w owych latach, gdy „zdobycze pługą polskiego“ i cywilizacji zachodniej Lechitów przyłączały powoli owe ziemie ruskie do rdzennej Rzeczypospolitej: u góry — ruch dośrodkowy szlachty czerwonoruskiej i ruskiej do cywilizacji i kultury polskiej, owych „gente Rutheni — natione Poloni“, sprawiający, iż powoli wszystkie rody ruskie zlały się z rycerstwem Polski w jednolitą całość. U dołu — przeciwnie: lud napływowy z Mazowsza i Wielkopolski, drobna szlachta, zasiedlając obszary kresowe bez powziętego państwowego planu, grupując się jak nieznaczne „plamy“, biegnąc w głąb niby wąskie strumienie, wsiąkała wprost bez śladu przyniesionej z sobą polskości w masę ruskiego chłopstwa, gdy jeszcze wobec łagodnego liberalizmu Jagiellonów nie dbano tu zgoła o wyodrębnienie jej narodowościowe. Stąd — jak dowodzą ostatnie historyczne badania — pochodzą olbrzymie straty ilościowe żywołu polskiego, straty — przewyższające o wiele ubytek ludności w czasie wszystkich, prowadzonych przez Rzeczpospolitą wojen, a wynikające z owej, przez szereg wieków sączącej się z pnia rdzennej Polski, nieumiejętnej kolonizacji.

Nie tak odległy od Płoskirowa Gródek był jeszcze mocną placówką polskości — okolice jednak Felsztyna, Szarawki, Satanowa uległy już częściowemu zruszczeniu, wobec rozrzucenia osadników jakby nie-

wielkimi plamami wśród przeważających nad nimi Rusinów. Najdalszy Bar i Jałuszków tylko niezachwianym katolicyzmem wykazywał dawną swą łączność z macierzą. Płoskirowscy natomiast Mazurzy, całemi wioskami w tym zakątku Podola osiadli, zachowali swoistą gwarę ludową, nie znając nawet języka ruskiego, nie zawierając nigdy małżeństw mieszanych, obchodząc święta wedle nowego stylu, nosząc się w stroju z biłgorajska (Lubelskie), tworzyli tu prawdziwie „małą Polskę“ do tego stopnia, że zapełniony żydami Płoskirów był pod zaborem rosyjskim miastem zupełnie polskim, gdyż we wszystkich sklepach i na ulicach tylko ten język się słyszało.

Wzmógł się napływ osadników polskich na Podole w wieku XVIII związany jest ściśle z panowaniem tu w ciągu lat dwudziestu siedmiu Turków i pozostałej po ich usunięciu się ruinie i pustce. W niezapomnianym i tragicznym dniu 26 sierpnia 1672 r. padł Kamieniec, owo „oko w głowie“ nie tylko królów i sejmów, ale nawet papieży, którzy przeznaczali oddawna część świętopietrza na fortyfikowanie tego „przedmurza chrześcijaństwa“.

Jęk przeleciał przez Polskę, a wśląd za nim zajaśniał przeblysłk opamiętania. Nie „zdrada“ bowiem starszyny kamienieckiej, co z początku jej wymawiano dotkliwie, „wdziewając na nią sukienkę niesławy“, była powodem tego wstrząsającego ciosu, ale zamącona atmosfera wewnętrzna, waśnie i spory sterników nawy państwowej, a zwłaszcza brak przeorności wojennej komendanta fortecy, generała po-

dolskiego, Mikołaja Potockiego, który jej w odpowiednim czasie nie wzmocnił.

Dla podpisania warunków kapitulacji wyprawiono z Kamieńca do obozu tureckiego w Oryninie: Michała Myśliszewskiego, Jana Gruszeckiego i Franciszka Rzewuskiego. Ciężkie warunki traktatu buczackiego (jakby na urągowisko bohaterskiemu, wygastemu już rodowi Buczackich, z których „co chłopię, to mąż rycerski, obrońca kresowy!“⁴) uległy w październiku przyjęć musiano, gdyż zebrana pod Gołębim szlachta, zamiast iść całą siłą na wroga, za przykładem Sobieskiego, który w parę tysięcy koni wypierał Tatarów, — sejmikowała burzliwie.

Kresy pogańskie przysunęły się ku Rzeczypospolitej o wielki szmat kraju. Zamarły dzwony, bijące dawniej rozgłośnie na cześć obrońców krzyża — głos muezina wielbił Allacha, którego wyznawcy obejmowali triumfalnie we władanie niemal całe województwo podolskie. Ukrainę oddano kozakom, zobowiązując się prócz tego do płacenia sułtanowi upokarzającego dla międzypaństwowego stanowiska Polski haraczu. Wypierana przez wojska tureckie szlachta i lud rolniczy uchodzili na zachód, pozostawiając za sobą żalosne szczątki dawnych dóbr. Jeno mocna nadzieja w duszy, że przeminą kiedyś te okrutne chwile, a Turczyn z Kamieńca będzie wypędzony, przyświecała im tak krzepiąco, jak promienna gwiazda przewodnia.

Byli jednak i tacy, którzy śmierć pewną u wroga nad poniżenie w Polsce wobec „sromotnego“ pod-

dania tego „antemurale christianitatis“ stokroć przekładali, choć basza kamieniecki za każdą głowę szlachecką nagrodę hojną wyznaczył. Biskup Lanckoroński zdołał nieco klejnotów i depozytów z katedry spakować i wywieźć, — mieszkańcy do ziemi kosztowności swe tajemnie zakopali, ale snadź jakieś oko zdradzieckie ich wysledziło, gdyż Turcy „cały Kamieniec przetrzęśli, ziemię przewracali i wynieśli najaw wydobyte bogactwa“, a sto wozów łupów tych drogocennych wówczas nabrali¹⁾.

„Otoczeni rojem pogaństwa“ — żali się poeta ówczesny podolski, Stanisław Makowiecki — „jechaliśmy na wygnanie, a w trop za nami kindja turecka nieustannie brzmiała, jakoby kruków złowieszczych krakanie!“ — „Ruszyły tedy niebożęta kamienieckie“ — boleje nad wychodźcami Sobieski — „skowycząc prawie“ — pisze jeden z uczestników tego rozpaczliwego pochodu, unosząc z sobą prochy ojców, jak to uczynił Rafał z Burzynia Makowiecki, lub droższą nad wszystko świętość — cudowny obraz Matki Boskiej z dziedzicznej wioski Humieckich Tynny, który Izabela Humiecka, wdowa po zabitym w czasie oblężenia Kamieńca chorążym podolskim, z miasta, przed nawałą pohańców uchodząc, pierwiej na wozie, aniżeli dzieci swoje, „one drogie węzły miłości małżeńskiej“ złożyła — stwierdza z zapalem Kochowski.

„Wozy długim szeregiem ku Ruskiej bramie ruszyły. Tu — stał na koniu Janczar-Aga, bogato

1) Kazimierz Pułaski — „Szkice i Poszukiwania“.

przybrany, z obu zaś stron kopjami najeżon — mur janczarów, a za nim patrzące się i dziwujące, niezliczone mrowie pogaństwa“ (Makowiecki).

Dwadzieścia siedm lat trwała emigracja i tułactwo po całej Rzeczypospolitej „egzulów“ podolskich, którzy najliczniej osiedli w pobliskiem województwie ruskiem, sejmikując w Haliczu, a potem we Lwowie, zaciągając się do rycerskich szeregów Jana III, przykładując zapalczywie przy uchwalanych, sejmikowych instrukcjach co do czynienia starań „dla odzyskania utraconej prowincji, do powrotu do gniazd rodzinnych“, a szereg urzędników i dygnitarzy duchownych i świeckich województwa podolskiego ciągnie się przez cały czas wygnania, niby spojone ogniwa jednego łańcucha, pomimo nieistniejącej z wydatą połacią ziemi łączności. Wiara bowiem co do powrotu na owe ukochane niwy i jary podtrzymywała energję i odporność życiową ciemiężonych przez los tułaczy.

Z pod drogich strzech w świat szeroki wygnani, zdruznowani i zubożali — własną nicość smakując, niemało się troszczą o dobro ogólne, o sprawy wojenne i obronny stan Rzeczypospolitej, żądając jak najrychlejszego wzmocnienia fortec, a przedewszystkiem Lwowa i świeżo wsławionej Trembowli, powiększenia sił zbrojnych, artylerji, zalecając utrzymywać prócz piechoty cudzoziemskiej własną, łanową, posłom swym nakazują, „by dochodzili najpilniej należynej wojsku zapłaty“, podkreślając, że „potrzeby żołnierza nigdy nie są należycie uwzględnione“.

Dotkliwe ciosy tułactwa i biedy zapierają jednak niekiedy ten dech bohaterstwa i „egzule“ podolscy ubolewają wówczas nad swą dolą „mizerną“, nie szcędzą nawet wymówek, że fortuną własną i utraconą niezależnością kupili pokój dla kraju, który im, wygnańcom bez dachu, pomocy żadnej nie daje. Żądają wreszcie wypłacenia 20.000 złotych, które sejm 1673 roku na potrzeby „egzulów“ przeznaczył, a o które wszelako delegaci podolscy Kazimierz Rzewuski i Jan Dąbrowski długie i bezskuteczne starania czynili, co wywołało burzliwe protesty i wybuchu gniewu na sejmikach w Haliczu. Wkońcu — po półtoraletnich trudach i kosztach — „odszukał i przywiózł owe sumy“ Stanisław z Wielkiego Łukoszyna Makowiecki, stolnik latyczowski, za co mu wdzięczni towarzysze niedoli jako nagrodę 3.900 złotych przeznaczyli, drugiemu deputatowi, rotmistrzowi Michałowi Myśliszewskiemu, 300 złotych jednocześnie ofiarowując.

Nie dziw, że się tak „egzule“ za uzyskaną wreszcie pomoc pieniężną w miarę możliwości wywdzięczyć pragnęli, gdyż bieda wśród uboższej zwłaszcza szlachty była ogromna. Na komisje do Lwowa, gdzie rozdzielano dostarczone zasiłki, ściągali w śniegi i mrozy z dalszych i bliższych okolic nieszczęśni tułacze podolscy, a ile było pomiędzy nimi wdów, sierót, starców i niezdatnych do pracy, „których nadzieją tylko karmili i karmią“! Pomimo bowiem wyznaczonych dla województwa innych sum jeszcze — zawsze były niezmierne trudności z ich uzyskaniem, a wobec licznych rzesz wygnańczych, dzielone sto-

sownie do poprzedniej ich posiadłości od 20 do 40 złotych, niekiedy, minimalną ulgę tym zgnębnionym biedakom przynosić mogły.

Nie poddają się jednak zniechęceniu odporni „egzule“ podolscy. Osaczeni przez trudne warunki bytu, starają się o utrzymanie dziesięciu chorągwi z samych Podolaków złożonych, przemawiają za mieszczanami kamienieckimi, „którzy po różnych miejscach rozbieżeni dla pożywienia, wielką cierpią agrawację od cechów, w które się im wkupywać każą“. Te energiczne zabiegi wywołują uniwersał Jana III, zalecający surowo, aby „mieszczan kamienieckich, a te raz mizernych wygnańców nie obciążano podatkami, co byłoby przeciwnem prawu i miłości bliźniego“.

— Utrapienia nasze dziś u was posłuchu nie mają — pisze z głębokim wyrzutem jeden z najruchliwszych ziemian podolskich, jednako do szabli i do pióra zdolny, rycerski stolnik latyczowski, Stanisław Makowiecki w swej relacji o upadku Kamieńca. — Miasto pociechy — przymówki słyszymy i skargi na zdradę, o której sami wždy wiecie, że jej nie było. I tak bez wsi, bez chleba, tułamy się biedni, jeno Boskiej dobroci wzywając...

Z kilku ówczesnych spisów szlachty podolskiej można z łatwością osądzić, jak znaczna ilość rodzin wygnańczych tułała się po różnych województwach. Prócz starszyny kamienieckiej — biskupa Lanckorońskiego, generała ziem podolskich, Mikołaja Potockiego, słynnego tem, iż dobrowolnie dla wyratowania ojca, do niewoli pod Korsuniem wziętego, poszedł w łyka

tatarskie, podkomorzego podolskiego Hieronima Lancorońskiego, niesłusznie o „sturczenie“ podejrzewanego, szwagra Wołodyjowskiego, a stolnika latyczowskiego, Stanisława Makowieckiego, rotmistrza Myśliszewskiego, sędziego ziemskiego podolskiego, Jana Gruszeckiego, rotmistrza pancernego Piotra Telefusa, podczaszego halickiego, który brał udział w obronie Kamieńca, a zawsze czynny, wygnańcom życzliwy, powoływany był pięć razy przez nich jako poseł — prócz należących do drużyny kamienieckiej: Jana Kawieckiego, Jerzego Skarżyńskiego, Piotra Bielowskiego, Gołyńskiego, Wasilkowskiego, Chocimirskiego, Grodeckiego, Jacimirskiego i innych — tłum ziemian podolskich osiadł w pobliskim województwie ruskim, które węzłami krwi i majątkowych stosunków od wieków było z Podolem związane.

To też pamięć o znakomitym wojowniku z owych czasów, Marcinie Boguszu, który w okolicach Trembowli posiadając włości, a zatrzymany w Kamieńcu podczas tureckiego najazdu i oblężenia, stał się po upadku twierdzy najwierniejszym jej rycerzem i obrońcą, przechowała się na zawsze w tradycji podolskich wychodźców. Na cyplu ziemi, obrzeżonym Dniestrem i Zbruczem, tam, gdzie w dwadzieścia lat później powstały Okopy św. Trójcy, stał on ze swą drużyną, czujny, zapamiętały, ze skupioną żądzą odwetu, spadał jak sęp znieca na podwożących do Kamieńca żywność Turków, Lipków, nawet znęconych obietnicą wielkiego zysku kmieci polskich lub ruskich, odbierał prowianty, wrogów i zdrajców kulą nawskroś

przestrzeliwał, aż gminna piosenka sławę jego po całej Rusi rozniosła: — Za pana Bogusza — wróg się z Kamieńca nie rusza!

Ruszył się też wreszcie Turczyn, ale dopiero wówczas, gdy po karłowickim traktacie (1699) z musu i w pogńębieniu wielkiem kamieniecką twierdzę i Podole całe opuszczał. Z „egzulów“ podolskich niewielu starszych do ziemi rodzinnej wróciło, — młodsze natomiast pokolenie z zapalem i nieugiętym hartem do odbudowy nieistniejących gniazd, do kolonizacji i obrony umiłowanych, kresowych rubieży natychmiast się rojnie zabrało. Szlachcic krajał pole na poleta, wypisując obok każdej działki warunki, na jakich nowoprzybyły kmieć osiąść tu może. Wobec bowiem szczerzej pustyni, jaką tu po panowaniu tureckiem zastano, jedynie dawane hojnie „słobody“ mogły pracowity lud ściągnąć.

Możni panowie zaczęli wówczas sprowadzać całe gminy z Mazowsza i Sanockiego. Na wieść o niezwykłej żyzności gruntów i ulgach nadzwyczajnych, pustoszały wioski nawet w dalekiej Wielkopolsce, dążąc gromadnie na owe tłuste, podolskie gleby. Kolonizowali tedy Zamoyscy państwo Grodeckie, Koniępcy — Szarogrodzkie, Potoccy — Murachowszczyznę, Sieniawscy — Międzyborz. Królewsczyzny niektóre, a mianowicie płoskirowskie, mukarowskie, dłużeckie, zwabiły też gromady kmieci. W owych to czasach aż z pod Biłgoraja (Lubelskie) „Mazurzy“ gromadnie tu naszli, a choć przeszło dwa wieki zdążyły już lec za nimi, — zachowali ci napływowi

przybysze tyleż skamieniałej, jakgdyby starożytnej polskości, jak i ich protoplaści, w Biłgorajskim po dziś dzień osiadli.

Patrząc na stroje mężczyzn i kobiet, na uczesanie dziewczęcych włosów, słuchając zwrotów, w jakich zapewne przodkowie imć pana Reja wysławiać się zwykli, rzekłbyś wobec narzucających się faktów, iż dawna Polska wstaje przed tobą, dawna Lechja — pomimo zmieniających się przez życie i śmierć istnień — zamarła w odwiecznym kształcie.

Nawet dla oka artysty prześlicznym był obraz jadących ze wszech stron w niedziele i święta wozów, zapełnionych rodzinami Mazurów, a dążących na nabożeństwo do wzniesionego przy ich pomocy płoskirowskiego kościoła.

— Chwal, duszo moja — Pana! — brzmiała po wszystkich drogach chóralnie śpiewana pobożna pieśń, zdala widniały duże, słomiane kapelusze, noszone latem przez mężczyzn, którzy w butach z cholewami, szerokich spodniach, granatowych kamizelach na białych z wykładanymi kołnierzami koszulach i narzucanych z domowego, brązowego sukna z kolorowym haftem siermięgach — siedząc na przodzie wozów — popędzali ręce koniki.

Za nimi — barwiły się chustki w jaskrawe kwiaty, związane, na głowach mężatek, — musieli je kupcy żydowscy sprowadzać aż z Krakowa, albowiem innych nie uznawały, — rozpościerały się ich suto marszczone spódnice, białe, z kolorowymi tasiemeczkami u dołu fartuszki i wyzierały z pod jedwabnych lub



*Szlachcic polski z drobnej, za-
gonowej szlachty z pod Płoskirowa*



aksamitnych gorsetów pięknie haftowane, ale li tylko białym ścięciem — koszule. Obowiązkowe sznury paciorków i korali błyszczały wokoło szyi, stwierdzając bogactwo rodzinne, a najwyżej na tych turkocących i rozśpiewanych wozach chwiały się georginje, nagietki i astry, wetknięte w najściślej spleciony, wysoki kukiełek na czubku głowy błękitnokich, mazurskich dziewcząt, — plisowana zaś kryzka na białych szyjkach stanowiła jakby podstawę do wdzięcznego bukietu kwiatów i jasnych, młodych twarzączek.

Lud w Biłgorajkiem — przystrojony podobnie, wzbudza dziś często wobec rozpowszechnienia mieszczańskich strojów charakterystyczne określenie włościan z innych powiatów, odartych przez naśladownictwo i modę z piękna odwiecznych swych przyodziewków.

— Te — z Biłgoraja noszą się z polską, a gadają tak dziwnie, że ich człek ani pojąć nie może!

Zadzierzysta fantazja i pewna dumna odrębność, cechująca Biłgorajczyków we wszystkim, występowała równie jaskrawo w ludowej jak i w wyższej ich warstwie, czego dowodzi zatarty przez czas napis, z trudem dziś na wzniesionym nad Tanwią zmurszałym pomniku odczytać się dający. Najstarsi miejscowi ludzie powtarzają ze wspomnień zmarłych swych dziadów następującą o tem opowieść:

— Dawno już, dawno, za czasów „Polski“ — nadjechał nad płynącą pod Biłgorajem Tanew możny pan okoliczny. Był marzec, zamroź trzymała, choć

wiosna skradała się już za pagórkiem. „Jakoś to będzie!“ — rzekł pan zwysoka. — Przez lód na drugą stronę przeskoczmy! — Jakoś to będzie! A nuż się uda! — powtórzył za nim rażno chłopisko na koźle.

Jadą. Wtem — trzask, huk, plusk — niby sto piorunów do rzeki i z rzeki wypadło. Rozwiera się wodna czeluść, sterczą wokoło, jak kły wzburzonego potwora, odłamy białego lodu. Napróżno konie w miotaniu nóg rozpaczliwem trwałego szukają oparcia — napróżno woźnica batem je smaga, a wali... Ciężkie saniska w głębinę wszystko za sobą nagle pociągną... Zatonęli — i jeno wyszarpany pas kry wskazuje ślad tragicznego wypadku. Pan jednak w okamgnieniu skoczył ze sani — na lód zgruchotany — poczem z kry na krę przy Bożej pomocy na gładki szlak zamrożony się dostał i na brzegu, z którego przed chwilą wyjechał, stanął szczęśliwie, acz potem śmiertelnym oblany. To też ten pomnik natychmiast w tem miejscu wymurować rozkazał i napis na nim wyryć takowy:

„Że życie pana jest drogie — Pan wie,
Przez to zbawił go w Tanwie!
A że Pan panu życie zbawił
Za to — pan Panu ten pomnik postawił!“

Był tedy wiejski lud polski rozsiany na Podolu nierówno. Spotykało się liczne osady Mazurów — w innych zaś miejscowościach nie było ich wcale. Niektórzy wiedzieli o swem pochodzeniu — inni, zruszczali, schłopienci, pojęcia o tem nie mieli, a jednak zwyczajne swoje, nawet pewne zwroty polskie

zachowywali. Niekiedy — zdarzały się wśród przynoszących do dworu poziomki z lasu chłopek podolskich takie, które pięknie i śpiewnie do nich: „Prose pani“ — zapraszały. — Skądżeście to? — pytano. — Może z Warszawy? — Nie — przeczyła żwawo babcina. — My tu z dziada, pradziada! Tuteszni! prose pani (tutejsi).

Utrzymywali ten lud w polskości i odrębności przedewszystkiem księży, mający doń z natury rzeczy najłatwiejszy i najmniej uwagi zwracający dostęp. Nie znaczy to wcale, aby duchowieństwo nasze wolnem było od prześladowań caratu. Przeciwnie.

Natychmiast po wcieleniu Podola, Wołynia, Ukrainy do rosyjskiego imperjum, poddano ścisłej kontroli korespondencję katolickiego kleru z Rzymem. Po 1831 roku rząd kasuje klasztory dominikanów, kapucynów, franciszkanów, trynitarzy, zostawiając szlachetnie, zamierające powoli karmelitanki i dominikanki w Dubnie, brygidki w Łucku, reformatorów w Dederkałach, kapucynów w Winnicy, Chodorkowie i Starym Konstantynowie i konfiskuje ich dobra. Na ogólną liczbę 291 klasztorów ostało się wówczas zaledwo 89. Po zniesieniu unji w r. 1839 zamknięto wiele parafij. Księża świeccy zostali również ujęci w żelazne rękawice przez konfiskatę kościelnych dóbr (1841) i wyznaczenie im wzamian, jako stałej „intryty“ — od 16 do 50 rubli miesięcznie. Po 1863 roku zasypano piachem martwoży resztę ocalałych dotąd klasztorów, zamknięto wiele kościołów, skasowano (w 1866) kamieniecką diecezję, wzbroniono

budowy nowych świątyń i restaurowania dawnych. Nawet wzniesienie krzyża na rozstajnych drogach wymagało pozwolenia władz, które wszelako zawsze odpowiadały przecząco. Przejazd kleru katolickiego z powiatu do powiatu w czasie odpustów — mógł się odbywać za pozwoleniem policji li tylko i to z tem zastrzeżeniem, iż ponad dwóch księży — nie wolno było liczniej się zjeżdżać na odpust. Nakazano język państwowy w urzędowej korespondencji kleru i w księgach kościelnych. Co zaś się tyczy kazań — to rok 1839 łagodniejszym był bezsprzecznie od popowstaniowych, późniejszych czasów. Wtedy bowiem wystarczało zezwolenie cenzury — po 1863 atoli — wolno było wygłaszać z ambony tylko wydrukowane i przejrane poprzednio przez cenzurę w „Zbiorniku kazań“ — mowy proboszczów do ich parafjan.

Prawosławie — stało się religją panującą, zmuszając w razie małżeństw mieszanych do brania ślubu w cerkwi — dzieci zaś z tych stadeł zrodzone należały obowiązkowo do wyznania wschodniego. I tu nasi księża cudów istotnie dokazywali. Tędy to wiódł najniebezpieczniejszy podkop pod twierdzę ducha narodowego i nierozzerwalnych z sobą od lat tylu u Polaków uczuć patrijotyzmu i wiary. Wśród ustawicznych zatargów z urzędami o wydawanie metryk, o jakiś chrzest, czy też niepożądany ślub, używali księża różnych sposobów, byle ochronić lud polski od zachłanności wrogiego żywiołu. Ileż to razy przynosił chłopak polski do swego proboszcza na zapowie-

dzi z prawosławną dziewczyną. — Dlaczego chcesz się z nią żenić? — Bo ona ma, proszę ojca, sto rubli posagu. — Masz tu sto rubli — oddaje ksiądz swoje pieniądze — a żeń się ze swoją! Możebyś tę a tę brał? Co? — i małżeństwo dochodzi do skutku.

Pod osłoną świątobliwych bractw, żywego różańca i związków tercjarzy księży wprowadzali pomiędzy ludem towarzystwa kredytowe, wzajemnej pomocy, pogrzebowe kasy i różne pokrewne im organizacje społeczne, zaprawiając go do wyznawania zasady: — Wiara bez uczynków — jest martwa. — Więc na przykład, zachorował ktoś we wsi z Mazurów. Ksiądz proboszcz woła do siebie przełożoną żywego różańca i wydaje jej krótkie zlecenie: — Zbierzecie zboże dla chorego Jaśka. Dopomóżecie rodzinie w pielęgowaniu go. — Albo spalił się dom. Do odbudowy stają tercjarze, bez grosza zapłaty, a z jaką chęcią, jak sprawnie idzie robota!

W tym kierunku pracowało wielu księży na Rusi, a linje ich usiłowań zbliżały się do jednego wspólnego punktu. Ksiądz Rozenberg w Murafie, rzadkiej gorliwości i świątobliwości asceta, działacz społeczny, ksiądz Horkiewicz w Tynnej, ksiądz Michałowski w Smotryczu i Mukarowie, ksiądz Nosalewski w Płoskirowie, ksiądz Tokarzewski w Barze i inni, których nazwisk dziś przytaczać jeszcze nie można.

Mieli też tercjarze obowiązek uczenia dziatwy — na spowiedzi zaś księży zalecali jako pokutę wyuczenie jednego polskiego dziecka czytania i pisania. Kto się wpisywał do szkaplerza Niepokalanego Po-

częcia, ten również z nakazu biskupa Borowskiego, powinien był wykonać tę samą pracę, prócz tego — przy katechizacji uczono potajemnie abecadła. Początek tajnych szkół polskich stanowią wędrowni nauczyciele, sprzedający całe lato obrazy święte lub udający druciarzy — na zimę osiadali w jakiejś wsi i zasiewali ziarna oświaty w dzieciennych, chętnych do nauki głowach.

Na wiosnę szli dalej i znów handlowali, a potem w innych kraju zakątkach spełniali swą misję, a wszędzie zostawał po nich zasiew wzrastającego uświadczenia polskości, gdyż ich uczniowie w starych rodziców przelewali zasoby nabytej wiedzy.

Miewali też księża i na probostwach takie tajne szkoły, pozorując zbieranie chłopców nauką kościelnych śpiewów i służenia do mszy. Ks. Lisiecki w Tynnej, ks. Tarnawski w Skazińcach, ks. Wińcza w Sołobkowiecach i wielu innych — kształcili w ten sposób całe zastępy młodzieży, która potem stawała się pionierami polskości we wsi rodzinnej, ucząc dzieciarnię za skromną opłatą. Takim nauczycielem był w Karabczejówce — Józef Krymski, w Udryjowcach — Witkowski, w Skazińcach i Frampolu — Franek, chłop polski. Policja patrzyła na to przez palce, ponieważ oświata pozornie szła z ludu w lud, bez współudziału dworu, który chociaż dostarczał książek, ale stał na uboczu, nie wywołując tropienia popa i urzędnika.

Bywały jednak w niektórych miejscach wybuchy jakiejś niezwyklej gorliwości tej samej policji —

i przed 30 laty mniej więcej, lud, przychodzący do Latyczowa na odpust, był przez nią otaczany w zajazdach — zrywano mu z piersi szkaplerze, szarpano różańce. W parafji murafoskiej — szukano po chatach polskich książek do nabożeństwa.

— I kto to czyta? — pytano groźnie. — Dzieci — brzmiała spokojna odpowiedź. — Dzieci?! Któż ich wyuczył?! — Występował na środek izby zuch — malec. — A to w ruskiej szkole¹⁾ wyuczyli — objaśniał z widoczną chęcią zgnębiaenia nieznośnych szpiegów. Konsternacja żandarmów. — Co?! W ruskiej szkole?! — Aha! Nauczyli mnie czytać po rosyjsku, a ja sobie kupił elementarz rosyjsko-polski i „perekłał na swoje!“²⁾

Nosił też ten lud w sobie tak niestarte piętno polskości, że jeden z księży, chcąc go czasem ukarać za grzeszne natury ludzkiej przywary, takimi słowy z ambony nań ciskał:

— Mówiłem do was, jak do zacnych Polaków! Nic nie pomaga! Nie chcecie mnie słuchać! Nie chcecie stać się chrześcijanmi nietylko z imienia, ale z czystości serca! Dobrze. Ja dla was polskiej mowy więcej marnować nie będę, a budu teper do was howoryty jak do muzykiw! — i całe kazanie po rusińsku wygłaszał, co szło mu jednak z trudnością, gdyż wielki szloch audytorjum, uważającego za najboleśniejszą karę to pozbawienie go możliwości posłucha-

1) „Ruska“ — tu w znaczeniu rosyjskiej, nie zaś „rusińskiej“.

2) Przełożyłem na swoje.

nia swej mowy, jako jej niegodnego — towarzyszył mu aż do końca przemowy.

Skazywano też często księży — gdy się sprawy wydały — na pokutę w jedynym i w tym celu zostawionym zasławskim klasztorze. Chętni się tem i wyrachowywali: Tyle to dzieci z małżeństw mieszanych ochrzciłem, tyle — ślubów dałem, przez tyle lat proboszczowania — ani jednego ślubu mieszanego w parafji nie dopuściłem!

Byli między nimi prawdziwi męczennicy, np. ksiądz Michałowski, stale pod dozorem policji pozostający, odznaczony czemś w rodzaju „wilczego biletu“. Nigdy mu dłużej niż maksimum pół roku na parafji być nie pozwalano — pracował też gorączkowo, mówiąc: — Nie mam ani chwili do stracenia! Wiem dobrze, że długo tu nie posiedzę, więc muszę z czasu korzystać i tak Moskałom napsuć, żeby później nieprędko odrobić to mogli!

Jednym z przedstawicieli wojującego na kresach kapłaństwa — był również ksiądz Tokarzewski, proboszcz rozlicznych parafij, gdyż za swą nieustającą, wrogą dla ortodoksji działalność zaznał wieloletniego tułactwa. Przerzucano go z miejsca na miejsce, zsyłano nawet do „oddalonych“ miast rdzennej Rosji. Z podróży i zsyłki wracał na Podole pozornie ujarzmiony i cichy, ale po paru miesiącach — nowy wybuch inwektyw z ambony przeciw dającym bez odpowiednich metryk ślubu mieszane „batuszkom“ — pociągał za sobą jeszcze jedno chwilowe wygnanie.

Proboszczowie, do których ów kapłan niepohamo-

wany przyjeżdżał w rzadkich chwilach własnego spokoju na dzień odpustu w wiejskim kościele (po 1905), zaklinali go wręcz, aby dla „dobra ogółu“ trzymał język na wodzy w czasie mówionego przezeń kazania. Ksiądz Marjan obiecywał najszczerzej, że będzie „umiarkowanym“, lecz skoro wstąpił na ambonę i spojrzął z góry na ten tłum wieśniaczych głów, wpatrzonych weń z ciekawością, albowiem sława jego ognistych kazań szeroko się niosła — skoro uprzytomnił sobie, jak mocnym jest napór rusyfikacji i prawosławia na tych, rozproszonych po ruskich siołach Mazurów — unosił się własną wymową — grzmiał, piorunował, za odstępstwo od wierzeń przodków wiekuistym ogniem i piekłem groził — ze wznieśioną w górę ręką, z błyskawicami w oczach — zdawał się ten wiejski proboszcz z tego samego ducha groźnej przestrogi powstały, co złotousty prorok polski — Piotr Skarga.

Tak więc, w przygnębiającym przebiegu faktów po 1863 roku — w ręce kleru naszego przeszła pochodnia wojującej polskość. Tylko w kościołach Wołynia, Podola, Ukrainy dawała się słyszeć w czasie kazania polska, publicznie głoszona mowa. Tylko na plebanji, po nabożeństwie wolno było liczniej się zebrać bez meldowania o tem policji. Kościół był w tym okresie miejscem rozrywki i ukojenia, placówką Bożą i polską, gdzie wszyscy, pomimo różnic społecznych, czuli się braćmi we wspólnem wyznaniu wiary i dziedzicami lechickiej, wzbronionej w urzędach mowy.

Równorzędnie z pracami księży szły tajne wysiłki wielu na Rusi dworów i ideowe oddanie się sprawie oświaty ludu, młodzieży polskiej. Po ostatniem powstaniu, wśród wielu działaczy nieznanymi i niezorganizowanymi najwybitniejszymi się stają dwaj akademicy: Antoni Mioduszewski i Konrad Gąsiorowski. Sprawność ich usiłowań zatacza szerokie koła w promieniu Stawiszcz i Tetyjowa, gdyż w tych ukraińskich miasteczkach byli instruktorami — następnie zaś Mioduszewski przenosi się do Płoskirowa. W latach osmdziesiątych powstają w Kijowszczyźnie pierwsze szkoły tajne, utrzymywane przez Leonarda Jankowskiego i Józefata Andrzejewskiego z własnych i zbieranych przez nich pieniężnych środków. Ci dwaj wybitni działacze przyciągają do założonych szkół najzagorzalszych pracowników oświatowych: Stanisława Dybowskiego, Jadwigę Brunakównę, Katarzynę Brzezińską i Jadwigę Przyborowską. Przykładem wzniosłego poświęcenia dla idei jest w owych czasach Jadwiga Brunakówna, która, pracując w złych higienicznych warunkach, na przedmieściach Kijowa, nad zwalczeniem tępoty pojęć u dzieci najbiedniejszych warstw ludności, uległa gruźlicznym zarazkom i zmarła jak żołnierz na posterunku. Spadkobierczynią tej wyczerpanej pracy stała się jej matka — pani Maksymowiczowa, osamotniona, siwa staruszka, oraz zasłużone i dzielne pomocnice: Sarcewiczówna, Stanisława Ułaszyn, Anna Łowieniecka, Bilówna i wiele innych.

W tajnem szerzeniu narodowej oświaty dopomaga tym wszystkim nieocenionym ideowcom właściciel

księgarni, Karol Szepe, sprowadzając z za kordonu nielegalne książki ludowe, co oczywiście w razie wykrycia powiodłoby go najprostsza, ale uciążliwą (!) drogą na Sybir.

W roku 1897 powstaje z zawiązanego poprzednio przez Lewkowicza i Sarcewicza „Koła Ludowego“ — „Towarzystwo Oświaty Ludowej“, promieniujące już na prowincję wobec zakładania tam licznych filij, co wzmacnia jego istotnie wielkie zasługi. Na początku wojny rosyjsko-japońskiej, której niepomyślny dla Rosji przebieg i zakończenie otwiera nową dla kresowych Polaków epokę, lżejszego jakoby oddechu, tworzy się na tajnym, z 600 osób złożonym wiecu w Kijowie „Towarzystwo Oświaty Narodowej“. Odmienne nieco ideologią od poprzedniego, skupia przy sobie szersze warstwy społeczne, rozprzestrzenia się po całym kraju, zakłada szkoły i biblioteki po miastach i na prowincji. Niezmordowaną tu pracę wnieśli inżynier Wincenty Maternicki i szewc kijowski, Władysław Budnicki, który, jeżdżąc po wsiach, lud polski z obojętności narodowej budził, zachęcając go do tworzenia cichych szkół.

Jeszcze przed 1863 rokiem — Adrjan Baraniecki, założyciel Muzeum i Kursów Wyższych dla Kobiet w Krakowie, sprowadziwszy z Wilna całe stosy elementarzy, katechizmów i czytanek, objeżdżał z nimi wsie i miasteczka powiatów: kamienieckiego, uszyckiego i Płoskirowskiego i zakładał przy pomocy duchowieństwa i dworów, dzierżawców, rządców, ekonomów — szkółki dla ludu polskiego. Tak powstały

szkółki w Udryjowcach, Tynnej, Karabczejówce, Skażińcach, Iwachnowcach, Jarmolińcach, Gródku, Sołobkowcach i t. p. Po powstaniu zamknięto, oczywiście, te rozsadniki zwalczanej polskości, ale ogień zażgniętej pracy palił się w podziemnej robocie. Uczniowie — stawali się z kolei nauczycielami młodszej od siebie dziatwy, a dwory korzystały z każdego pozorów (majowych i wielkopostnych nabożeństw, przebierania grochu, skubania pierza), by dzieci polskie gromadzić — domowe zaś panny uczyły je i rozwijały w nich poczucie narodowości. Nie próżnowały też miasta. W Kamieńcu — adwokat Glinka i Zofja Kwiatkowska zakładają tak zwaną „Oświatę“. Posługują się programem warszawskich szkół i uczą dzieci, a każdy dom polski w Kamieńcu — to tajna szkoła. Młodzież gimnazjalna, panny, księża tworzą tu nauczycielstwo ideowe i węzłem serc z uczniami zbratane, a mali uczniowie przekradają się chyłkiem, niewielkimi grupami pośród pilnującymi porządku w mieście stójkowymi, biegnąc na te upragnione wykłady. W roku 90-tym — miała już kamieniecka Oświata 200 uczących się dzieci, a zawiązane przez całą okolicę Towarzystwo Kolonij Letnich wyprawia słabsze na wypoczynek letni, dostarcza sprowadzonych z Warszawy ochroniarek, daje siły, zdrowie, pokarm duchowy w zajmujących pogadankach i wyprawkę dla uboższej dziatwy, a wpływ tych kolonij jest tak doniosły, że dzieci powracają odrodzone fizycznie i umysłowo.

Zasługi tych trzech grup społecznych — kleru,

młodzieży i „panien ze dworu“ — stworzyły bezsprzecznie owe, zatajone przed naciskiem rusyfikacji paleniska, a wiążące się dookoła nich migotliwe kręgi oświaty polskiego ludu i drobnej, schłopiałej szlachty — rozjaśniały od wewnątrz codzienne, pospolite wobec przymusowego odsunięcia od spraw krajowych — życie Polaków na Rusi. Tylko pilny historyk — na wzór kopacza, umiejącego w nabranej na patelnię górcie piasku wyłowić okruchy szczerzego złota, — mógłby odszukać w nawale zwyczajnych wydarzeń wszystkie te złote ślady potajemnych, bez rozgłosu i sławy czynionych starań i prac nad utrzymaniem skazanej na wygaśnięcie w „Jugo-Zapadnym Kraju“ — polskości.

A polski lud?!

Ten — charakteryzują dwie cnoty: nadzwyczajna moralność i polski duch. Rok 1917 — rok rewolucji, gdy pod naporem rozszalałej burzy uginały się i pękały wszystkie, zda się, prawa ludzkie i Boże, — był pierwszą ogniową próbą charakterów i dusz. Anarchja i bolszewizm sunęły jego tropem. A przeto w ciągu tych trzech zwyrodniałych lat, wśród sześciu tysięcy Polaków, należących do barskiej parafji, raz tylko jeden ochrzczono nieślubne dziecko i raz jeden — polska dziewczyna wyszła za bolszewika. Kiedy przy nieustannych zmianach rządów, Ukraińcy, po nich zaś bolszewicy prowadzili statystykę całej ludności — nikt nie był w stanie zmusić Mazurów, nawet mówiących po rusku, do podania się za Rusinów. Nie potrafili również dokazać tego Haliczanie

i siczownicy, gdyż wręcz słuchać tych przedstawień nie chcieli. I nie wpłynęły na nich obietnice nadziei, ziem, honorów, zaszczytów. Nawet duchowieństwo unickie, które, wraz z Haliczanami przyszedłszy, odprawiało nabożeństwa w podolskich kościołach — musiało wreszcie uznać swoją bezsilność w tym względzie.

I ziemi pokrzywdzonych wygnańców długo nie chciał brać ten lud z obcych rąk w swoje władanie. Dopiero gdy władze sowieckie zjawyły się kategorycznie że w razie dalszego oporu — sprowadzą kaczep z głębi Rosji, przystąpili Mazurzy do obrabiania nadzielonej im dworskiej ziemi i kają się teraz serdecznie, albowiem wygórowane podatki sprawiają, iż stali się oni wyrobnikami dla innych, nie zaś dla siebie.

I nie rabował lud polski. Nie brał (z małymi wyjątkami) udziału w owych żywiołowych orgjach, kiedy to przez łuny i dymy pożarów rzucano Niebu zachwałę wyzwanie: Palimy! Kradniemy! I pożądamy cudzego dobra! — A skoro zdarzył się taki wyjątkowy, zgrozą i oburzeniem przejmujący resztę parafjan fakt, że w jednej z należących do barskiej parafji wsi — zbałamuceni ludzie poszli za tłumem niszczycieli do dworu i stamtąd wśród ogólnego szaleństwa dla siebie jakieś rzeczy zabrali — to ksiądz Tokarzewski, proboszcz w Barze ówczesny, zabronił im przestąpić progów kościoła.

Było to święto i zgromadzony lud oczekiwał na

rozpoczęcie nabożeństwa, gdy proboszcz, stojąc na dziedzińcu kościelnym, z wyciągniętymi przed się rękami, jakgdyby bronił dostępu — wołał do winowajców:

— Wracajcie do waszych domów! Radujcie się tam widokiem zrabowanego bogactwa! Dopóki ja tu jestem proboszczem — nie wejdziecie do domu Bóże, tak niezatartą jest wasza zbrodnia! Złakomiście się na cudzą własność! Okradliście swoich, Polaków, nieszczęsnych wygnańców! Bóg od was odwrócił Swoje oblicze, a ja — zamykam przed wami bramy Jego świątyni!

Grzesznicy padli na kolana, w proch. Zawodzili i łkali:

— Zwrócimy wszystko! Wszystko — co do najmniejszej szmaciny, sami odniesiemy na miejsce, tylko niech nam ojciec przebaczy!

Ale proboszcz, niepomny na te wołania, już wszedł do kościoła, a za nim wtoczył się przejęty zgrozą lud. — Odsunięci od stołu Pańskiego, od spożywania anielskiego chleba, od łaski wspólnej przed ołtarzem modlitwy! — Lud struchłał i jak od wyklętych, od tamtych uciekał. Śpiewały organy, rozbrzmiewały bogatym echem chóralne, pobożne pieśni, chwilami — donośny głos odprawiającego uroczystą sumę proboszcza, wzbijał się aż pod sklepienia kościoła i zadzwoniły srebrne dzwoneczki na Podniesienie — a cisza tak nagłą się stała, jakgdyby skrzydła aniołów okoliły te mury wraz z zamodlonym ludem.

A winowajcy — klęczeli wciąż na tem samym miejscu, nie śmiejąc przestąpić wzbronionego im przez kapłana progu. Przygięci do samej ziemi — szlochali rozpacznie pod pręgierzem wymierzonej im kary. Dech średniowiecza owiewał tę scenę potępienia i kornej pokuty przed murami barskiego kościoła.

VIII.

PŁOSKIROWSZCZYŻNA.

Rząd carski, orientując się trafnie, skąd wytryskują źródła rzeźwiących podniet wiary i polskości, skasował w 1866 roku seminarjum kamienieckie, a następnie zwrócił się ku jedynej na kresach pepinjerze katolickiego kleru w Żytomierzu i, podejrzewając tu wrogą dla państwa w znaczeniu religijnem i narodowem akcję, wywiózł do Wilna w roku 1875 rektora ks. Kruszyńskiego i kilku kleryków-sakrystów, wydalając natomiast pozostałych. Seminarjum w Żytomierzu przestało tedy istnieć, a gdy je otworzono po upływie lat sześciu, trzeba było czekać jeszcze pięć lat na nową edycję księży. Luka więc jedena-stoletnia zmniejszyła znacznie liczbę pracowników w winnicy Pańskiej, wydając jednocześnie zastęp nowego, młodego kleru, nie odczuwającego przygnę-bienia wskutek ucisku po 1863 roku, jaki cechował starszą generację duchownych. Pojawia się szereg księży wielce pobożnych i przepojonych ogromnym zapalem do narodowo-religijnej pracy, jak ks. Michałowski, ks. Piotr Mańkowski, ks. Longin Dobrowolski, ks. Szymkus, ks. Sznarbachowski, ks. Toka-

rzewski, ks. Szeptycki, ks. Nosalewski, ks. Rogowski i wielu innych, których wymienić obecnie nie można.

Skoro ksiądz Nosalewski, mianowany przez biskupa Niedziałkowskiego proboszczem w Płoskirowie, przybył tam w 1904 roku, zastał w swej nowej parafji — jak wszędzie podówczas na obszarze „trzech zabranych prowincyj“ — uśpienie pod względem życia narodowego i intelektualnego. Ani jednego pisma polskiego, któreby, traktując o sprawach miejscowych przynajmniej, odpowiednią strawę duchową rozsiałym na Rusi Polakom dawało, łącząc ich w jednolitym kierunku wspólności życia i pracy. Natomiast „Niwa“ rosyjska, przynosząca prócz pisma jako premjum coroczne 52 tomów powieści i nowel, wydawana za bezcen, zapełniała domy inteligentniejszych pracowników fabrycznych i rolnych, Polaków. Ani jednej szkoły polskiej, mowa zaś polska — w publicznych miejscach urzędowo wzbroniona.

Młody i energiczny, znakomity administrator, a przytem urodzony działacz społeczny, ksiądz Kazimierz Nosalewski, objąwszy tę jedną z najważniejszych pod względem liczebności i zwartości polskiego żywiołu placówkę — postanowił wyzyskać te strony życia zbiorowego, jakie były możebne w podobnych warunkach. Przybycie nowego proboszcza do płoskirowskiej parafji wzniciło, oczywiście, wielkie zainteresowanie wśród okolicznych, odznaczających się rzetelną pobożnością Mazurów. I ci jednak ogarnięci byli pewną religijną apatją wobec tego, że poprzedni

ich pasterz, ks. Radziejewski, staruszek leciwy, nie był w możności obsłużenia godnie tak licznej parafji. I na nowego przybysza spoglądali więc parafjanie nieco krytycznie, pogwarzając między sobą otwarcie, acz cicho:

— A ba! Gdzie on tu u nas będzie?! Taki ma-luchny, taki cieniuchny, taki niziuchny?!

Znawca serc ludzkich uderzył w nie promieniem szczerości i wtargnął do wnętrza, wygłaszając po pierwszym kazaniu takie słowa do ludu:

— Widzę, że bardzo się mnie lękacie i zadajecie sobie pytania, czy potrafię kierować waszemi duszami! Ale — wiercie mi — ja jeszcze więcej się lękam, bo pojmuję dobrze jaki ciężar biorę na swoje barki! Niechże Pan Jezus nam dopomoże!

W ten sposób otrząsnął z siebie ksiądz proboszcz szron nieufności i stał się bliższym i jakby „swoim“ dla przejętych tem wyznaniem Mazurów.

Lata szły, a oblicze duchowe płoskirowskiej parafji jęło się zmieniać powoli. Z małego domku proboszcza, otoczonego grzędami kwiecia i róż „na chwałę Bożą“, jako ozdobę ołtarzy troskliwie pielęgnowanych, bił nieustannie mocny prąd organizacyjnej, narodowej i podniosłej myśli. Przedewszystkiem tedy pociąga swoich parafjan do świątyni pięknem uroczystych nabożeństw, przybrawszy sobie do pomocy zapraszanych na święta i wakacje kolegów księży. Skupia lud do zbożnej pracy, tworząc żywy różaniec i zgromadzenie tercjarzy, wspomagany w tem

przez gorliwego apostoła i wychowanka ks. Antoniego Staniszewskiego i innych młodych duchownych, szczególnie przez ks. Bolesława Pawłowicza.

Niewielki, stary kościółek z trudem już mieści napływ pobożnych, a obraz jego wnętrza w czasie nabożeństw rozpala gorącość wiary, podsyca gorliwość strzelistych modłów, łączy dusze klęczących Mazurów w świetlanym porywie wzwyż — ku Stwórcy. Czterysta świec płonie w rękach tercjarzy. Ołtarze zmienione w sięgające stropu kwietne bukiety, z których wychyla się w złotej aureoli oblicze świętych. Gra na organach uczenie i cudownie organista i wychowanek księdza proboszcza, Józef Rosiński, do warszawskiego konserwatorjum, które chlubnie ukończył, przezeń wysłany, kierownik zbudowanego na obejściu kościelnem mazurskiego „konserwatorjum“, gdzie się mieści szkoła dla organistów z internatem dla chłopców. Wyćwiczony przez ks. Nosalewskiego kościelny chór ludowy śpiewa z takim przedziwnem zlanem się głosów, iż zda się jakieś wielkie radosne dziękczynienie za dary Boskie ulatuje ku niebu, wypowiadając to, co szemrze w cichym szepcie zamodlonych parafjan. Pod batutą kapelmistrza Olszewskiego z Warszawy przygrywa jeszcze na chórze w uroczyste święta orkiestra z młodzieży miejskiej złożona, zwykle na wystawach, amatorskich teatrach, wyścigach grająca, a również przez księdza proboszcza do tego zespołu zagrzana i pociągnięta. A przy wielkim ołtarzu w piękne ornaty przybrani celebrują „ojciec“ ze swymi pomocnikami. I żaden z Mazurów

inaczej o księdzu proboszczu nie powie jak: „ojciec“. Ojcem on jest istotnie dla tych zacnych, choć czasem niesfornych swych dzieci, a linja jego postępowania z nimi zawsze silnie, acz sprawiedliwie zarysowana i pierwsze po przybyciu do nich słowa: „iż zdaje sobie sprawę, jak wielkim jest ciężar dusz rządziciela“ — tworzą podstawę każdej nowej, powziętej dla ich dobra myśli. Więc kiedy wznosi głos do Boga, śpiewając z przejęciem: — Sursum corda! — całe wnętrze tego wiejskiego kościółka z kwiatami i ludźmi, z melodją organów, skrzypcowych strun i głosów ludowych zda się mu odpowiadać z uniesieniem prostoty i prawdy: — Habemus ad Dominum!

Rośnie zakres prac i usiłowań księdza proboszcza. Dla dziewcząt miejskich i sierot tworzy w Płoskowie tajny zakład wychowawczo-oświatowy pod szyldem pracowni robót ręcznych, którym kierują ukryte zakonnice, Sercanki, i gdzie dziatwa zaczyna się uczyć czytania i pisania po polsku, oczywiście w skrytości przed okiem władz, paląc po każdej lekcji zapisane éwiartki papieru. Dzięki ofiarności ludu polskiego instytucja ta rozwija się szybko i dochodzi do znacznej ilości wychowanek. Życie religijne i uświadomienie narodowe wśród parafjan Mazurów wzrasta tak śpiesznem tempem, że dotychczasowy kościół staje się niedostatecznym dla napływających w niedzielę i święta tłumów, więc dnia pewnego po kazaniu odzywa się proboszcz w ten sposób z ambony do cisnących się pod nią ludzi:

— Bracia! Mam was o coś zapytać! — (szmer

z dołu: — Co?! Co? My na wszystko gotowi!) — Nie wiem tylko, czy nie ulękniecie się tego, co rzeknę! Ale zaznaczcie to w swoim sumieniu: Więcej ma Pan Jezus, niż rozdał! Widzicie sami, jak nam tu ciasno. Budowali dawniej przybytki Pańskie nasi przodkowie, którzy od wieków przed nami wiary świętej bronili i jej doskonałość szerzyli tu, na tych samych ziemiach, po których wy teraz wasze pługi wodzicie! Wybudujmy sobie kościół piękny, murywany, a taki obszerny, aby każdy w spokoju mógł się przykładowo pomodlić, nie będąc przez sąsiadów ze wszech stron popychanym. Pieniądzy nie mam i wielka to rzecz taka ogromna świątynia, ale od czegoż nasze ręce i głowa i dobra wola?! Więc pytam was tylko — czy chcecie mieć nowy kościół?! Kto na to się zgadza, niech rękę wzniesie do góry!

— Chcewa! Chcewa! — ryknęli wielkim głosem Mazurzy i las rąk wyrósł nagle nad ich głowami.

Od tej chwili rozpoczyna się wspólna praca. Architekt kijowski, Karol Iwanicki, rysuje plan świątyni w stylu renesansowym, starania zaś u gen. gubernatora Kleigelsa,¹⁾ poparte wielokrotnem smarowaniem pomniejszych, kancelaryjnych trybów, dają wreszcie pożądany wynik i zezwolenie na budowę kościoła, na tem wszelako miejscu, co dawny. Organizuje się w każdej mazurskiej wiosce zespół bratczyków świeckich, którzy zbierają składki, a przy zwożeniu materiałów ze stacji i z okolicy wysyłają

1) Po 1905 roku.

kolejno partje, tak, aby każdy wziął udział w tej akcji.

Nie trzeba jednak było zachęcać ludu polskiego do takiej ofiary. Przy kopaniu fundamentów runęli wszyscy na wskazane miejsce z łopatami w rękę, a z takim zapalem, że aż ziemia furczała, wyrzucana w powietrze. Zadeklarowano dobrowolnie pewną kwotę od każdej chaty co roku, a podczas wożenia gniewańskiego granitu ze stacji nawoływali się wzajem Mazurzy:

— Hej tam! Uważajta! Nie gubta kamieni! Zbierajta po drodze, bo to na naszą świątynię!

To też pomimo tego, iż kilka będących w bliższych stosunkach z księdzem Nosalewskim osób zaoferowało większe datki, śmiało można powiedzieć, że kościół cały został wzniesiony staraniem i kosztem ludu polskiego, do parafji płoskirowskiej należącego. Proboszcz również — o ile tylko pozwalały mu na to jego zajęcia — ciągle do budowy zaglądał.

— Noc go wygania, noc go przygania! — mawiała nieraz Różia Kapliczna, starsza już nieco kobieta z ludu polskiego, pod Barem za dawnej kolonizacji osiadłego, zajmująca się kuchnią, ogrodem i całym gospodarstwem na niewielkiej plebanji, dbająca o mieszkających tu księży, jakby o dzieci własne — mądre, a co do potrzeb osobistych — niebardzo poradne. I ona wyzierała często przez okno oficynki, w której miała swe locum, pojąc zacne oczy widokiem wznoszącego się nieopodal domu Bożego.

— Ojciec znów na rusztowaniu koło murarzy —

myślała. — Kielnię bierze do ręki i coś im wskazuje. Posuwa się dzieło, aż serce wesoło w piersiach kołacze. Jak to ojciec mówił z ambony ostatniej niedzieli: — Wy się nie dziwcie, że będę po waszych chatach i po miasteczku sam chodził, bo wy się wstydzicie dać mi dziesięć groszy na kościół, a ja nie wstydzę się od was je co tygodnia wziąć! Gromada to wielki człowiek i pomoc będzie, tak jakby woda ze źródła płynąca! A dokąd idziecie, Andrzeju? — zakrzyknęła życzliwie, patrząc na wychodzącego z plebanji młodego, schludnie ubranego mężczyznę. — Będziecie mieli robotę! Ojciec przy murarzach i cała sutanna znów zwalana z pewnością gliną!

— Niech i to idzie na chwałę Bożą! — zaśmiał się wesoło służący proboszcza, Andrzej Kropielnicki drobny szlachcic z pod Felsztyna, szatyn, trochę łysy, zwinny, pracowity, a tak gorąco do ks. Nosalewskiego przywiązany, że nieraz godzinami wyczekiwał we framudze drzwi chwili jego powrotu z miasta, byleby „ojciec“ nie dzwonił wieczorem na próżno. Ubrany zawsze czarno, niemal wykwinny w swych ruchach, żył w zgodzie ze wszystkimi, a wrodzona mu delikatność sprawiała, iż nigdy ordynarne słowo nie padło z ust jego. Każdą robotę wykonywał czysto i dokładnie, więc i w małych pokoikach probostwa lśniło się od wytwornego porządku. — Mam czas do obiadu! — wyjaśnił Rózi. — Widzicie, ciociu, te szczytki i pastę pod pachą?! Skoczę do ochrony i tam w ukrytej kaplicy podłogę wyfroteruję jak lustro!

I reszta służby uwielbiała wprost swego proboszcza, który traktował ją niby wiernych przyjaciół. Furman Józef oczyby dał sobie zań wydrzeć, niema Pola, dawna przewoźniczka na płytkim Rowie, która nieraz za wskazówką na migi „ojca“ wywracała czółno dla oduczenia wracających z nowego miasta, podpitych Mazurów od takich poniżających wycieczek — wzięta dziś przezeń do pomocy Rózi, wiodła często za nim wzrokiem, pełnym rozczulającej wdzięczności. Nawet policjant miejski, któremu ksiądz proboszcz wetknął niekiedy do kieszeni rubelka „na papierosika!“, mawiał o nim z uznaniem: — To ojciec dla wszystkich. — I żydowstwo miejskie chwaliło sobie tego kapłana. Przy budowie kościoła pozwolił i im zarobić, a w roku 1905, będąc dobrze z policją, powstrzymał rozpoczynający się pogrom kupców żydowskich. Więc i teraz dość było jednego słowa proboszcza, aby odroczyć wypłatę jakiegoś drobnego, naglącego wekselku, a Mazurzy, oceniwszy już wartość tego ukochanego pasterza, mawiali z najgłębszem przekonaniem:

— Proszę ojca! Ojciec wszystko może uczynić, co chce!

Wobec pobudzenia do czynu całej parafji życie wyskakiwało już z ram, a po wojnie japońskiej żelazne obręcze niewoli rozluźniły się nieco i chociaż oko rządu było zawsze jednako czujne, ale powstaje za jego zezwoleniem w roku 1907 Towarzystwo Dobroczyńności, które skupia inteligencję miejską i wiejską i po długim okresie martwoty daje

możność wymiany zdań i urabiania społecznego zbierających się ludzi dobrej woli. Do tej chwili ofiarność Polaków na Rusi osiadłych przejawiała się li tylko w hojnych datkach na cele społeczne, poza kordonem i w Kongresówce krzewione, jak na T. S. L., na albertynów w zaborze austriackim, na wóz Drzymały, na Wrześnię, na Tow. Przyjaciół Nauk w Warszawie, kiedy to za przykładem Tadeusza Czackiego wielu innych kresowców na jego rozwój łożyło, na Tow. Lekarskie Warszawskie (dr. Gołębiowski z Podola, dr. Moczutkowski z Odesy), na Kasę Literatów w Warszawie, której Piotr Kostecki z Humania 3.000 rb. zapisał, a mistrz Paderewski, z Podola rodem, cały dochód ze swego koncertu w Warszawie na jej rzecz ofiarował.

Do powstania biblioteki publicznej w Warszawie przyczynili się również mieszkańcy ziem ruskich, składając dla niej prócz różnych zapisów 3.000 tomów zgodnie z wolą Edwarda Witwickiego z Ukrainy. Pierwszym zaś prezesem Tow. Naukowego Warszawskiego był Aleksander Jabłonowski z Rusi, który ofiarował mu cały remanent wydawniczy „Źródeł dziejowych“ i Teki A. Pawińskiego wraz z dziesięciu tysiącami rubli na dalsze prowadzenie prac instytucji. Wspomagali ją dalej Feliks Sobański z Podola i Alicja Hasfortowa (siostra Włodzimierza Spasowicza), a w 1911 roku Józef hr. Potocki z Antonin „pragnąc wznović przykłady swoich przodków Jana, Ignacego i Stanisława Potockich“ oddał na wieczystą własność towarzystwu gmach przy ulicy Śniadeckich

w Warszawie. Z większych legatów zaznaczyć należy 40.000 rb. w gotówce, które Juljusz Moczulski, ziemianin wołyński, towarzystwu w testamencie zapisał.

Nadzieja Sieber, współpracowniczka Marcelego Nenckiego w Berlinie, wdowa po profesorze ekonomji pol. w Kijowie, wielka przyjaciółka Polaków, złożyła 50.000 rb. na zapoczątkowanie Instytutu Nauk Biologicznych, który to fundusz Tow. Naukowemu przekazany został.

W 1913 roku wdowa po profesorze uniwersytetu w Odesie, Franciszku Kamińskim, ofiarowuje całą jego puściznę naukową, zielniki, preparaty, bibliotekę 2.000 dzieł liczącą. W ostatnich zaś czasach, kiedy ks. Idzi Radziszewski, rektor Akademji Duchownej Katolickiej w Petersburgu powziął myśl stworzenia uniwersytetu lubelskiego i prowadzenia go w duchu katolickim, projekt jego poparł gorąco Karol Jaroszyński, ziemianin z Podola, który opiekował się młodzieżą polską, nad Nową rzucaną, szczególnie zaś wychodźcami wojennymi, urządzając dla nich bursy i stypendja. Ratował przytem finansowo Akademię Katolicką, gdy rewolucyjny rząd Kiereńskiego odmówił wypłacenia jej sum należnych¹⁾.

I w Kasie Mianowskiego zapisali się swemi chętnymi darami Polacy z Rusi, a Gimnazjum Cieszyńskie

1) Po przyjeździe do kraju ks. Radziszewskiego uzyskano koncesję i na początku grudnia 1918 roku nastąpiło otwarcie Uniwersytetu Lubelskiego. Członkami fundatorami byli: Karol Jaroszyński i Stanisław Wessel, ziemianin z Lubelskiego.

otaczali szczególną troskliwością: Włodzimierz Kosowski sędzia śledczy z Odesy, Aleksander Dobrowolski z Jekaterynosławia, Walery Rościszewski, dr. Moczutkowski z Odesy, Włodzimierz Spasowicz, Wincenty Stalewicz z Odesy, a podwaliną owego gimnazjum w Cieszynie stał się zapis Ignacego Bagieńskiego z Hrycenek na Wołyniu. Konstanty Wołodkiewicz, mieszkaniec Odesy, legował cały, znaczny swój majątek na instytucje dobroczynne i oświatowe polskie w Rosji i zagranicą, z czego Kasie Mianowskiego dostało się kilkadziesiąt tysięcy rubli. Dr. Alfred Izbicki z Odesy zapisał również kilkadziesiąt tysięcy na Bratnią Pomoc, na sanatorium dla suchotników i inne społeczne instytucje, ale wskutek przewrotu bolszewickiego zaledwo część tych legatów wypełnioną być mogła. Ś. p. August Iwański z Olshanki na Ukrainie fundował w Krakowie katedrę historii ziem ruskich i t. d.

Tak mocnymi węzłami spojone było społeczeństwo polskie na Rusi z macierzą swoją, że niepodobna wyliczyć tych wszystkich, którzy, do hojnej ofiarności względem niej się poczuwając, korzystali jednocześnie z każdej okazji, by polskość tę wzmacniać wokoło siebie. Więc, choć jeszcze po polsku uczyć otwarcie nie wolno było, ale młodzież mazurska wiejska i miejska w Płoskirowie nabierała wprawy we władaniu językiem ojczystym podczas amatorskich (cenzurowanych) przedstawień. Obdarzona artystycznym smakiem żona organisty, Leokadja Rosińska, wiele pracy i umiejętności w te przedstawienia wkładając,

zasilała jednocześnie kasę Towarzystwa Dobroczynności, gdyż tłumy się z miasta na te widowiska schodziły.

Potężnieje i wzbiera podziemna rzeka budzącej się do czynu polskości. Ziemianie zakładają Zrzeszenie, którego celem praca kulturalna nad ludem. Pierwszy to raz po latach wielu zjeżdżają się Polacy na Rusi dla omówienia społecznych, na szerszą skalę zamyśłów. Łzy płyną im z oczu — głębokie wzruszenie wyjawia czystość i patryjotyczny zapal ich myśli, ale żaden z nich nie umie w pierwszej chwili przemówić, skryształizować swych planów na głos przed zebranymi. W życiu codziennem trzeźwi, rozważni — społecznie są niemi, w przeciwieństwie do Galicji, gdzie ustrój parlamentarny wyrabia swadę i pewność siebie. Na Zrzeszeniu występuje myśl założenia pisma polskiego pod tytułem: „Dziennik Kijowski“, któreby łączyło całe społeczeństwo polskie na kresach. Włodzimierz Grocholski dostarcza początkowo funduszków na ten cel, a ponieważ opłata roczna dla służby kościelnej, pracowników rolnych i uboższej inteligencji zmniejszona była o połowę, więc rosnące stąd deficyty pokrywają stale ziemianie polscy — przeważnie zaś Tomasz Michałowski i Antoni Czerwiński.

Duszą zrzeszenia byli: Brunon Starorypiński, Wacław Skibniewski, Michał Żukotyński, Stanisław Czerwiński, Bogdan Żebrowski i wielu, wielu innych, a praca ich zaczęła się wnet po ukończeniu uniwersyteckich studjów — praca cicha, uporczywa, tajemna nad zwalczaniem analfabetyzmu u ludu polskiego.

Analfabetyzm ten jednak daje się stale i silnie wyczuwać, gdyż nie poszczególne wysiłki, ale jawne, powszechne szkoły mogłyby go jedynie pokonać. Trzeba więc, korzystając ze zwolnionych choć nieco cugli, zabrać się do młodzieży mazurskiej i dać jej pokarm duchowy bez względu na odpowiedzialność za tę akcję przed rządem. U kapelana Bolesława Pawłowicza przy gimnazjum rosyjskiem w Płoskirowie tworzy się biblioteka polska i kółko samokształcenia młodzieży, a to znów daje impuls do organizacji tajnych kółek oświatowych w całym powiecie.

Część ziemiaństwa, inteligencji miejskiej i kler zacierają się odważnie do pracy. Do 1917 roku powstają już i funkcjonują tajne szkółki w Kazimierku u Biskupskich, w Łoszkowcach u Modzelewskich, w Mądrygłowach u Starorypińskich, w Szarawce u ks. Maciejskiego, w Skarzyńcach u Marowskich, w Wołkowcach u Mścisławostwa Skibniewskich, w Andrejkwcach u Waćławostwa Skibniewskich, w Satanowie przy kościele, w Żuczkwcach u Żurakowskich, w Felsztynie pod kierownictwem pani Hofmańskiej, objazdowej ogrodniczki, inteligentnej, pełnej zapału, z wyższem wykształceniem — zasiewają się te ciche szkółki i kwitną tajemnie tu i owdzie po wszystkich powiatach Podola, Wołynia, Ukrainy. Bo te trzy najmilsze ziemie ruskie to jeden organizm społeczny — to trzy siostry — bliźniaczki, w których jedno tętno pod względem spraw polskich wyczuwać się daje — jeden ruch, mocniejszy lub słaby, stosownie do krępujących go więzów niewoli.

Rycerskość lat dawnych przeradza się teraz na ziemiach kresowych w umiłowania innego pokroju. Są ludzie uprzywilejowani, zamożni, zdawna na roli osiadli, którzy patrzą na życie i swój w niem udział — nie od strony danych im przez fantazję losu przywilejów, ale od strony obowiązków surowych i twardych, obowiązków Polaka dla Polski i dla całego narodu. Są dwory, z których lecą do polskich chat myśli nieskazitelne jak białe gołębie, lub też stalowe swą mocą, kiedy ci ludzie uderzą w stal czynów.

Takim był skromny i mały, pod słomianą strzechą, w obramowaniu kwiatów tonący — dwór w Łąkach, rodziny Trzebińskich siedlisko. Bielone ściany, drzewa — olbrzymy, skromność i czystość przy kwintesencji kultury duchowej, zdały się przenosić przynajmniej do epoki poety z Czarnolasu. Rok 1863 zastaje już tu szkółki dla ludu polskiego. Doktor Adolf Trzebiński, działacz społeczny, ratujący zagrożone majątki polskie, miał w swoim dworku poradnię, do której ściągali chorzy z dalszych i bliższych okolic. Żona jego, Aniela, niezwyklej kultury i cnót, przyjaciółka dawnej swej uczennicy, Młcisławowej Skibniewskiej, takim czarem przezyczystej „służby dla ojczyzny“ opromieniła niskie ściany swego domu, iż nawet wysoko i z pańska noszący się ludzie byli tam „chapeau bas!“ I u Młcisławostwa Skibniewskich w Wołkowcach panował duch prostoty i patriotycznej pracy. Pan Młcisław, „chłopoman“, jak go charakteryzowali niektórzy, wraził się w pamięć całego Podola z powodu toastu, jaki wznosił w Krasnosiółce, w czasie

uczty weselnej jednej ze ślicznych panien Lipkowskich, Teresy, wychodzącej za Seweryna Zaleskiego.

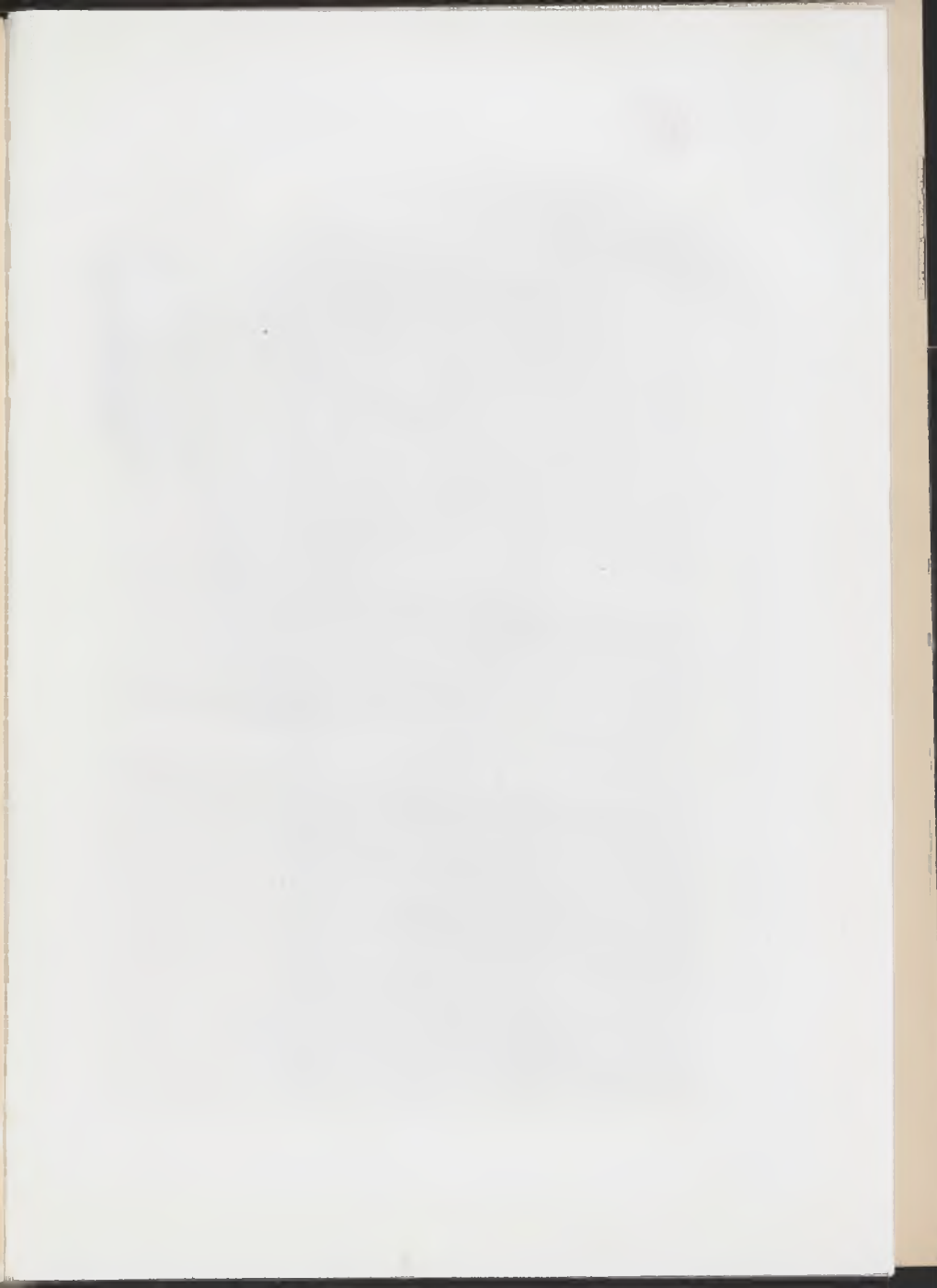
Po szeregu przemówień na cześć spokrewnionych rodzin wstaje pan Mścisław z kielichem w ręku i wygłasza z całą prostotą:

— A teraz — wypijmy zdrowie usługujących nam kozaków i służby! — Jedni spełnili ten toast ochocho, inni zaś — śmiali się zeń po kątach ukradkiem, aby nie obrazić starego krewnego i gościa. A rzecz cała się działa przy końcu przeszłego stulecia, kiedy to różnica pomiędzy klasami zaznaczała się stokroć jaskrawiej, niż w późniejszych, powojennych czasach.

Wystąpienie jednak pana Mścisława nie było wynikiem jakiegoś chwilowego nastroju, ale wiązało się ściśle z całym kierunkiem „domu wołkowieckiego“. Choć oboje właściciele jego młodość swą spędzili zagranicą, pan, — kształcąc się w agronomji, pani, — jako bogata jedynaczka jeszcze, kończąc edukację w Paryżu, ale zasiew ich czynów po powrocie do kraju i osiedleniu się we własnym domu wykazał, jak cenne ziarno wśród obcych wzorów potrafili sobie przyswoić dla dobra całego otoczenia i umiłowanej polskości. Pan Mścisław zasłynął wkrótce w okolicy jako wzorowy gospodarz i dzielny administrator, ześrodkowujący zarząd wszystkich swych folwarków we własnych rękach. Centralizacja taka wymagała ogromnego nakładu czasu i pracy, której ten świetny gospodarz i uczynny sąsiad nie szczędził, — surowym też był i nieugiętym sędzią wobec próżniactwa i mar-



Poświęcenie sztandarów powstańczych 1831 roku w Krasnosiółce Lipkowskich. Na prawo w grupie dowódców gen. Kołyszko i Emir Rzewuski (w turbanie)



nowania majątku na hulanki i zbytki. Wogóle „praca“ była dobrą wróżką domu wołkowieckiego. Wymagano jej od siebie i od otoczenia, przestrzegając natomiast ściśle wypoczynku niedzielnego i obchodząc z podniosłą uroczystością wszystkie doroczne święta. Tradycyjna wigilja zwłaszcza i dzień Nowego Roku, jako okres zasłużonej nagrody i zbliżenia wsi z dworem, otaczane bywały urokiem obmyślanych zawczasu niespodzianek i podarunków dla młodszego personelu administracyjnego i dla wszystkich dzieci. Starsi otrzymywali wedle zasługi i lat służby nagrody pieniężne, a wielu wśród nich od małego dziecka tu pracowało, z ojca na syna obowiązki służbowe też często gęsto spadały, z objęciem wszelako wyższego już stopnia w hierarchji administracyjnej, albowiem zdolniejsi pobierali nauki na koszt dziedzica. Stawała się tedy wigilja co roku najmilszym dniem święta dla liczного grona ludzi życzliwych i bliskich sobie wzajemnie, acz na różnych stopniach klasowych stojących.

Inny znów charakter nosiło tradycyjnie się powtarzające przyjęcie w dniu Nowego Roku. Wówczas to, w obszernej jadalni i przylegających doń pokojach dworu wołkowieckiego, zasiadali wszyscy starsi, miejscowi gospodarze wiejscy przy obficie zastawionych stołach. Omawiano wspólnie z dziedzicem wszelkie „bolączki“ i najpilniejsze potrzeby wsi, a jako rezultat tych narad wypływał zwykle projekt jakiegoś realnego poczynania, dobro wsi na celu mającego. Były to właściwie podarunki „pana“ (jak np.

grunt na rozszerzenie cmentarza, materiałów na wybudowanie nowej szkoły i t. d.), a choć inicjatywa szła od gospodarza domu, ale wykonanie i współudział chłopów stawiany był jako warunek „sine qua non“ i przestrzegany przez „surowego pana“ sumiennie. „Serdytyj pan!“ — mawiali o nim włościanie. — „Serdytyj, ale duże dobryj i sprawedywyj!“

„Serdytyj pan“ nie dożył piorunowego okresu rewolucji rosyjskiej. Trudno orzec zatem, czy jego długoletnia praca nad ludem mogłaby stać się choć w najmniejszej mierze ową tamą ochroną wobec wywrotowej siły hasła, które całą potęgą przelatującego tajfunu zatrzęsły spoidłami zbiorowej duszy ludu ruskiego. W owym jednak czasie posiadał w zupełności szacunek i przywiązanie otaczającej go ludności wiejskiej, a do tej zażyłej ufności niemało się przyczyniła wybitna indywidualność żony jego i „pani wołkowieckiego domu“.

„Wiara, praca i wytrwanie! W tych trzech słowach — treść zwycięstwa. — W tych trzech słowach — zmartwychwstanie!“ Tak określa życiowe swe „credo“ ta mądra i szlachetna kobieta. Poczucie odpowiedzialności przed Bogiem i ludźmi za owocność danego jej na ziemi istnienia, głębokie pojęcie wartości własnego stanowiska i fortuny jako źródła radości dla wszystkich, co się w promieniu jej serca znajdowali, praca nad wychowaniem własnych dzieci, praca oświatowo-społeczna nad ludem wiejskim — oto prosta i piękna tkanina jej zasad i myśli, na której działalność całego życia wyhaftowała niez-

tarte o ideowości polskiej kobiety kresowej wspomnienie.

Oczywiście w pierwszych latach zamążpójścia wszystkie zamiary młodej pani domu musiały być wykonywane nad wyraz ostrożnie wobec skrutatorskich oczu władz rosyjskich miejscowych i polegały li tylko na szeroko stosowanej umiejętności leczenia. W miarę jednak jak zioła i maści „pani“ zyskiwały coraz większą sławę, rosło i zaufanie ludu okolicznego, rozszerzał się zakres działania. Polskich kolonij mazurskich było tu wiele, a szkoły ludowe zagarniały je chętnie pod swoje rusyfikatorskie wpływy. Ileż wytrwałej a zręcznej pracy, ile zabiegów i umiejętności pedagogicznej trzeba było zużyć, by piskłeta polskie od wynarodowienia ocalić! Jednym z objawów głęboko sięgających zamierzeń były świetnie i przystępnie przez panią Mścisławową ułożone wierszem w języku rusińskim i polskim dziesięcioro przykazań, które każde dziecko wiejskie napamięć umiało, zdając sobie sprawę przytem z tych podstawowych prawd etyki ludzkiej. Wpływ bowiem pani wołkowieckiej rozpościerał się z równą miłością na wszelki drobiazg dziecięcy, który w jej domu miał zupełnie wyjątkowe prawa i przywileje.

Po śmierci męża nie chciała pani Marja pozostać w osamotnionych Wołkowcach, oddała więc wszystkie majątki swym dzieciom, przenosząc się natomiast do małego folwarczku, „Starym Dworkiem“ zwanego, i tu do końca życia już pozostała. W obramowaniu starych, rozłożystych drzew, pod słomianą skromną

strzechą zatliło się wraz z jej przybyciem nowe, młode życie. Młode — bo w piersi „starszej pani“ wciąż młody mieszkał duch. Zakwitło i ożywiło się stare pustkowie. Zakwitła pocieszycielka — praca. Lata większej wolności (po 1905 roku) pozwoliły na otwarcie jawnej już polskiej szkoły pod kierownictwem sprowadzonej przez panią Mściśławową nauczycielki. Garnąc prócz tego do siebie dziewczęta ruskie, uczyła je kilimkarstwa i robót ręcznych. Urządziła warsztaty rzemieślnicze dla chłopców wiejskich pod kierunkiem fachowca i własną, czujną kontrolą. Ranne godziny poświęcane były przyjęciom lekarskim, gdyż autorytetu „starszej pani“ w tym względzie nie mogły naruszyć żadne powagi doktorskie. Co tygodnia, w długie zimowe wieczory, niewielka izba „Starego Dworku“ rozbrzmiewała basowemi głosami starych gospodarzy wiejskich, wiodących ze „starszą panią“ przeróżne narady i pogadanki. Wśród roju dzieci, wyrostków, dziewcząt na podwórku, w szkole i warsztatach, wśród natłoku bab w poradni lub ociężałych postaci męskich w kożuchach — przesuwała się drobna postać „starszej pani“ z mądrym słowem i dobrotliwym uśmiechem na ustach. Tak słodziła sobie bolesne chwile po ciosach życiowych, które i jej ominąć nie chciały: śmierć męża, zgon najstarszego, nieodżałowanego syna, dr. Bogumiła, dumy i pociechy jej serca, wreszcie w ostatnich latach — śmierć zięcia, K. Radłowskiego, rozpacz ukochanej córki...

Wybitnym istotnie człowiekiem i obywatelem kraju był ów doktor-ziemianin, Bogumił Skibniewski, który

pojął za żonę Marię Trzebińską. Dwie wierne sobie i wytkniętym celom narodowym przyjaciółki — pani Skibniewska i pani Trzebińska wzmocniły ten węzeł małżeństwem swych dzieci. Powstało w ten sposób w Popowcach nowe gniazdo pracy społecznej polskiej i bezpłatnego leczenia przychodzących doń gromad okolicznego włościanstwa ruskiego. Tak bowiem bywało na ziemiach Podola, Ukrainy, Wołynia. Obywatelski duch snuł się promiennym zygzakiem z jednego pokolenia w następne, omijając jednych, przejawiając się natomiast ze zdwojoną siłą w innych.

Więc i drugi syn Mścisławostwa Skibniewskich, Wacław, ożeniony z Anną Załęską, od najmłodszych lat staje w szeregu wytrwałych a cichych (ze względu na rusyfikacyjny system) pracowników dla sprawy ojczystej. Obdarzony krasomówczym talentem, pomimo to skromny, nie wysuwający się nigdy własnowolnie na pierwsze miejsce, sprawował często sądy honorowe, był członkiem każdej organizacji narodowej. Słabego zdrowia — nie odmawiał w żadnym wypadku bytności swej na posiedzeniach. Na bok szły interesy majątkowe, osobiste, rodzinne, skoro go wzywał obowiązek społeczny. Nie istniały dlań złe drogi, zła pora. Gorliwy rzecznik spraw kościoła, narodowych, oświatowych — w każdej chwili gotów był wyjechać ze swych ukochanych Andrejkowicz, gdzie prowadził wzorowe gospodarstwo, jeśli tylko zachodziła tego potrzeba.

Patriotyzm młodszego pokolenia opiera się na tradycji lat dawnych. Żywo tkwi w pamięci żyjących,

jak w Ostapkowcach, w 1863 roku urządzali Zalescy fabrykę szarpi dla rannych powstańców, jak dzielna pani Martyna rozkazy naczelników do oddziałów powstańczych wozila, zawsze szczęśliwie pośród wart chłopskich się przekradając, jak piki kuto w ich kuźni, jak kilkadziesiąt sierotek wychowywali, czego im rząd rosyjski w szeregu różnych represyj zabronił. Budują tedy kościoły, pani Martyna do najpóźniejszego wieku sama ornaty haftuje, kupuje we Francji, we Włoszech piękne sprzęty kościelne i setkami je do kościołów i do kaplic na Syberję wysyła.

I przez niedaleką Sołomnę przechodziły wówczas regiony ducha polskiego. Tu mieszkał po amnestji i powrocie z Permy marszałek dubieńskiego powiatu, Marcin Prawdzic-Zaleski, za rok 1863 na Syberję zesłany. Piękne Semiduby pod Dubnem drogą nakazanej przez rząd sprzedaży pomiędzy Czechów rozparcelowano. Po uwłaszczeniu włościan w 1861 roku tak przemawia jako marszałek do zebranych w Dubnie okolicznych ziemian:

— Któż lepiej od nas samych potrzebę i rozkosz swobody czuć i ocenić jest zdolny? Droga nasza obecnie prosta i wytknięta. Podajmy młodszej braci przyjacielskie dłonie. Bądźmy im wzorem i przychylną radą, a chociaż to wszechstronne przekształcenie stosunków naszych z włościanami, w początkach przynajmniej, o niemałe straty materialne przyprowadzić musi, lecz przeświadczony jestem, panowie, iż żaden z nas tych koniecznych, przejściowych strat na chwilę żałować nie może i nie będzie!

Jarmolińcom nadawał wówczas ton hrabia Aleksander Orłowski, szeroko znany z dowcipu i osadzającej każdego na miejscu, trafnej „ripisty”. Wszakże o Aleksandrze II, koledze z konnej gwardji w Petersburgu, mawiał z lekko zarysowanym uśmiechem:

— Ha! Cóż robić?! Jemu się poszczęściło, a mnie — nie! — Ów wytworny, o europejskiej kulturze, podolski ziemianin traktował z pańską niedbałością i ciętością tak różnych drobnych funkcjonarjuszów cesarskich, jak i wysoko postawione osobistości, gdyż był istotnie dobrym Polakiem i nie płaszczył się nigdy przed rządem zabórczym. Tysiączne anegdotki, podawane z ust do ust, leciały jakby na skrzydłach przez jary i stopy „trzech zabranych prowincyj”, wywołując śmiech i poklask Polaków wobec szermierki językowej hrabiego Aleksandra, który na zapytanie naprzykład jednego z ministerjalnych urzędników: — Czy prawdą jest, że pierwszego króla polskiego myszy zjadły? — odpowiedział natychmiast uprzejmie:

— Tych czasów nie pamiętam. Ale — że ostatniego psy rozszarpały, wiem o tem z pewnością!

W 1914 wybuchła wielka wojna. Rozwinięte już i zszeregowane siły społeczne dają wyraz swej przedsiębiorczości, tworząc w Płoskirowie szpital dla rannych. Naczelnym doktorem jest tu znakomity chirurg z Łodzi, dr. Watten, siostrami miłosierdzia ukryte zakonnice, dyżurują zaś z całym poświęceniem panie miejskie i wiejskie. Dr. Natalja Żeromska, pani Kru-

szyńska, pani Czarnowska, Halka Skibniewska, Mucha Giżycka, Maryla Bandrowska, Skibniewska z domu, która nieraz ze wsi na całą noc wpadała do szpitalu, do posługi przy rannych, Waławowa Skibniewska, pani Hołówkowa prześcigają się w niesieniu pomocy i ulżeniu w cierpieniach żołnierzy, których dźwigają na noszach z dworca kolei Józef Starorypiński, Jan Narkiewicz-Jodko, Waław Skibniewski, Zygmunt Skibniewski, Kalikst Dunin-Borkowski z synami, Stefan Derewojed i cała młodzież szkolna.

Na czele szpitala stoi złożony z dwudziestu czterech osób komitet z prezesem ks. Nosalewskim na czele, wiceprezesową jest Marja Dunin-Borkowska, skarbnikiem Waław Skibniewski. Inteligencja miejska i ziemianie składają ofiary w pieniądzach i produktach, dopomaga im Ziemstwo, a lud mazurski, poruszony i zachęcony przez swego proboszcza niesie codziennie dla rannych konwie mleka, chleb, kury, jaja, płótno, składa całe stosy poduszek, tak, że jeden z ciężej ranionych żołnierzy leży na jedenastu takich miękkich dowodach skrętności i zapobiegliwości mazurskich gospodyń. W ciągu miesiąca uszyto dobroczynnemi rękami do sześciu tysięcy sztuk bielizny. Ksiądz Nosalewski woła co niedzieli do ludu:

— Pamiętajcie o waszym szpitalu!

Wojska rosyjskie posuwają się naprzód, zwycięskim marszem w głąb Galicji, a władze rosyjskie ewakuują stamtąd podejrzanych o austrofilstwo. Ciągną nieraz pieszko przez Płoskirów gromady takich uchodźców. Idą księża z Przemyśla, adwokaci, panienki,

inteligenci, jeńcy cywilni, których wysiedlano wraz z wozami i końmi. Petrogradzkie Towarzystwo Pomocy Ofiarom Wojny, którego oddziały po całym kraju funkcjonowały, organizuje natychmiastową pomoc. Składają wszyscy do płoskirowskiej centrali ubrania, bieliznę, obuwie, prowianty. Moralna opieka zapewniona wygnańcom — dzieci umieszczają się w szkołach, wynajdują posady, lokują chorych i starych w przytułkach. Ksiądz Paprocki z Koropca Badenich w Galicji wspomina do dziś z rozczuleniem, jak został wówczas przyjęty przez Mazurów w Hreczanej. Ruch wojenny powoduje większy napływ do miast urzędników Polaków, wojskowych, inteligencji, więc urządza się dla nich „stołówka“, w której tanio i zdrowo pożywić się mogą. Ziemianie przysyłają produkty spożywcze, ksiądz proboszcz ucieka się do swego bezcennego zmysłu organizacyjnego i instytucja ta oddaje wielkie usługi społeczne. Wśród takiego natężenia sił i najlepszej woli całej Płoskirowszczyzny przechodzi parę wojennych, ciężkich lat, aż wreszcie spada na nią nieprzewidziana i oszałamiająca wieść o abdykacji cesarza Mikołaja II.

System rusyfikacji i duchowej niewoli przestaje istnieć. Rozwarły się naościęz wrota swobody, a za niemi widnieje zdala nieruchome i purpurowe — słońce wolności.

IX.

KIJÓW W WOJENNYCH LATACH.

Podczas ostatniej wojny Kijów roił się od przyby-
szów z całej Polski. Byli to uchodźcy z Królestwa,
Litwy, Galicji. Zjechała znaczna część ziemian z Ki-
jowszczyzny, a spotykało się również dość licznych
Podolaków i ziemiaństwo z Wołynia. Obliczano, iż
przybyło w tym czasie do Kijowa ogółem do 40.000
Polaków, a że i przed wojną ludność polska wyno-
siła kilkadziesiąt tysięcy, więc stolica Rusi przybrała
charakter polskiego miasta. Potworzyły się tu orga-
nizacje polskie, powstał Kijowski Oddział Polskiego
Towarzystwa Pomocy Ofiarom Wojny, na czele któ-
rego stali: Horwatt, Bartoszewicz, Jeziński, Czerwiń-
ski, hr. Tyszkiewicz, hr. Bniński, Wilkoszewski, inż.
Rząśnicki, Kimayer, Sobański, Zieliński i inni, utwo-
rzył się z nominacji Kijowski Oddział Centralnego
Komitetu Obywatelskiego z pełnomocnikiem Pawłem
Górskim i jego pomocnikami: Stanisławem Moska-
lewskim (głównym kierownikiem zarazem) Aleksan-
drem Ledóchowskim i Stanisławem Kossakowskim
na czele. Zorganizował się również Lwowski Komitet
pod przewodnictwem Stanisława Grabskiego, ze

strony zaś rządu powstał Komitet Tatjanowski z Antonim Rzepeckim na czele, mający jako cel opiekę kulturalną nad uchodźcami i dostarczanie funduszków społecznym instytucjom narodów zaludniających kresy, a srodze przez wojnę dotkniętych.

Organizacje polskie zajęły się gorliwie losem ofiar wojny, pędzonych na wschód przed cofającymi się wojskami rosyjskimi, lub też z gniazd własnych w Galicji wyrwanych, o austrofilstwo podejrzewanych na bezdomność i nieokreślony termin tułaczki skazanych. To też istotnie dziesiątki tysięcy ludzi zawdzięcza im dostarczanie środków do życia, wyszukiwanie pracy, otoczenie opieką dziatwy drobnej i w wieku szkolnym będącej. Tak wielkim był zapał do działalności w tym kierunku, że powstała nawet między owymi grupami pewna animozja, wreszcie zaś skończyło się na takim rozgraniczeniu kompetencji, że Komitet Lwowski opiekował się uchodźcami z Galicji od dnia wypowiedzenia wojny, Polski Oddział Tow. Pomocy Ofiarom Wojny zajmował się cudzoziemskimi obywatelami zamieszkującymi Rosję i kresy przed wszczęciem działań wojennych, C. K. O. zaś rozłożył swą opiekę nad uchodźcami, którzy po wsiach się rozlokowali.

Oprócz materialnej i moralnej pomocy urządził jeszcze Polski Oddział Tow. Pom. Ofiarom Wojny za zgodą rosyjskiej władzy dla internowanych z Austrii uchodźców — „więzienie“, w którym przebywali „podejrzani“, zażywając zupełnej swobody, pod tym jedynie warunkiem, że nie opuszczą Kijowa

i będą zawsze wracali na nocleg do tego własnego lokalu. O tem „więzieniu“ ogół polski wie bardzo mało, a jednak było to prawdziwe dobrodziejstwo dla setek ofiar wojny i korzystało zeń wielu księży, między innymi znany jezuita, ks. Sopoch. Kierownikiem owego „więzienia“ był adwokat kijowski, Feliks Krzyżanowski.

Jeszcze w Warszawie uzyskał Centralny Komitet Obywatelski prawo zakładania ochron dla dzieci polskich, a gdy fala wysiedleńcza załała Kijowszczyznę w 1915 roku, przystępuje natychmiast do organizowania ochron przy dworach i folwarkach, około których skupiają się wygnańcy. Ziemiańskie śpieszą chętnie z pomocą, oddają budynki, pokoje na szkółki, a pierwszemi nauczycielkami i ochroniarkami są w wielu miejscach, wedle tradycji lat dawnych, ziemianki kresowe i „panny ze dworu“. Tak powstają ochrony w Morozówce, w Sawarcach, w Holakach, w Pustowarni, w Skibińcach, w Tataryńówce, w Stawiszczach, w Lubczy, w Nowo-Fastowie, w Płoskiej, w Krzywcu, a że liczba ochron rośnie z dniem każdym, więc C. K. O. wspólnie z Tatjanowskim Komitetem urządza kursy nauczycielskie i ochroniarskie, dając pierwszemu zastęp dobrze — względnie do krótkiego czasu przygotowanych opiekunów i kierowników. Zorganizowano w ten sposób 66 ochron w Fastowie, Dziuńkowie, Taraszczy, Skwirze, Jeziernej, Samhorodku, Wasylkowie, Białej Cerkwi, Światoszynie, Oratowie, Motowidłówce, Czerepinie, Koszewatej i t. d. z ilością ogólną dziatwy do trzech tysięcy wynoszącą.

Przed powstaniem Kijowskiego Oddziału Pols. Tow. Pom. Of. Wojny tworzy się pod kierownictwem inż. Gabryela Możdżyńskiego sekcja opieki nad dziećmi, która rozporządzając małymi środkami zlewa się z tym oddziałem w 1915 roku, uzyskując większe, pomnożone ofiarnością społeczeństwa miejscowego fundusze, co daje jej możliwość zaopiekowania się losem wyrzuconej na bruk kijowski, tułaczkiej diatwy. Urządza tedy przytułki i ochrony, warsztaty z internatami dla chłopców, szkoły kroju i szycia dla dziewcząt, szkoły robót i haftu, szkoły początkowe, internaty męskie i żeńskie, żłóbki, szpitale dla dzieci, aprowizacyjny magazyn i bibliotekę z 1.000 tomów, obejmując swem kierownictwem duchowem tysiąc z górą chłopaków i dziewczynek różnego wieku.

Napływ młodzieży wysiedleńczej pobudza do energicznego działania powstała nieco później przy Tow. Pom. Of. Wojny pod przewodnictwem Karola Wilkoszewskiego — sekcję szkolną. Po wielu staraniach i usilnych zabiegach pozwalają jej wreszcie otworzyć w Kijowie szkoły polskie początkowe i średnie dla dzieci uchodźców, dwa gimnazja męskie, jedno żeńskie, z których jednak i młodzież szkolna miejscowa korzystać zaczyna, szkoły średnie dla dziewcząt, kursy przygotowawcze, kursy nauczycielskie, internaty męskie i żeńskie.

Ponieważ jedynie akcja ratownicza wysiedleńców i prawo uczenia ich dzieci po polsku (wedle brzmienia ustawy państwowej) mogły być uwieńczone częściowem przynajmniej powodzeniem, więc świadomi

potęgi organizacji działacze społeczni postanawiają skupić się pod tym sztandarem i wytworzyć centralę, kierującą życiem polskim na Rusi. Takim autorytetem w latach 1915—16 i w początkach 1917 staje się Rada Okręgowa Kijowska Pol. Tow. Pomocy Ofiarom Wojny, która, uzyskawszy legalizację u rządu, obejmuje swym wpływem pięć gubernij (wołyńską, podolską, kijowską, czernichowską, połtawską), a jej funkcje prawne polegają na wydobyciu od rządu i przekazywaniu lokalnym organizacjom niezbędnych dla ulżenia losowi uchodźców, pieniężnych środków, zapewniających im również wychowanie i nauczanie dzieci.

Tak więc w owych latach wojennych osiadli tu zdawna kresowcy rozpalają na Rusi wspólnie z przybyszami z rdzennej Polski pierwszy widomy ogień narodowej oświaty, która dotychczas jak światło pod korcem musiała być utajona, gdyż pomimo ustawy z 1914 roku o szkołach prywatnych z językiem wykładowym polskim, marzyć nie można było o zrównaniu przynajmniej w tym względzie ludności polskiej z rosyjską, albowiem utrudniały to instrukcje poufne.

Tylko pod nazwą szkół „parafjalnych“ zdołano uczynić pierwszy wyłom w dotychczasowej pozycji rządu i dwie takie szkoły powstały w 1915 r. w Kijowie i w Płoskirowie, aczkolwiek pomiędzy wniesieniem podania a zezwoleniem władz upłynął nieledwie rok czasu. Zaledwo jednak runął, jakby gromem rażony, cesarski „regime“, na miejsce dawnych

sidel prześladowania występuje rozmach, energia, inicjatywa kresowych Polaków. Pod przewodnictwem prezydium Rady Okręgowej Kijowskiej z Joachimem Bartoszewiczem na czele tworzy się w dniu 2 marca komitet z dziewięciu, który w kilka dni później zwołuje szersze zebranie, wyłaniające z siebie Polski Komitet Wykonawczy z członków nar. demokracji, bezpartyjnych i centrali demokratycznej złożony. Prezesem zostaje Joachim Bartoszewicz, wiceprezesami Z. Chojecki i J. Pereświat-Sołtan, sekretarzami St. Jeziński i M. Mickiewicz, skarbnikiem Wł. hr. Dzie duszycki, członkami zaś: M. Baraniecki, Z. Berezowski, R. hr. Bniński, W. Chojecki, K. Domosławski, R. Knoll, F. Krzyżanowski, B. Perro, M. Wilczyński, St. Zieliński, St. Kalinowski i K. Waligórski. Komitet ten, będąc ogniskiem zestrzelonych w nim różnych kierunków myśli polskiej na Rusi, opracował ustawę ludności polskiej, tamże osiadłej, zwołując następnie wielki zjazd polski w Kijowie, w dniu 18 czerwca 1917 roku, pod nazwą trzeciego zgromadzenia delegatów organizacyj polskich na Rusi.

Życie ówczesne koncentrowało się w założonym jeszcze przed wojną polskim klubie „Ogniwie“, którego sale przepełnione bywały w porze obiadowej i aż do późnego wieczora inteligencją miejską i wiejską. Tu się odbywały liczne koncerty, przedstawienia amatorskie na korzyść uchodźców, wreszcie zebrania publiczne. Utworzyła się Rada Ziemiań, obejmująca wszystkie sprawy polskiego ziemiaństwa. Na czele jej stał zarząd, złożony z kilkunastu osób, prezesem

zaś i reprezentantem Kijowszczyzny był Stanisław Horwatt, wiceprezesem Wincenty Chojecki, wiceprezesem od Podola Franciszek hr. Potocki, od Wołynia — Aleksander Dobrowolski. Powstał również Klub Narodowy z prezesem Franciszkiem Pułaskim i zarządem z dwunastu osób na czele.

Teatr Polski przy Meryngowskiej, pod dyrekcją Rychłowskiego i artystycznym kierownictwem Kornela Makuszyńskiego, pysznił się rzucaniem na salę świetnych refleksów takich talentów, jak Osterwa, Jaracz, Brydziński, Fertner, co przy dekoracjach Drabika i zespole zgranych artystów dawało prawdziwie artystyczną ucztę dla doborowej publiczności. Biło nieraz „zaczarowane źródło“ natchnień młodego, kresowego kompozytora, Karola Szymanowskiego, wy czarowywał cudowne tony swym smyczkiem Paweł Kochański, pieścił słuch śpiewem artysta opery Kijowskiej, Belina-Skupiewski.

Drugi przybytek muzy, teatr „Studio“ artystycznym smakiem Wysockiej prowadzony, odznaczał się niezwykłym pietyzmem dla sztuki ze strony grających.

Wir napływających niemal co chwila, nowych politycznych wydarzeń marszczył powierzchnię życia, które biło śpiesznem, gorączkowem tętnem, wywołując bujny ruch nawet na ulicach Kijowa i przepelnienie we wszystkich jego hotelach i kamienicach.

X.

ZACZĄTKI WOJSKA POLSKIEGO NA WSCHODZIE.

Po upadku caratu, od marca jęły przewijać się przez gromady przechodniów po Kreszczatyku dziarskie postacie żołnierzy w lamowanych amarantem maciejówkach, z błyszczącym na nich zdała orzełkiem. Oszołomiony wzrok cywila Polaka przylegał do tego zabronionego dawniej godła polskości z pełnym zapamiętaniem. Wkrótce stało się ogólnie wiadomem, że rozlokowano w pobliskim Światoszyńcu, jako zaczątek przez gen. Bylewskiego formowanej dywizji polskiej — powstała z legjonu puławskiego Brygadę Strzelców Polskich, którą dowodził poprzednio gen. Olszewski. Kiedy zaś po ogłoszeniu przez Rząd Tymczasowy niepodległości Polski, gen. Bylewski urządził pierwszą polską mszę polową w światoszyńskim obozie — cała polonja kijowska, skauci, młodzież szkolna — wszyscy przystrojeni w biało-amarantowe kokardki spotkali się przy idącym do Światoszyńca tramwaju. Wypadły wiosenne deszcze i błoto było w niektórych miejscach tak głębokie, że rycerscy strzelcy polscy przeprowadzali panie, dążące na ich

uroczystość już w Świątoszynie po wyciągniętych w szeregu, jak kładka, obutych nogach. Gen. Bylewski podszedł do gromadki kadetów Polaków, którzy z będącego w Kijowie korpusu kadetów zjawili się również na tę mszę polską wojskową. Prężyli się przed nim, przykładając rękę do czapki i odpowiadając służbiście na uczynione im zapytania:

— Tak, panie generale! Nie, panie generale! Wedle rozkazu, panie generale! — a tłum cały, wchłaniając roziskrzonem wejrzaniem obraz pierwszego wojska polskiego i tych rycerskich młodzików, szeptał z rozrzewnieniem: — Jak oni wymawiają te słowa! Nie dziwnego! Wyśnione to, wymarzone jeszcze w dziecięcych latach! Wszak na opisach walk o niepodległość wyrosli! Na Przyborowskim, na Gąsiorowskim!

Ksiądz wstąpił na stopnie ad hoc urządzonego ołtarza, wokoło którego powiewały amarantowe sztandary I Pułku Strzelców Polskich, padła komenda wojskowego dowództwa: — Do modlitwy czapki zdejmi! i rozpoczęła się msza święta.

W czasie podniesienia łan głów pochylił się ku ziemi, przygięty jednym porywem błagania:

— Jako się zmieniasz w tej chwili w promienną istotę Bóstwa, o Chryste, tak przemień mroczne bytowanie ojczyzny naszej w potęgę radosnej wolności!

Dwa słońca świeciły owego dnia wśród tłumu zebranych, ale jak wyblakłym i matowem zdawało się złoto uwieszone pośród lekkich obłoków u stropu kulistej świątyni wobec tych reflektorów olśniewa-

jącej jasności, jakie były z głębin duchowych zgromadzonych w Światoszynie Polaków. Oto w ich oczach poczyniała się i czarowała nimbem przyoblekanej niepodległości marzona przez lata niewoli Polska. Wzmacniała się i zakwitała nakształt owej rośliny, zieleniącej pod życiodajną dłonią jakiegoś tajemniczego fakira.

Biel obłoków jęła coraz szybciej zasnuwać niebo, a może to biel duchów, spływających z zaświatów na tę pierwszą rewję wojska polskiego na ukraińskich ziemiach?! Suną po niebie zwarte pochody szwoleżerów z pod Somo-Sierry — strzępiasty wał wydłużonych postaci... Na białym obłoku zawisnął nad całym tłumem umiłowany naczelnik w białej sukmanie... Sadzi z bezkresnych dali na ciemnej chmurze jakby w burce przez ramię, rycerz bez skazy, co honor Polaków zaniósł nietknięty do Boga...

Zwierają się mocniej obłoki — biel duchów jak dym wokoło się ścięle... Wionął wiatr szumny, przeleciał, tchnął w tłumy mocnym wspomnieniem:

— Tam — nie dbałem o życie, tu — nie dbam o duszę!

Ale Polskę zbaw, Panie! Polskę — wybaw, Boże!!)

Po raz wtóry zerwał się wicher — na rozpostartych szeroko powiewach niósł wydarte nieśmiertelności słowa:

Ty jesteś jak zdrowie! Litwo, czy Polsko, a zawsze ojczyzno! Ty jesteś jak zdrowie!

1) Ostatnie słowa, napisane przez Konarskiego w jego celi, przed rozstrzelaniem.

Już kończy się msza święta. Na stopniach ołtarza ksiądz ogarnia znakiem błogosławieństwa wszystkich zebranych. Defilują przed swoim dowódcą i przed naczelnikiem organizacji legionów polskich w Warszawie, gen. Świdzińskim, któremu łzy płyną na siwe włosy — strzelcy polscy. W zgodnym, miarowym marszu wybijają takt nogami i śpiewają chóralnie:

Hej, strzelcy wraz! Nad nami orzeł biały,
 A przeciw nam śmiertelny stoi wróg!
 Wnet z naszych strzelb piorunne zagrzmią strzały,
 A lotem kul kieruje zbawca — Bóg.
 Więc gotuj broń i kule wbij głęboko,
 O ojców grób bagnetów naostrz stal,
 Na odgłos trąb twój sztucer bierz na oko —
 Hej, bacność! Cel! I w łeb, lub w serce pal!
 Hej, trąb! Hej trąb! strzelecka trąbko wdał!
 A kluj, a rąb i w łeb lub w serce pal!

Błoto miejscami tak głębokie i lepkie, że jeden z żołnierzy topi w niem but z nogi. Nie traci jednak fantazji i maszeruje dalej, choć napół bosy, lecz zuchowaty tem bardziej. Ten utopiony but dopełnia miary zapału i rozczulenia widzów. Wołają na głos podnieceni, szczęśliwi:

— But zgubił, ale nogi nie zgubił! Patrzcie, jak maszeruje! Co za wyszkolenie! Dawna tradycja! To materjał na bohaterów i nic ponadto!

Zwierają się mocno obłoki — śpiesznie żaglują po niebie, jakgdyby mocą wewnętrzną pędzone, aż wreszcie ciepły deszcz spada z góry na pozostały w Światoszynie zaczątek polskiej siły zbrojnej i na powra-

cające z pierwszej mszy polowej polskie gromady,
niby rześiste ły radości pozaobłocznych duchów.

* * *

Jeszcze w listopadzie 1916 roku, otrzymał gen. Bylewski od głównodowodzącego południowo-zachodnim frontem, gen. Brusilowa, wywołujące go z frontu do jego sztabu wezwanie. Tu — w poufnej rozmowie, ten żelazny i rozumny rosyjski wódz podkreślił, że formacje polskie są uważane jako bardzo potrzebne. Mikołaj II chciałby zachować koronę polską. Projekt unji personalnej z Polską — ostateczny kres daleko idących ustępstw ze strony samodzierzcy Rosji — dawał się wyczuwać pod zwięzłemi zdaniem głównodowodzącego frontem. Nie było to do pogardzenia w tym historycznym momencie — takie było zapamiętywanie gen. Bylewskiego.

Rząd zdawna już interesował się akcją formowania oddziałów polskich, gdyż skoro w październiku 1914 roku zaproponował Gorczyński utworzenie stutysięcznej armii polskiej, chętnie to akceptowane zostało. Zaproszenie gen. Bylewskiego do sztabu i prowadzona z nim narada były wynikiem tegoż samego pozornie przychylnego stanowiska rządu. Przydzielono go więc do sztabu kijowskiego i rozpoczęło się wrywanie Polaków z armii rosyjskiej, co z początku szło opornie, gdyż brak było w tym względzie uzgodnienia z rozbieżnemi opinjami społeczeństwa polskiego. Choć urok „wojska polskiego“ działał potężnie na każdego Polaka, ale przyzwyczajeni do systemu, dławiącego każdy objaw polskiej odrębności, nie mogli

pojąć narazie owi „inorodcy polskiego pochodzenia“, co się to dzieje?

Jedni twierdzili, że takie ściąganie Polaków „do kupy“ czyni się li tylko w tym celu, aby ich wysyłać następnie na najniebezpieczniejsze pozycje i „mechanicznie“ wybijać do nogi. Inni przeciwnie — wysuwali na pierwszy plan możliwość kulturalnej pracy nad wyodrębnionym żołnierzem polskim. Jeszcze inni — mieli wprost organiczny wstręt do bliższego związku Polski z Rosją. Kiedy po odezwie w. księcia Mikołaja Mikołajewicza znaleźli się młodzi zapaleńcy, którzy, uwierzywszy w jej szczerłość, nietylko rzucali się w bój z jakimś niepowstrzymanem bohaterstwem, ale łączyli się chętnie z Rosjanami w braterstwie broni, starzy weterani z 1863 roku mawiali smutnie:

— Choć oni czynią to wszystko w imię tej przyobiecanej Polski, ale czyżby już zapomnieli o więzieniach, egzekucjach, kibitkach, wywożących patriotów i młodzież na Sybir, o katordze i męce tylu skazańców, o dziecięcych głowach na pikach suworowskich w czasie rzezi na Pradze?!

Porozumienie się tedy ze społeczeństwem zapomocą wyłonionego zeń w Piotrogradzie Komitetu Narodowego, z Zygmuntem Wielopolskim na czele, staowało się nieodzownem dla tych, którzy tworzyli formacje polskie. Jako oficjalnie naznaczony organizator, zwraca się kilkakrotnie gen. Bylewski do sztabu, prosząc o danie mu takiej możliwości, delegując go do Komitetu Narodowego w tej sprawie. Zawsze jednak

otrzymuje odpowiedź, że „to narazie przedwczesne“. Widocznie rząd rosyjski, chcąc wyzyskać zdolności bojowe Polaków dla swego frontu i przygrywając im jednocześnie o Tej, „która nie zginęła“, co zresztą czynił równie pochopnie Napoleon pod Somo-Sierrą, obawiał się skonsolidowania sił polskich, aby nie odeszły odeń następnie po linii odrębnej samoistności.

Formowanie dywizji polskiej od początku roku 1917 było niezmiernie mozolne i trudne ze względu na rozrzucenie wchodzących tymczasowo do jej składu czterech bataljonów piechoty i dywizjonu artylerji w Kijowie, Boryspolu, Połtawie, Berezaniu, dywizjonu ułanów polskich (później Krechowieckich) w Czugujewie pod Charkowem i pułku rezerwowego strzelców polskich w Biełgorodzie. Chcąc skupić to nowo powstające wojsko polskie pod widomym znakiem dawnej tradycji, uzyskuje gen. Bylewski zapomocą sztabu gen. Brusilowa zgodę cara na wydanie z Kremlina 17 sztandarów polskich z 1831 roku, które mają być sztandarami nowych formacyj. Wydelegowani jednak po nie pułk. Żeligowski i pluton ułanów (później Krechowieckich) wracają z niczem, albowiem napotyka ją w Moskwie opór części społeczeństwa polskiego, orjentacji niemieckiej. Władze miejscowe rosyjskie ociągają się pod różnemi pretekstami z wydaniem tych pamiątek zwycięstwa nad Polakami. Potrafiono wpłynąć na poprzednią decyzję Mikołaja II, który również ją się cofać i wzdragać, twierdząc, że na tych sztandarach jest „i krew rosyjska!“

W końcu marca 1917 roku przyjechał do Kijowa minister wojny w nowym Rządzie Tymczasowym — Guczkow. Przedstawiali się mu w sztabie okręgu delegaci polskiej dywizji z gen. Bylewskim na czele, delegowani ukraińskich formacyj, delegaci z jeńców i kolonistów złożonej dywizji Czechów z pułkownikiem Gajdą na czele. Stanowisko nowego ministra wojny wobec formacyj polskich było bezwzględnie życzliwe, wyraził jednak pewne obawy co do powodzenia tej akcji:

— Z wami, Polakami — niewiadomo, z kim mówić?! Zawsze było w Polsce siedemnaście partyj, a każda z nich uważała siebie za najważniejszą.

— Może tak było dawniej, ale dziś orientacja polityczna jest bardziej jednolita — odpowiedział mu gen. Bylewski. — Jednak, aby prace szły zgodnie, należałoby utworzyć w Piotrogradzie Komisję Centralną dla Formacyj Polskich.

Po upływie miesiąca powołany na przewodniczącego tej Komisji wyjeżdża do Piotrogradu, wydelegowawszy tamże poprzednio w pierwszych dniach kwietnia dla nawiązania kontaktu z przedstawicielami myśli politycznej polskiej pułk. Żeligowskiego, kap. Wężyka, por. Ostrowskiego, por. Liesla, i por. Zdziechowskiego i zwoławszy do Kijowa zjazd delegatów wszystkich oddziałów Dywizji Strzelców Polskich dla opracowania i ustalenia przepisów służby wewnętrznej i zasad ideowych dalszego tworzenia oddziałów polskich. Napływ bowiem wojskowych Polaków do jedynej istniejącej formacji polskiej jest tak liczny,

że zapelnienie etatu wywołuje potrzebę rozszerzenia ram, w jakich rosnące ilościowo wojsko polskie pomieścić się już nie może.

W maju odbywają się w Piotrogradzie konferencje z udziałem szefa sztabu generalnego rosyjskiego i przedstawicieli organizacji polskich: zapada decyzja formowania korpusu polskiego (50.000 żołnierzy, na więcej nie chciał wówczas się zgodzić sztab rosyjski). Wobec dwóch sprzecznych orientacyj, nurtujących społeczeństwo polskie, a zaczerpniętych ze źródeł bijących w Europie na długo przed wojną, wzmocnionych przytem dopływem świeżych epokowych wydarzeń — niepodobna ruszyć z miejsca.

Zwolennicy republikańskiej Francji kładą na szalę postanowień narodu polskiego na obczyźnie — zapowiedź koalicji antyniemieckiej odbudowania niepodległej Polski i dążą do stworzenia w Rosji jak największej armii polskiej, wojującej przeciw wspólnemu wrogowi na zasadach i prawach wojska sprzymierzonego. Sympatycy państw centralnych niemieckich, wierząc w wyższość tego ustroju, nie mogą przykładać ręki do rozbicia jego przedstawicieli, rzucają natomiast jako realny atut — nie obietnicę, ale istotne powołanie przez Niemców do życia zaczątku Państwa Polskiego.

Tylko zjazd wojskowych Polaków, zwołany w czerwcu do Piotrogradu, po obraniu na honorowego swego prezesa komendanta Józefa Piłsudskiego, w spontanicznym odruchu wiekowych pragnień, wypowiada się odrazu za koniecznością tworzenia wojska pol-

skiego, jako siły gotowej na każde wezwanie Tej, która może przeciągnąć do Swoich synów, skrepowane więzami dłonie.

Wolne od wszelkich politycznych i partyjnych fermentów odwieczne hasło: — Dla ciebie, ojczyzno!, które od chwili rozdarcia Polski tańło się kolejno w najczystszych sercach naczelników i wodzów powstającego przeciw ciemnościom narodu, w tworzonych na obczyźnie legionach, w duszach powstańców, spiskowców, skazańców, wreszcie w genjuszach narodowej poezji i myśli — skryło się teraz do serca żołnierza polskiego i, siejąc cudowne blaski wśród przecaczającej się po całej Rosji i zaborze rosyjskim nawałnicy, wędrowało z nim razem przez wszystkie boje i walki legionów Piłsudskiego, przez Rarańczę i Kaniów, przez Bobrujsk, Kaukaz, Odese, Rumunję — przez Moskwę, Murmań i Francję ku wyzwalającej się z łachmanów niewoli i niedoli, młodej i uwolnionej jego rękami z pod jarzma okupantów Polsce.

XI.¹⁾

KRESOWY SEJM POLSKI.

Skoro Rożański, wyprosiwszy z trudem i li tylko dzięki dawnej swej znajomości z obrotną administratorką „Ermitażu“, panią Natalją Sipajłło, malutki, na najwyższem piętrze pokoik, wszedł w parę godzin po przyjeździe do „Ogniwa“, zastał tam kilkunastu ziemian, zebranych w porze przedobiadowej i rozprawiających z niemałym zapałem. Dojrzeli go wnet dwaj powietnicy i powitali oklaskami i śmiechem:

— A witajże nam, witaj, miły hospodynie! Pano-
wie! Pozwólcie sobie przedstawić prezesa Rewolu-
cyjnego Komitetu Gminnego, czyli krótko mówiąc
„ispołkomu!“

Obojętnie przyjmując te żarty, pan Stefan witał się kolejno ze znajomymi. Kilkakrotnie padło jego nazwisko i jakieś inne jeszcze przy zobopólnej reprezentacji — nazwisko znane i bliskie, chociaż zapoznający się z nim ziemianin daleko mieszkał i dotąd był obcy. Przez drzwi otwarte z drugiego

1) Cały ten rozdział oparty na autentycznych dokumentach i przemówieniach.

pokoju dojrzał go Waław Skibniewki i, opuszczając na chwilę ks. Kazimierza Nosalewskiego i grupę Podolaków, z którymi wiódł cichą naradę, podszedł doń i podał rękę życzliwie:

— Jak się masz, Stefanie? Cieszę się niezmiernie, że zasmakowałeś w pracy dla ogółu. Wołałbym, co prawda, abyś się do nas przyłączył, ale i na tem stanowisku możesz być pożytecznym istotnie, wobec zaufania, jakie mają do ciebie chłopci. Jakże ci się powodzi?

Rożański machnął ręką niechętnie:

— Mam ochotę odpowiedzieć ci na to pytanie staropolskiem, trochę zmienionem przysłowiem: Gorszy djabeł, niż go malują!

— Tak mówisz? — Skibniewski wpatrzył się uważnie w oczy pana Stefana, a dojrawszy w nich potwierdzenie dokuczliwej dlań myśli, powrócił zasępiony na dawne swe miejsce, rzuciwszy na pożegnanie — Daruj! Jestem teraz zajęty. Pomówimy o tem nieco później.

— Dobrze, że niema tu Stanisława Stempowskiego! — zaśmiał się ktoś z boku. — Tenby dopiero dał ci łupnia za takie wyrażanie się o jego najmilszych Rusinach!

— Myślałem w tej chwili o „sołdatach“. Przechodzą przez moją gminę bandami i rewolucja już z nich wydobyła anarchistyczne skłonności. A co do Stempowskiego, którego znam doskonale, ośmielałem się twierdzić wbrew jego sympatjom, że i nasz chłop zaczyna być niebezpieczny. Wołałbym jednak usły-

szeć od was coś ciekawego o sytuacji w kraju. Mam kilka rosyjskich dzienników, prócz „Kijowskiego“, ale żywe słowo stokroć więcej warte, niż stopy bibuły,

— Ano cóż?! Maszerujemy pod batutą narodowej demokracji — rzucił z ironją Marjan Baraniecki.

— Rzeczywiście — potwierdził Antoni Czerwiński. — To jest wprost nie do wiary! Przyszli tu ci panowie z Królestwa, z Galicji i pragną nami i wszystkim wogóle rządzić, jakgdyby byli u siebie. Żyliśmy tyle lat bez nich i dobrze było. Nie znaleźliśmy innej partji, prócz jednej: „Polak contra Moskal“. A teraz się tych partyj wśród nas namnożyło, jakgdybyśmy z Rosji przykład brali: N. D. i S. D. i P. P. S. i jakaś centrala demokratyczna i „bezpartyjni“, bo i to partja, nawet ja do niej należę, tak jak przeważna część naszego ziemiaństwa, dzierżawców i pracowników rolnych.

— I co pan ma do zarzucenia nar. demokracji? — spytał żywo Kazimierz Przeclawski. — Świetnie są zorganizowani, karni, program mają wyraźny, narodowy. Właściwie — powinniśmy się do nich zapisać.

— Szczególniej ich taktyka jest przemiła! — sarknął Baraniecki.

— A Stanisław Jeziński? — przekonywał szczerze Przeclawski.

Od lat najmłodszych pracuje nad krzewieniem tajnej oświaty polskiej, jest prezesem „Polonji“ w uniwersytecie kijowskim, później w 1912 aresztowany

wraz z Józefatem Andrzejowskim i Joachimem Bartoszewiczem za „polską propagandę“. Skoro jakaś myśl polska wcielała się w czyn, Jezierski samem swem zjawieniem się kładzie tamę sporom, godzi, jednoczy, tak wielkiem jest jego serce, dobroć i hart ducha! To jeden z najwybitniejszych kresowców!

— Na Jezierskiego — zgoda. Ten istotnie umie szanować zdanie swego politycznego przeciwnika. Ale posłuchajcie zato, jak zarozumiale wygłasza ten młodzik, Zygmunt Berezowski: — My jesteśmy, jak Rzym: kto nie z nami — przeciw nam! — Mówiąc równie po staropolsku, jak pan Stefan — djabli mię brali! — zadecydował ktoś szorstko. — Więc nikt nie może być dobrym Polakiem, prócz nar. demokratów jedynie?!

— Młodzik — ale zdolny. Przemawia tak, jakgdyby słowa „płynęły mu z ust“. Bez żadnego wysiłku. I skąd on nabiera takie miliony argumentów?

— Ja również należę do „bezpartyjnych“ — odezwał się gładkim i miękkim tonem Aleksander Sadowski — ale pomimo to przyznaję wielkie zasługi nar. demokracji w kwestji szkolnictwa w Galicji. Przytem — mają oni rzutkość, sprawność i wyrobienie polityczne, czego nam, oczywiście, brak wobec dawnego, przygniatającego systemu. Nic więc dziwnego, że pragną nami przewodzić. Niepokoi mię sejm jutrzejszy. Sprawa tworzenia wojska polskiego postawiona na ostrzu miecza. Przy słabej tolerancji nar. demokratów i zażartości centrali demokratycznej — przebieg rozpraw może być bardzo burzliwy!

— Więc i tu, między nami brak zgody! — zakrzyknął prawie Rożański. — W dziennikach nie przedstawia się to zagadnienie aż tak jaskrawo!

— Tymczasem to kwestja pierwszorzędnej wagi. Zajęły się nią rozmaite instytucje. Tak naprzykład — Klub Narodowy, do którego należę, rozważał ją bardzo starannie. Zarząd Klubu urządzał dyskusje, próbne głosowanie, referaty pro i contra, wreszcie ogólne zgromadzenie, na którym postanowiono tworzyć armję polską na Rusi. Taka sama uchwała zapadła na prywatnem posiedzeniu u Kossakowskiego, gdyż tam — jeden tylko głos podniósł się przeciw formacjom polskim. Próbowaliśmy dojść do porozumienia z centralą demokratyczną, ale jej członkowie, inspirowani przez Lednickiego, tylko w sojuszu z państwami centralnemi widzą przyszłość Polski. Nie zarzucam, broń Boże, złej woli Lednickiemu. On wierzy szczerze w niemiecką potęgę i wogóle stara to rzecz te nasze „orientacje“ polityczne. Historia się powtarza, bo i dawniej tak przecież bywało. Przeciwnie Dmowski, Grabski, Bartoszewicz, Jezierski rzucili hasło: — Z ententą! — a społeczeństwo polskie na Rusi waha się, — odcięte od stworzonej przez Niemców Tymczasowej Rady Stanu w Warszawie, reprezentującej nowopowstałe państewko polskie, — szuka drogi pomiędzy karnością względem jedyne go polskiego rządu, a własną chęcią współczynu przy stworzeniu niepodległej Polski. Takie są głębokie motywy tej rozbieżności w zdaniach. Znikoma tylko garsteczka ziemian, prawdziwych „żubrów“, oponuje

przeciw tworzeniu wojska z egoistycznych pobudek, że w razie wkroczenia Niemców na nasze ziemie będą się oni mścili za to na wszystkich.

— Sejm jutrzejszy rozstrzygnie tę sprawę — rzucił Rożański z energją. — Pod wynik głosowania będą musieli się poddać wszyscy, bo chyba przez czas niewoli nasze nieszczęsne „liberum veto“ kark dawno skreśliło.

— Ciekawa rzecz, kto będzie przewodniczącym zjazdu? Zdzisław Grocholski i Stanisław Pfaffius mają podobno najwięcej szans powodzenia.

— Zobaczycie, że Pfaffius przypadnie. Lewicowiec. Nie w smak nar. demokracji — twierdził jakiś zacięty przeciwnik tej partji.

— Czy chciałeś przez to powiedzieć, że Grocholski podda się ich wskazówkom? Nie wiem, czy on kogokolwiek w życiu posłucha, tak jest arbitralny, uparty, broniący ze stałością swego punktu widzenia. Zresztą — przekonamy się sami o wszystkim w tych kilku najbliższych dniach.

— Oczywiście. Tymczasem widzę, że służący wnoszą już zupę. Moi kochani! Proszę was, przynajmniej podczas obiadu, mówcie o czemś weselszem, niż ta zawila i szarpiąca nerwy polityka! Musimy przecież zachować spokój i równowagę umysłu wobec tej odpowiedzialnej pracy, jaka nas czeka jutro.

* * *

Tajone i rozproszone po całym kraju pod naciskiem rusyfikacji wysiłki społeczne i oświatowe — wydały

się nazewnątrz żywiółowym wprost ruchem, zraszając pracowników, tworząc organizacje powiatowe, miejskie, gminne, parafjalne, związki zawodowe i polityczne, wyłaniając wreszcie z siebie na ten polski sejm kresowy 556 delegatów z mandatami od 283 polskich stowarzyszeń na Rusi i z tych miast Ukrainy, gdzie były większe zbiorowiska polskości, jak w Odesie, w Ekaterynosławiu, Charkowie, Połtawie i t. d. Wszystko było świetnie obmyślane i urzędzone przez komitet wykonawczy. Przyjęto jako zasadę, że każda organizacja polska, oświatowa, społeczna lub też ekonomiczna posiada prawo wysłania na zjazd odpowiedniej do ilości członków liczby posłów, a każdy z przybyłych do Kijowa delegatów miał zapewnione mieszkanie — mniej zamożni dostawali je nawet bezpłatnie.

Ranna msza św., w kościele św. Aleksandra przez ks. prałata Skalskiego celebrowana — poprzedziła otwarcie sejmu owego w Kijowie. Około południa jęli ściągąć gromadnie wszyscy uczestniczący w nim delegaci do klubu polskiego „Ogniwo“. Napływali coraz to nowi przedstawiciele ugrupowań społecznych i politycznych, a przez całą salę szły nieustannie prądy zainteresowania, krzyżowały się szybkie pytania i odpowiedzi, rzucane dorywczo, jakby przelotnie wobec tej wielkiej rewji działaczy dawniejszych tajnych, przez rządy caratu prześladowanych — a tym pulsującym werwą, energją, różnorodnością zapatrywań, jawnym zespołem organizujących się sił społeczeństwa.

Oto na sali szewc kijowski, pan Władysław Budnicki, znany z niezmordowanej swej pracy nad ludem polskim w czasach, kiedy kara za tajne nauczanie trwała w całej pełni. Oto grupa dawnych członków otwartej pod przewodnictwem Józefata Andrzejowskiego w roku 1906 „Oświaty“: Gabrjela Knollowa (przewodnicząca Koła Kobiet Polek), W. Łukaszewicz, B. Bielawski, E. Wiliński, T. Fudakowski, A. Bukowiński, dr. M. Pietkiewicz, Z. Chojecki, M. Kulikowski, J. Bartoszewicz. Aczkolwiek towarzystwo to miało ulegalizowany przez rząd statut, pozostawało ono jednak aż do 1909 roku zewnętrzną raczej formą uzyskanych praw, albowiem władze utrudniały każdy przejaw jego działalności, a wreszcie zamknęły je, motywując ten wyrok „potrzebą rusyfikowania polskiego żywiołu na Rusi“. Postanowiono jednak prowadzić dalej rozpoczęte prace, więc towarzystwa: Oświaty Ludowej i Narodowej działały w sposób podziemny i tajny, a gdy w 1911 roku spadł nowy cios w ukazie o prześladowaniu nielegalnych szkół polskich, żadna z nich nie została wykryta w Kijowie — było tylko kilka takich wypadków na prowincji.

Czarne sutanny księży, pracujących już zdawna na polu oświaty ludowej, migają wśród tłumu: ks. prałat Skalski, ks. Fedukowicz, ks. Baranowski, ks. Tokarzewski, ks. Maliszewski, ks. Jarosiewicz, ks. Smólski, ks. Żmigrodzki, ks. Sznarbachowki i inni.

Przewodnicząca, powstałej w Winnicy, w maju, z inicjatywy Zarządu Koła Kobiet, Macierzy Szkolnej Po-

dolskiej — pani Letta Rudnicka-Jaroszyńska rozmawia żywo z przerastającym niezwykle wysokim wzrostem swe otoczenie skarbnikiem tej instytucji, Zdzisławem hr. Grocholskim. Obok — wiceprezes Macierzy Podolskiej, Wacław Skibniewski, dzieli się swemi wrażeniami z należącymi do jej prezydjum ks. kanonikiem Nosalewskim i Tomaszem Michałowskim. Witają się z nimi przedstawiciele Polskiego Tow. Pom. Of. Wojny, Stanisław Horwatt i Antoni Czerwiński. Podchodzi żywo do tej grupy Ludgard, hr. Grocholski, delegat Pol. Tow. Opieki nad Zabytkami Przeszłości na Rusi. Tłumaczy z zapałem, że prace Towarzystwa powinny być otoczone moralnem i materjalnem poparciem społeczeństwa polskiego.

Tomasz Michałowski i Antoni Czerwiński uśmiechają się lekko na ten atak, oskrzydłający ich otwarte dla różnych spraw społecznych sakiewki.

Tęskniący już za swem nieodłącznem, a niedopuszczalnem na sali obrad cygarem, Michał Żółkiewski pociesza ich żartobliwie: — Lepsze takie ofiary, niż więzienie i te kary pieniężne, jakie wam aplikowano hojnie w czasach stołypinowskich za zbytnią opiekę nad „Dziennikiem Kijowskim“.

Stawili się płoskirowscy działacze: dr. Stawiński, Józefowie Starorypińscy, Stefan Derewojed. Przesuwa się grupa przodowników kulturalno-oświatowych z Wołynia: Marja Mańkowska, Waldemar Weysenhof, Władysław Trapszo, Wacław Bylina.

Napływa coraz więcej przedstawicieli różnych ugrupowań społecznych: reprezentanci C. K. O. Paweł

Górski i Moskalewski, Podolsko-Woł. Komitetu — Gutowski i Mostowski, Pol. Tow. Pom. Ofiarom Wojny — Jezierski i Roman hr. Bniński (syn owej pocieszycielki skazańców syberyjskich z 1863 roku), Gub. Kom. Kijowskiego — Henryk Wilczyński i Krzyżanowski, ziemiaństwa — Potoccy i Sumowski, z ziemi mińskiej — Witold Wańkowicz.

Reprezentaci prasy: Edward Paszkowski, znany swym czytelnikom jako „Czarny Jegomość“, i Leon Radziejowski notują w pamięci moc całą spostrzeżeń do artykułów w jutrzejszym „Dzienniku Kijowskim“. Redaktor „Przeglądu Naukowego“, Stanisław Kalinowski dostrzega pośród zebranych kolegę po piórze, ale lewicowo i aktywistycznie usposobionego redaktora „Ukraińskich Kłosów“, Ursyna-Zamaraiewa, badającego krytycznym wzrokiem wraz z autorem publicystycznych broszur dr. Nałęcz Dobrowolskim nastrój zgromadzenia, w którym, wedle ich zdania, przeważają nar. demokraci lub ich sympatycy.

Liczba zebranych rośnie, napelniając salę po brzegi. Oto poświęcający czas swój i zdrowie dla dziatwy wygnańczej Karol Wilkoszewski, przedstawiciel Oświaty Ludowej — Mickiewicz, Oświaty Narodowej — Kornecki, Wyższych Kursów Polskich — Szyszkowski, prof. Henryk Ułaszyn, nauczycielstwa — Zofja Żukiewiczowa, organizator letnisk dla młodzieży, prof. Piasecki, członkowie Wydziału Oświaty — Antoni Rusiecki, dr. Antoni Ryniewicz, Stanisław Trapszo.

Wchodzi dr. Stanisław Trzebiński, brat Bogumi-

łowej Skibniewskiej, z owego wdzięcznie do starych drzew tulącego się dworku w Łąkach, stanowisko redaktora „Przeglądu Lekarskiego“ już piastujący.

Przeciska się przez ciżbę Jan Lipkowski, entuzjasta o złotem sercu, „kochany Jaś“, inżynier laureat paryskiej Szkoły Centralnej, jeden z organizatorów i prezes Związku Oficjalistów, mającego własne sklepy spożywcze, biblioteki, czytelnie. Zamyka go Stołypin w roku 1910, motywując to „niebezpieczeństwem istnienia tak poważnej organizacji wobec możebności powikłań międzynarodowych“. Marcowe dni budzą do życia przytający ów Związek, a Jana Lipkowskiego czynią znów oficjalnym jego przedstawicielem.

Ktoś rzuca pytanie: — Dlaczego nie widać Joachima Wołoszynowskiego? Wszak miał przemawiać w imieniu Kijowskiego Gub. Ziemskiego Zarządu (rosyjskiego), który postanowił, aby polską mową powitał zjazd polski. — Chory. Zapewne złoży do prezydium to powitanie na piśmie.

Gorliwi współpracownicy Sekcji Opieki nad Dziećmi dr. Michejda i Oskarowie Sobańscy zajęli miejsce obok dawnej działaczki oświatowej z Kijowszczyzny Janiny Przeclawskiej, która przyjechała na zjazd w towarzystwie swej sąsiadki ze Stawiszcz, żony plenipotenty Branickich, troskliwie opiekującej się ochroną dla dzieci z Królestwa, Marji Hanickiej.

Wchodzi sędziwy Józefat Andrzejowski, niestrudzony działacz na polu oświaty narodowej od lat 80 przeszłego stulecia, właściciel fabryki pieców majo-

likowych, troskliwy opiekun swych robotników, „człowiekiem Bożym“ ogólnie przezwany. Upadek caratu pozwala mu powrócić z chwilowego wygnania z Astrachania, na jakie skazały go za jego działalność nieistniejące już władze. Na sali wzruszenie. Ręce mimowoli składają się do oklasku na widok tego czcigodnego Polaka, będącego jednocześnie w tej chwili upostaciowaniem zwolnionego z więzów niewoli ducha narodowego.

Prezes Polskiego Komitetu Wykonawczego na Rusi, Joachim Bartoszewicz zagaił obrady przemówieniem, w którym, dziękując delegatkom i delegatom za tak liczne obesłanie zjazdu, wyraził pewność, iż takie zrozumienie powagi chwili dopomoże do odnalezienia „polskiej drogi“ w zamęcie krzyżujących się sprzecznych haseł i żądań, w labiryncie różnych dziejowych szlaków. „Sądzimy, że nie wolno nam, — którzyśmy już mieli czas czegoś się w życiu politycznym nauczyć, dziś stać na uboczu i nie spełniać obywatelskiego obowiązku względem tego kraju, którego chociaż jest Rusią, za nasz rodzinny uważać nie przestaniemy. Zanadtośmy się zrosli wiekami całami z tą ruską ziemią, abyśmy się mogli nie czuć jej prawowitymi synami, i jeśli miłość do kraju jest istotnym probierzem wartości obywatelskiej, to — twierdzimy głośno — nikt nas w tej miłości wyprzedzić nie potrafi. Ta miłość kazała nam trwać tu wtedy, kiedy ciemięski rząd starał się wszelkimi sposobami nas, Polaków, wyrzucić i zniszczyć. Dziś, kiedy zatriumfowała wolność, — nikt nam nie może zaprzeczyć

prawa do swobodnego na tej ziemi istnienia i do pracy dla dobra całego kraju. W naszej pracy konstrukcyjnej i organizacyjnej nie mamy nic do ukrycia, ani nic do zatajenia. Trzeba jednak urządzić nasze polskie życie tak, abyśmy stanowili nazewnątrz jeden zwarty, wielki i solidarny obóz polski. Muszą więc być stworzone te organy życia publicznego, które niezbędne są dla funkcjonowania naszego narodowego samorządu, a zatem: ciało deliberujące, jakim jest zgromadzenie polskie na Rusi i organy wykonawcze — komisaryjaty z Polskim Komitetem Wykonawczym na czele. Wy — polscy delegaci — którzyście tu przybyli, zechciejcie dać dowód, iż kulturalnym i zgodnym sposobem prowadzenia obrad podniesiecie urok starożytnego, polskiego parlamentaryzmu.“ (Oklaski.)

Na prezesa Zjazdu obranym został 232-ma głosami Zdzisław hr. Grocholski przy 197-miu głosach, które otrzymał Stanisław Pfaffius, przyczem Stanisław Jezierski i August Iwański kandydatury swoje cofnęli. Obejmując przewodnictwo Zjazdu, Zdzisław Grocholski, zwracając się w przemówieniu swem do „dostojnego delegata księdza pasterza obojga naszych diecezyj, do wielebnych księży, do pań i panów“ — zobrazował ciężką i niebezpieczną, a przeżywaną podówczas dziejową chwilę:

— „Zjechaliście się w imię Pańskie na opatrowanie niebezpieczności koronnych ...abyście, co się rozwiązało, spoiili... tak w roku 1588 rozpoczął kazanie ks. Skarga. Trzy wieki upłynęły i słowa te, jakby

do chwili obecnej dostosowane istotnie. Jak wówczas, tak i teraz niebezpieczności wiele nam, Polakom, zagraża. Jak wówczas, tak i teraz rozerwanie wielkie serc ludzkich, potarganie jedności i zgody... Zgromadzenie nasze — to sejm polski kresowy. Niechże i w tej pracy, która nas czeka, to zgromadzenie będzie „na ukrzepczenie zgody i miłości wspólnej braterskiej uczynione.“ A gdy spólna ojczyzna i matka miła do zgody wiąże i zniewala, w imię Boże do pracy wspólnej przystąpimy rychło, by się wszystko dobre naszej Polsce drogiej przywróciło.“ — (Oklaski.)

Na wezwanie prezesa powołali zgromadzeni do prezydjum zjazdu: ks. prałata Skalskiego, robotnika Kazimierza Wolińskiego, włościanina Kajetana Tomaszewskiego, Stanisława Pfaffiusa, gen. Aleksandra Radłowskiego, Wacława Skibniewskiego — na sekretarzy zaś: Stanisława Sokołowskiego, Tadeusza Walickiego, Jerzego Wieczorkiewicza i Bohdana Domoślawskiego.

Program, czyli porządek dzienny sesji sejmowej opracowany był znakomicie. Pierwsze miejsce zajęło sprawozdanie z dotychczasowej działalności P. K. W. na Rusi, następnie obradować miano nad projektem ordynacji wyborczej do stałego przedstawicielstwa ludności polskiej, nad organizacją społeczeństwa polskiego na Rusi, a w związku z tem miały wejść pod obrady wybory nowego Komitetu Wykonawczego, dyskusja nad projektem organizacji samorządu polskiego i określenie terminu zwołania pierwszego stałego przedstawicielstwa ludności polskiej na Rusi. Sprawa wojska pol-

skiego, mającego się utworzyć z żołnierzy i oficerów Polaków byłej armji cesarskiej, zebranie na ten cel środków, paląca kwestja oświaty narodowej, wyznaczenie ogólnego podatku na kulturalne cele polskiego szkolnictwa — pochłaniały jeszcze przed sejmem całą uwagę społeczeństwa polskiego na Rusi, a wartka ochota rozpatrzenia i wprowadzenia w życie szerokich tych planów — wiodła w ciągu dni siedmiu obrad tego pierwszego wolnego sejmku w Kijowie — prace tak delegatów, jak i całego prezydium.

Były to, jak wiadomo, „miodowe miesiące“ współżycia Polaków z nowopowstającym rządem Ukrainy — później — niestety! — zmieniły się one w piętunowe iście posmaki. Wówczas jednak rzetelna lojalność, z jaką Polacy uznawali gospodarzami tego kraju — Rusinów, znajdowała życzliwy pośród nich oddźwięk. Więc kiedy w myśl trzeciego punktu porządku obrad prezes zjazdu wezwał zebranych do wysłuchania sprawozdania z działalności P. K. W. na Rusi i udzielił głosu jego przewodniczącemu, Joachimowi Bartoszewiczowi — tenże, stojąc na gruncie historycznych praw Polaków, jako ludności tubylczej na Rusi, przedstawił stosunek ich do Ukraińców w tych słowach:

— Po ogłoszeniu przez Rząd Tymczasowy aktu niepodległości Polski, zwróciliśmy się w dniu 18 marca do miejscowej Centralnej Rady Ukraińskiej z serdecznym pismem. Oto treść jego: „Świta — kraj nieba płonie.“ W ten radosny dla nas dzień, gdy wolny naród rosyjski uznał szczerze nasze prawo do

samoistnego życia politycznego, wyciągamy do was rękę, bracia Ukraińcy, jako do najbliższych sąsiadów naszej ziemi rodzinnej. Skoro nas związały dzieje tak ściśle, że na naszym pograniczu zmieszali się Polacy z Ukraińcami, to pozwólcie żyć po sąsiedzku, pozwólcie poznać się bliżej i porozumieć, skoro już nad wami i nad nami niema ucisku. Czem będziemy w możności, dopomożemy wam do waszego rozwoju narodowego, dla dobra Ukrainy, którą, daj nam Boże, widzieć światłą i szczęśliwą!

Na to nadeszła odpowiedź w dniu 31 marca: — Ukraińska Rada Centralna wyraża swoje podziękowanie Komitetowi Polskiemu za jego powitanie z zorzą nowego życia, którą ogólno-rosyjska rewolucja wzniesła nad naszą ziemią ukraińską. Podając rękę Polakom, Ukr. Rada Centralna przyznaje wszystkie prawa obywatelskie i polityczne mniejszościom narodowym, które naszą Ukrainę zaludniają i pragną iść z nami, jako wolni z wolnymi, równi z równymi!

(I w co się zmieniły, niestety, te piękne słowa?! Po pierwszych serdecznych manifestacjach jęły się ochładzać stopniowo ukraińskie sympatje, występowały natomiast coraz nowe utrudnienia względem Polaków. Sfiniszował zaś cały ten wyścig ku „samostijnej Ukrainie“ trzeci uniwersał Rady Centralnej, wywłaszczający bez odszkodowania wszystkie majątki polskie, w granicach nowego państwa leżące.)

Po ukończeniu sprawozdań z dotychczasowej pracy P. K. W. i wysłuchaniu referatów Stanisława Jezierskiego (wydz. spraw wew.) Włodzimierza hr. Dzie-

duszyckiego (skarbowość) i Stanisława Kalinowskiego (oświata) — zgromadzenie wybrało przez aklamację przewodniczących komisyj: finansowej — Tomasza Michałowskiego, oświatowej — Józefata Andrzejowskiego, ekonom. gospodarczej — Stanisława Pfaffiusa, politycznej — Joachima Bartoszewicza, prawno-organizacyjnej — Augusta Iwańskiego, ogólnej — Stanisława Horwatta i sprawdzającej — Jordana Pereświet-Sołtana. Prócz komisyj zgromadzenie postanowiło utworzyć podkomisję agrarną, a po zgłoszeniu wniosku, aby prezydjum poczyniło starania o większą salę dla plenarnych obrad zjazdu, niż dotychczasowa — posiedzenie zawieszono zostało.

Sejm został przeniesiony trzeciego dnia do sali Polskiego Teatru i tu, od pierwszej chwili rozstrząsania wniosków politycznych, zwierają się z sobą gwałtownie dwa prądy rozbieżnych przekonań i orientacji. „Blok demokratyczny“ atakuje pozycję Komitetu Wykonawczego, starając się zepchnąć go do roli miejscowego li tylko przedstawicielstwa Polaków, wysuwając natomiast na czoło narodu, istniejącą Radę Stanu w Warszawie i żądając podporządkowania się jej w dziedzinie polityki i stosunku do innych państw i narodów. Komitet Wykonawczy w osobie Joachima Bartoszewicza broni mocno swego stanowiska, odrzucając myśl wszelką o wydarciu mu z rąk duchownego przewodztwa w politycznym zakresie nad społeczeństwem polskim na Rusi, odczytując opracowane w komisji wnioski, z których wynika: Że — niezmiennem dążeniem narodu pol-

skiego jest niepodległość zjednoczonej Polski z dostępem do morza. Że — zjazd polski na Rusi wyraża uznanie zarówno Radzie Stanu w Warszawie za jej mozolną pracę wśród zbrojnej okupacji kraju, jak i Kołu Międzypartyjnemu za wytrwały opór przeciwko obcym zakusom. Że zjazd polski, uważając, iż dla osiągnięcia niepodległości Polski niezbędne jest wytworzenie siły polskiej, wita uchwałę zjazdu wojskowych Polaków, żądających zespolenia rozproszonych w szeregach rosyjskich żołnierzy polskich, w jedną polską siłę zbrojną. Prezes stawia pod głosowanie dodatkowy wniosek Witolda Niedźwieckiego: „zjazd Polaków na Rusi wzywa wszystkich Polaków, miłujących ojczyznę, do zaniechania sporów i waśni i do jednoczenia się w imię dobra Polski“, który to wniosek uchwalają z łatwością, widocznie w tym celu, aby ci „zjednoczeni Polacy“ mogli jak najszybciej przystąpić do dalszej walki. Szermierze wstępują kolejno na trybunę: Aleksander Sadowski — contra blokowi demokratycznemu — podkreśla powagę i polskość wydawanych przez jeden Komitet Wykonawczy opinii, obowiązujących bezsprzecznie cały ogół.

Stanisław Stempowski natomiast — popiera wniosek bloku. Mowa jego wzgardza przeszłością — rzuca przed oczy zebranych wspomnienie o „smutnej tradycji dziejowej prowadzenia tu, na kresach, eksterytorjalnej, nie liczącej się z rządem polskim polityki“, zastrasza dwoistością władzy.

Przemawiający po nim Stanisław Jezierski opiera się o chwilę obecną. Twierdzi, że — o ile Komitet

Wykonawczy nie ma prawa wkraczać w sprawy ogólnopolskie, to i nam nie wolnoby było mówić o niepodległości, chyba każdemu z osobna. To jest dążenie do anarchji, której za wszelką cenę uniknąć musimy.

Odparowując ten sztych — Wacław Grzybowski oświadcza, że — „ciało wykonawcze nie jest ciałem politycznym i dlatego należy zamknąć mu usta w sprawach politycznych. W Polsce jest rząd, mający w państwach neutralnych swych przedstawicieli, więc należy poddać się mu bezwzględnie w tej formie, jaką proponuje wniosek bloku“.

Stanisław Grabski, oponując przeciw tak arbitralnemu stawianiu kwestji, wyjaśnia, że Rada Stanu w Warszawie oświadczyła przez usta Wojciecha Roztworowskiego, że się za rząd narodowy nie uważa i że tych obowiązków na siebie wziąć nie chce i nie może. Istotnie — byłaby wówczas przez rząd niemiecki rozwiązana. Stronnictwa „demokratyczne“ nie zaniechają na pewno polityki, chcą tylko, aby Komitet Wykonawczy jej poniechał. Więc żadna z części Polski nie ma prawa wypowiedzieć się w sprawach polityki ogólnej?! Tego nigdy dotąd w dziejach nie było i być nie powinno.

Wstępujący na trybunę Karol Waligórski — zarzuca z miejsca mówcom igranie frazesem. „Rządowi w kraju poddać się my tu, na Rusi, winniśmy i skoro ten kraj wypowiada swe słowo, to nie ma tu nic do powiedzenia Komitet Wykonawczy na Rusi. Jakiem prawem Komitet chce być szafarzem krwi polskiej?!

Jakiem prawem chce stanowić w sprawach ogólnych?! To byłaby robota krecia. Temu musimy się przeciwstawić jak najgoręcej.“

Zamieszanie w umysłach zebranych rośnie. Niezadowolone serc się wzmaga. Już grupa przybyłych na zjazd delegatów wiejskich — Marcin Zdybel, Zakrzewski, Pawłowski, Mondzelewski, Jan Jackiewicz, Piotr Mirgunt, Sołaciński, Dubicki szepcą do siebie niechętnie:

— Jesteśmy świadkami wojowania i sprzeczenia się członków tego zebrania w tak ostry sposób, jakby to się dwóch wrogów zeszło. W tych niebraterskich kłótniach zupełnie zapominają o sprawach narodu na wsi! A my dobrej rady wszyscy potrzebujemy!

— Stoimy wierni przy Komitecie Wykonawczym — porozumiewają się między sobą wysłani na zjazd od związków robotniczych na Rusi i z gub. jekaterynowsławskiej delegaci robotników — Tyfczyński, Werdecki, Maliszewski, Świrski, Szałacki. — Albo zwyciężymy, albo upadniemy razem!

Tymczasem na sali poruszona kwestja wywołuje replikę Bartoszewicza i głosowanie, odrzucające w wyniku wniosek bloku demokratycznego.

Roman Knoll składa protest — niektórzy uczestnicy zjazdu śpieszą dołączyć doń swoje podpisy. Walka wre dalej, rozszerzając się na polską partję socjalistyczną, która zarzuca Komitetowi, że jest rzecznikiem stronnictw li tylko burżuazyjnych.

W czasie stawiania pod obrady paragrafów początkowych „Ustawy ludności polskiej na Rusi“ nie-

wielkie gromadki rozjątrzonych polityków wymykają się na kuluary i tu usiłują przekonać jedni drugich o słuszności swych zapatrywań. Kilku członków „bloku“, otoczonych bezpartyjnymi i sympatykami nar. demokratów, dowodzi im nieracjonalności tworzenia wojska polskiego na Ukrainie. Ci zaś nie ustępują też w argumentach:

— Jak możecie stworzyć wojsko bez władzy politycznej?! Bez autorytetu?! Kto ma prawo posyłać tych ludzi na śmierć?! I jaką dacie im ideologję?!

— Nieskomplikowaną i jasną: — Odbudujcie to, co wasi ojcowie stracili, wbrew ideologii „towariszcza“ rosyjskiego, który burzy to, co jego ojcowie przez lata pracy przysporzyli!

— Armja eksterytorjalna! Zastanówcie się tylko, w jaki sposób będziecie ją mogli wyżywić?! Jak zdoła przejść do Polski przez obce terytorjum?!

— W folwarkach polskich znajdzie się dość apro wizacji, a przytem uchronimy kraj cały od anarchji!

— Tak?! Więc bronienie dworów ma być celem powstania wojska polskiego?! Ostrzegamy was, że myśl łączenia w zbrojne szeregi żołnierzy naszych budzi straszne echa na Ukrainie. Nowy rząd się obawia, że chcecie podbić te ziemie! Wyrznie was i te wasze oddziały wzburzona ludność ruska!

— Wyrznie, gdybyśmy utworzyli dziesięć tysięcy. Inaczej się będzie patrzyło na paręsettysięczną siłę! Niemcy będą także dla nas z większym respektem! Nie dla dworów polskich tworzymy wojsko, ale tu będą tyły armji, a jeśli potrafią stanąć wpoprzek

anarchji i spustoszeniu, to Rada Centralna tylko wdzięczność nam powinna okazać. Przecież za jej to zgodą powstają wszędzie komitety walki z anarchją!

— Endecka robota! Chcą zebrać wojsko i iść na Piłsudskiego!

— Nonsens! To raczej wy — obawiacie się, że nar. demokracja, poparta zbrojną siłą zszeregowanych tu żołnierzy polskich, postawi weto w Polsce przeciw wprowadzeniu przez was skrajnych teoryj!

— My w Polsce mamy już rząd, mamy legjony i Piłsudskiego. To nam wystarcza!

— A my chcemy razem z Piłsudskim brać udział w odbudowaniu niepodległości narodu! Tego nam nikt zabronić nie może!

— Więc nie zastanawiacie się nawet nad tem, że tworzenie armji polskiej na kresach może wywołać wielkie represje ze strony państw centralnych w Królestwie!

— Przed chwilą właśnie znakomicie powiedział Zygmunt Berezowski: „Silne społeczeństwa muszą mieć wielkie charaktery, umiejące wzgardzić klęskami, gdy chodzi o uzyskanie najlepszej dla narodu przyszłości!“

— Frazesy! Rada Stanu zakłada fundament przyszłego rządu! Wszyscy musimy się jej podporządkować!

Uszu dyskutujących dolatują z sali huczne oklaski i śpiew: Jeszcze nie zginęła!

— Wy się tu sprzeczacie — łagodzi zawziętych

przeciwników ktoś nowoprzybyły — a tam, na sali obrad przyjęto jednogłośnie, że:

„Niezmiennem dążeniem narodu polskiego jest niepodległość całej Zjednoczonej Polski z dostępem do morza.“ Więć o cóż wam chodzi?

Członkowie bloku opuszczają pole nierozstrzygniętej bitwy i dążą zpowrotem do wnętrza teatru. Tylko Rożański dogania odchodzących i bierze na stronę Stanisława Stempowskiego:

— I co ty sądzisz o tem wszystkim?!

Stempowski zwraca ku niemu piękną swą głowę myśliciela i mówi:

— Nadchodzi chwila, jaką oddawna przepowiadałem każdemu z was, który chciał, albo nie chciał mnie słuchać. „Kiedyś lud ruski wypowie swoje słowo, kto ma stąd odejść, a kto pozostać“. To „kiedyś“ — może być jutro. Zapewne wymiotą nas wszystkich.

— To straszne, co mówisz!

— Niestety. Wyniki przeszłości.

Rożański powraca do swojej grupy, ale nie ma czasu na poddawanie się czarnym myślom, bo zastaje tu arcywesoły nastrój. Ktoś z tego obozu zatrzymał wszystkich w kularze. Gestykułuje żywo:

— Czekaćcież chwilkę! Opowiem wam świetną anegdotkę. Jeden z „blokowców“ terażniejszych pojechał przed wybuchem wojny do Warszawy i Poznńskiego. Wrażenia, jakie stamtąd wywiózł o nastrój politycznym sąsiadujących z sobą pod dwoma zaborami Polaków, ujął w formie takiej paradnej

rozmowy: — Królewiacy do Poznańczyków: — Jak wy możecie wytrzymać z tą waszą piekielną machiną? — Poznańczycy: — Nasza piekielna machina nie jest wcale tak straszna, jak się wam wydaje! Oddaje nam nawet rzetelne usługi, bylebyśmy tylko nie wkładali palców pomiędzy jej tryby. Ale — jak wy możecie pogodzić się z tą waszą dziką małpą, tego nie pojmujemy! — Królewiacy: — Przywykliśmy już do naszej dzikiej małpy i nie jest ona wcale tak złośliwą, jak się zdaleka wydaje. Wiemy, jak mamy postępować, aby nie skakała nam na ramiona, nie kąsała nas, nie szczypała, nie biła! Wolimy ją od waszej piekielnej maszyny! — No, to cieszcie się z tej waszej dzikiej małpy! Mybyśmy jej na naszym Zachodzie widzieć nie chcieli! — A my nie życzymy sobie wcale oglądać waszej piekielnej maszyny u siebie! — No, jak się wam podoba? — wszyscy, śmiejąc się i przytakując: — Wyborne! — wchodzą do sali obrad. Tu przemawia Stanisław Grabski:

— W Królestwie rządzą Niemcy, a Rada Stanu jest jedynie ciałem reprezentacyjnym, nie skupia całego społeczeństwa, nie została wyłonioną przez Sejm, którego zwołania żąda całe Koło Międzypartyjne. Rezolucja ta, zresztą, żadnej ujmę Radzie Stanu nie czyni. Dlatego też oponentom chodziło prawdopodobnie o to, by nie wysuwać Koła Międzypartyjnego. Istotnie — jest to rzeczą nie do przyjęcia dla kierunku, który, jak to sformułował jeden z jego przywódców, pan Eugenjusz Starczewski w „Dzienniku Piotrogrodzkim“, uważa, że: militarny wysiłek polski

winien być skierowany nie ku rozgromieniu Niemiec, ale ku osiągnięciu tego wszystkiego, „co się da z interesem Niemiec pogodzić“ — odczytuje ustęp rzezonego artykułu.

Z łoży, w której siedzą przedstawiciele bloku, rozlegają się wzburzone protesty: — Kłamstwo! Kłamstwo! — Stanisław Stempowski wychyla się z głębi i woła na cały głos w stronę estrady;

— Obraża nas! Dlaczego pan nie powstrzyma?!

Prezes wzywa mówcę do trzymania się treści roztrząsanego wniosku, do sali zaś zwraca się z napomnieniem, iż z miejsc mówić nie wolno.

Przemawia jeszcze w kwestji wyższości Rady Stanu nad Kołem Międzypartyjnym Marjan Baraniecki, poczem prezes zjazdu odczytuje wniosek o wyrażeniu zarówno Radzie Stanu jak i Kołu Międzypartyjnemu uznania, a zarazem nadziei, że wkrótce zespoli się energia polska do jednolitego działania w myśl najwyższego celu wszystkich wysiłków narodu. Zgromadzenie uchwała ten wniosek znaczną większością głosów.

Na trybunę wchodzi Karol Waligórski i wypowiada dobitnie:

— Wobec krzywdzących zarzutów, ciśniętych z tej wysokiej mównicy pod adresem demokracji polskiej, która położyła największe zasługi w dziele wywalczania niepodległości Polski i pod adresem nieobecnych na sali: pp. Lednickiego, Babiańskiego, Starczewskiego — i, wobec tego, że pan Stanisław Grabski, który te słowa wypowiedział, nie został przez

prezydjum powstrzymany — oświadczam w imieniu grup demokratycznych, iż z najwyższym żalem widzimy się zmuszeni do opuszczenia tego zjazdu, wbrew gorącemu życzeniu wzięcia udziału w jego obradach do końca — poczem z mównicy kieruje się wprost ku wyjściu, w grupie wychodzących gremjalnie z sali przy okrzykach: — Hańba! Hańba! Targowica! — członków bloku demokratycznego.

Nad całym zgromadzeniem powiało burzą uniesień. Spór roznamiętnia najspokojniejsze nawet umysły. Hałas wciąż rośnie. Napróżno prezes zjazdu wzywa obecnych do ciszy, napróżno pragnie udzielić głosu żądającemu go Stanisławowi Grabskiemu. Zamieszanie się wzmagą. Nie pyta już nikt o prawo głosu, wypowiadając natomiast jawnie swe zdanie, siedzącym obok uczestnikom tego pamiętnego sejmku polskiego na Rusi.

— Metody taktyczne bloku demokratycznego i profesora Grabskiego wnoszą do obrad niepożądany pierwiastek antagonizmu partyjnego! — decydują protestująco bezpartyjni¹⁾. — Delegaci wiejscy uzalają się między sobą: — Widocznie niektórzy z tych panów, choć umieją, ale nie chcą pracować dla dobra naszego! Żądajmy nie ładnych mów dla oklasków, lecz rozpatrzenia spraw oświatowych, reformy rolnej i zgodnej pracy dla naszych braci na wsi! Dość już tej zarozumiałości w sprawach wysokopo-

¹⁾ Jako następstwo tego protestu, utworzyli potem bezpartyjni stronnictwo „pracy narodowej“.

litycznych! — Do kupy z nami pod polskie sztandary! — wołają z zapalem przedstawiciele robotników. — Kiedy przed nami jaśnieje wymarzony gmach naszej Polski zjednoczonej, wytrwaj, robotniku polski! Pomimo, że cieknie ci krew z za paznokci, wytrwaj! Nie patrz na potop anarchji, która nas otacza!

— Przeciw takiemu zachowaniu się prezydjum w stosunku do grup demokratycznych jak najenergiczniej protestujemy! — stwierdzają głośno inżynierowie Rozenbach i Brzostowski oraz Wiktor Duszynski.

— To wystąpienie bloku było jeszcze przed uchwałą postanowione! Oni zechcą zerwać obrady zjazdu! — przekonywa swych towarzyszy delegat Związku Pracowników Szewskich w Kijowie, Marjan Faczyński.

— Opuśczaemy również zjazd obecny! — wykrzykują polscy socjaliści. — Odmawiamy Komitetowi Wykonawczemu prawa do reprezentowania ogółu społeczeństwa na Rusi! — Poddajmy się decyzji zjazdu — powstrzymuje i zachęca wahających się i niewyrobionych politycznie kilku delegatów Andrzeja hr. Chołoniewski. — Dyscyplina i karność, to narodowy obowiązek w tych czasach! Niech tylko ten organ wykonawczy będzie zbliżony do ideału, niech zostanie wybrany na demokratycznej, cztero-przymiotnikowej zasadzie!

— Dla uniknięcia rozłamu w społeczeństwie gotowiśmy ponieść jak największe ofiary, byle dojść do ujednostajnienia politycznej platformy! — naradzają

się żywo wojskowi Polacy z Winnicy: Zygmunt Zagórski, Juljan Serednicki i inni.

— Panowie! My — przedstawiciele pracy, zgrupowani pod szczerze demokratycznym hasłem Związku Oficjalistów, liczącym dwadzieścia parę tysięcy Polaków, sali posiedzeń nie opuszczamy i będziemy dalej pracować nad realizacją wolności, postępu i demokracji społeczeństwa! — głosi entuzjastycznie prezes związku Jan Lipkowski, poparty w swem przemówieniu przez J. Baranowskiego i A. Tarnawskiego.

Wrzawa trwa w całej pełni, tak, że prezes gwoli opanowania niesfornych ogłasza przerwę i obrady zawiesza.

Nanic spełzają starania prezydjum, by zawrzeć zgodę z blokiem. Żądanie jego, aby sprawę wojska zdjąć z obrad, napotyka ogólny sprzeciw, a że prawomocność sejmu nie jest zachwiana usunięciem się pewnej liczby zebranych, więc obrady się toczą nad kapitalną sprawą tworzenia armji polskiej na Rusi. Po przemówieniach pro i contra ppor. Bagińskiego, St. Fedorowicza, Herbicha, Młodzianowskiego i Zygmunta Berezowskiego, staje na mównicy prezes Związku Wojskowych Polaków kijowskich, por. Stefan Smólski. Jego otwarta twarz, szczerze spojrzenie i sprawne, żołnierskie ruchy wpływają odrazu dodatnio na zamięszany nastrój słuchaczy.

Rozłam bowiem, jaki ujawnił się na zjeździe wskutek opuszczenia go przez blok demokratyczny, wpłynął deprymująco na wielu z pozostałych, niewyro-

bionych politycznie jego uczestników. Ta walka partyjna wywołuje niechęć, rozgoryczenie i niewiarę w rezultaty owego burzliwego sejmku w Kijowie. Wniosek w sprawie tworzenia sił zbrojnych staje się dla większości czerwoną płachtą, która rozdziela społeczeństwo polskie. Stąd dążenie, by zdjąć tę sprawę z porządku dziennego obrad i w taki sposób skonsolidować znów Polaków na Rusi.

Wszystko to wiruje w umyśle porucznika Smólskiego, kiedy, stojąc już na trybunie, patrzy na wy czekującą jego słów salę. Przed nim zgromadzenie, przez które przewinęły się spory, kłótnie partyjne, wahanie, ale na dnie jego duszy leży gorące pragnienie nie pozostawiania bezczynnym w takiej doniosłej chwili — tkwi zawsze, tradycyjnie przez lata niewoli rozplómienniana, miłość dla ciebie, ojczyzno! Więc rzucić mu apel, taki potężny apel, któryby usunął ten rozdźwięk, połączył znów wszystkich w jeden akord harmonji myśli! To nie manewr taktyczny tej albo innej partji, to nie polityka, tylko — prawda szczerego, polskiego serca por. Stefana Smólskiego.

Mówca rozpoczyna swe przemówienie od plastycznego ujęcia zagadnienia polskości po wybuchu rewolucji, w marcu 1917 roku.

— Wobec ogłoszenia naszej niepodległości przez Rząd Tymczasowy stajemy się po tylu latach politycznej bierności organizmem żyjącym i czynnym. Przed oczyma ludzi nie politykujących, ale gorących patriotów wyrasta naraz pytanie: Jakąż tedy iść mamy drogą? Na jaką szalę rzucić tę nowo-stworzoną siłę

narodu? Czy Polska ma być neutralną, czyli też wystąpić po stronie państw koalicji? Szereg ludzi wybitnych wierzy w zwycięstwo ententy — są niemniej inni, dla których militarna potęga Niemiec przedstawia się jako moc nie do zwalczania. Przy takich prądach odbywają się z żywiołowym impetem zebrania wojskowych Polaków w Piotrogradzie, Moskwie, Mińsku, Kijowie... Jaki jest obowiązek rozproszonych w armji rosyjskiej Polaków względem ojczyzny? Co czynić należy, aby wraz ze zwycięzcami zasiąść przy jednym stole w czasie obrad kongresu pokoju? Zbrodnią byłoby przed krajem i historją zachować bierną postawę, czekając beczynn timer, aż się ta zawierucha skończy!

I któż się nam przeciwstawił na zjeździe w Piotrogradzie, gdy nad palacą kwestją wyboru kierunku wśród tego rozdroża dyskutowało kilkuset żołnierzy i oficerów Polaków z całej Rosji zebranych? Kto był przeciwny tworzeniu armji? Oto Polacy, którzy z Warszawy na ten zjazd się stawili — panowie: Mandelbaum, Szuch i Kohn. Twórzmy więc tę siłę zbrojną, kiedy lada chwila może nastąpić przełom tak wielki, że ojczyzna powoła nas do służby rycerskiej! Karabin leży na ziemi. Czyż mamy patrzeć nań wahająco, zamiast pochwycić go w mocne dłonie?! Czyż nie czujemy się już Polakami?! Słońce wolności zaziera nam w wyłęgsknione za niem źrenice! Umiłowany w ciągu lat tyłu niewoli, „sen rycerski o szpadzie“, w dziecięcej duszy przez każdego z nas piastowany, może się ziszcimer nareszcie!

Witajmy tedy jednogłośnie, po całej tej ziemi rozgrzmiewającym uznaniem uchwałę zjazdu wojskowych Polaków, żądającą „zespolenia rozproszonych w szeregach rosyjskich żołnierzy polskich w jedną zbrojną siłę polską“! My wojskowi Polacy — chcemy służyć ojczyźnie, na zew ojczyzny gotowi być chcemy! I któż w tej sali podniesie przeciw nam rękę, by takiej chęci przeszkodzić?! Nie przyszliśmy tu poto, aby stać się świadkami walk politycznych! Nie! Do was wyciągamy w tej chwili ręce, nawołując, krzycząc, błagając:

— Do naszych szeregów, rodacy!

Wstają wszyscy, jakby jednym prądem ofiarnego postanowienia przeszyci.

Nie burza oklasków, ale grzmot płomiennej gotowości do czynu huczy po całej sali:

— Chcemy, chcemy wszyscy służyć ojczyźnie! Dla niej gotowi być chcemy! Niech żyje wojsko polskie!

Zastygli w uniesieniu bojowej ochoty obecni na sali wojskowi Polacy. Por. Zygmunt Podhorski oparł dłoń mimowoli na rękojeści szabli. Ruch tradycyjny, z oddali wieków w podświadomości bezwiednie spełniony.

Tak ongi czynili rycerze kresowi, gdy migotali blaskami karabel w czasie czytania słów Ewangelji w kościele. Księża wznoszą błogosławiące dłonie, tak żywym się staje obraz szarych pochodów żołnierskich po życie i wolność dla matki-ojczyzny. Pałają się iskry we wzroku zarządu świeżo utworzonego Towarzy-

stwa Przyjaciół Żołnierza Polskiego: Stanisława Jezierskiego, Anny Roszkowskiej i Franciszka Nostitz-Jackowskiego. Jaśniej od wagą niezbędną — być może — z życia najdroższych ofiary, matki i siostry — kresowe Polki. Tętnią z rozsadzającą mocą w pierśiach włościańskich i robotniczych delegatów wierne polskości serca.

Niema tu już partyj, ani bezpartyjnych — jest tylko — polski naród i polski lud, królewski szczepek Piastowy!

Wzruszenie obsnuwa serca zebranych nawijającą się wciąż nicią patryjotycznego zapалу. Kryształowe łzy spływają z oczu sędziwych działaczy społecznych...

Prezes sejmu kresowego powstaje ze swego miejsca, prostuje powoli wysoką swą postać, ogarnia wzrokiem zebranych i odczytuje wniosek:

— Zjazd polski na Rusi, uważając, że dążenie wojskowych Polaków do skupienia się w oddzielną jednostkę wojskową jest naturalnym, narodowym odruchem żołnierza polskiego, wita uchwałę zjazdu wojskowych Polaków, żądającą „zespoleń, rozproszonych w szeregach rosyjskich żołnierzy polskich w jedną siłę zbrojną“. Kto jest za tą uchwałą — proszę wstać!

Już stoją wszyscy i nagle wybucha jak płomień z serc rozgorzałych: — Nie damy ziemi, skąd nasz ród!

Przebrzmiały już dźwięki chóralnie odśpiewanego hymnu, a sala trwa jeszcze w pięknym, uroczystym milczeniu. Wśród ciszy, omotującej wszystkich rze-

czywistością uniesień ducha, jakie wibrując w niej, ulatują bezszelestnie w najwyższe strefy podniebne, niosąc dla przyszłych wieków legendę o powstaniu wojska polskiego na kresach, prezes oznajmia: — Pod wrażeniem przeżytej, niezapomnianej chwili — zawieszam obrady zjazdu!

* * *

24 czerwca skończono szereg plenarnych posiedzeń po uchwaleniu podatku narodowego na oświatowe cele, zaznaczając przytem wedle przedłożonej przez przewodniczącego komisji prawnej, Augusta Iwańskiego rezolucji, że: „Ustawa ta nie grozi i grozić nie może karami za jej naruszenie. Tem większą winna być jej siła moralna.“ Kwestje oświatowe zajęły dominujące stanowisko w rozprawach, podczas których wyjaśnił się dorobek kulturalny żywiołu polskiego na Rusi do rewolucji. Pomimo mocnego ściągania cugli za czasów caratu, sekcja kulturalna Rady Okręg. Kijowskiej zarejestrowała z końcem lutego 1917 roku 267 szkół i ochron¹⁾ w których pobierało naukę i wychowanie około szesnastu tysięcy dzieci. Zakres projektowanych prac Macierzy Szkolnej na Rusi zatacza szerokie kręgi w sprawozdaniu referenta komisji oświatowej, Wacława Skibniewskiego i w wywiązującej się na ten temat dyskusji ze strony Karola Wilkoszewskiego, Jana Korneckiego, Marji Wyżdżanki, Rusieckiego, Stołyhwy, Chmielnickiego

¹⁾ Mowa tu o szkołach legalnych, prócz tajnych.

i innych. Przychodzi wreszcie kolej na rozstrząsanie prac podkomisji agrarnej, której referent, Zygmunt Chojecki, przedstawia zgromadzeniu jej wnioski, występujące w obronie interesów włościanstwa polskiego i oficjalistów rolnych w razie obdzielania ziemią szerokich warstw ludności miejscowej.

Pietyzm dla każdej ojczystej sprawy raz jeszcze zniewolił serca zebranych, gdy prezes udzielił głosu Pawłowi Górskiemu, który przeczytał odezwę Centralnego Komitetu Obywatelskiego, przedstawiającą życie ówczesne w Królestwie. Powiało z tych kart papieru nędzą i bezlitosnym głodem, wynikiem działań wojennych na terytorjum polskiem. Zjazd postanawia natychmiast urządzić w przerwie kwestę „na głodnych braci“, czem mają się zająć obecne na sali panie.

Sejm dobiega już końca. Najżywotniejsze sprawy polskie poddane zostały wszechstronnemu rozważaniu zebranych. Ks. Janusz Radziwił składa prezydjum zjazdu i prezesowi szczerze „Bóg zapłać!“ za ich pracę w czasie trwania obrad, ks. Baranowski podnosi wartość polskiego ludu, którego delegat Zakrzewski nakłaniał w gorącym przemówieniu wszystkich obecnych do jedności, do zgody! Niech żyje polski lud! (oklaski). Ostatni zabiera głos prezes zjazdu:

— Powierzone mi przewodnictwo obradom w ręce zgromadzonych składam, o wybaczenie mi wszystkich uchybień i przeoczeń proszę, a szczerze wszystkim zjazdu uczestnikom i członkom prezydjum za pomoc mi okazywaną dziękuję. W nadziei i z życze-

niem dalszej zgodnej i owocnej narodowej pracy zamykam obrady polskiego zjazdu na Rusi.

Narodowe hymny wieńczą chóralną nutą zakończone już posiedzenia i narady Polaków kresowych w tej historycznej chwili.

XII.

POGWARY BURZY.

Wsunięty w kąć miękkiej kanapy, w przepelnionem podróżnym coupé II klasy, jechał Rożański nocnym pociągiem zpowrotem do domu. Zamyślony był i posepny. Wszystko to, co się działo na owym sejmie w Kijowie, wszystkie dyskusje i narady działaczy społecznych, a nawet podniosła chwila uchwalenia wojska polskiego z zaciągniętych do armji rosyjskiej żołnierzy Polaków, kiedy to i jego narówni z innymi poniosło serce — cała ta ruchliwa działalność wydawała się mu jakimś fatalnem nieporozumieniem pomiędzy kierującymi nią ludźmi a groźną postawą rzeczywistości.

Orientując się coraz lepiej w labiryncie ogólnopństwowych, politycznych pogmatwań, Rożański widział z całą trzeźwością swego przenikliwego rozsądku, że jedyną nicią Arjadny, mogącą wyprowadzić cały kraj z panującego w nim chaosu, pozwalając dopiero wówczas na rozwijanie powziętych przez zjazd uchwał — była jak najszybciej wprowadzona w życie reforma rolna.

— Ułatwić im nabycie ziemi! Rzucić hasło silnych

gospodarstw włościańskich! — wyrwały mu się z ust półgłosne słowa.

Prześlizgnął się wzrokiem niedbale po obcych dlań towarzyszach podróży, którzy wobec zmniejszonej ilości osobowych pociągów, stłoczeni na ławkach, szukali w drzemce zapomnienia o niewygodnej pozycji. Rożański oparł głowę o drewnianą ścianę wagonu, gdyż nad nim, na podniesionych wgórę plecach kanapy, siedzieli trzej przygodni kompani tej jazdy, zwieszając z musu ciężące im nogi. — Inaczej się dawniej podróżowało! — pomyślał przelotnie. Przymknął oczy i jął dalej rozpamiętywać ubiegłe chwile.

Sejm skończył się około piątej po południu. Zebrali się tego wieczora sporo osób na kolacji w „Ogniwie“. Kwestja wojska powracała stale na usta wszystkich obecnych. Aleksander Sadowski opowiadał o pewnem posiedzeniu Klubu Narodowego jeszcze przed sejmem, na którym jeden z najpoważniejszych ziemian, Chrzanowski, wspomniał, że wojsko polskie mogłoby jednocześnie ochronić od grabieży i dwory miejscowe. Jakiś inteligent porwał się na to z miejsca: — Panowie! To byłoby hańbą, gdyby nasze wojsko miało bronić polskich burżujów przed słuszną zemstą ludu! — Znalazło się kilkunastu idiotów, którzy to przemówienie przyjęli huczniemi oklaskami. Rożański aż się zatrząsł na to wspomnienie. — I oni jeszcze nie widzą monsturalnej potęgi agitacyjnego prądu, pomimo, że wzbiera aż po siedlisko polskiej inteligencji i ziemian?! — I z czemże przyjeżdża teraz do chłopów?!

Co im powiedzieć?! Że tworzą komisje i podkomisje agrarne, że Rząd Tymczasowy ujada się z Radą Centralną o wyższość władzy, że jakieś ukryte sprężyny chwytają co chwila w potrzask odłupujące się szczątki praworządności, torując drogę dzikiej grozie anarchji i kotłowaniu wzburzonych odmetów?! — Zginiemy wszyscy w tym wirze! — myślał. — My pierwsi! Znajdzie się potem miejsce i dla zamożniejszych chłopów i robotników! Tylko najgorsi i najsprytniejsi będą fruwali jak płaty brudnej piany dookoła tej lejkowatej przepaści! Pod armję już podłożony dynamit. Jeszcze pozostał lud. Dajmy mu ziemi! Dajmy co prędzej! Czerwona płachta rewolucji straci odrazu podtrzymujące ją drzewce i stanie się zwykłą szmatą — splótlł palce u obu rąk z taką siłą, jakgdyby miał dłońmi zgruchotać jakiś najtwardszy orzech.

Lęk i żal omotywały mu serce wżerającemi się w nie smugami. — Więc dlaczegoż nie powiedziałeś tego wszystkiego na sejmie? — spytał go ktoś ze słuchaczy w „Ogniwie“, gdy przed kilku godzinami wyrzucił wobec nich to, co nagromadziło się w jego duszy przez cały czas pełnienia cierniowych obowiązków prezesa Gminnego Komitetu aż do ostatnich chwil trwania zjazdu. Dlaczego nie mówił?! — Bo nastawiliście już zwrotnicę na tor najzupełniej, wedle mnie, fałszywy. Pociąg wyruszył w drogę i ja go powstrzymać nie jestem w stanie! Budujecie na wylocie krateru „polskie domy“, kółka rolnicze, kooperatywy, polskie szkoły, uniwersyteckie kolegium i co jeszcze?! Jesteście ślepi. Nie widzicie przyta-

jonego na dnie płomienia! Jesteście głusi. Nie słyszycie pomruku dzikiej bestji! Słuchajcie! Ja sam nie wiedziałem dotychczas, że tak głęboko, że tak bezgranicznie kocham ten cały kraj! Złą drogą idziecie. Ach, dlaczegoż nie jestem Demostenesem, żebym mógł was wszystkich przekrzywić, dlaczegoż nie mam potęgi Orfeusza, który nakazywał posłuch martwym kamieniom?! Ziemię dajcie ludowi, a potem budujcie, co wam tylko do głowy przyjdzie!

— Brawo, Rożański, brawo! On się jeszcze wyrobi na pierwszorzędnego mówcę! Zobaczycie panowie!

— Słyszałeś przecież, jakie stanowisko zajęliśmy w tym kraju wobec autochtonów Rusinów? Życzliwych współobywateli jedynie, ale nie władzy rządzącej. Jest Rząd Tymczasowy, mają swoją Radę Centralną, będzie konstytuanta — dadzą im ziemi z pewnością. Apanażowej jest wszędzie do diabła!

— Jeżeli nie będzie za późno. (Rożański ochłonął już znacznie po gorączkowym wybuchu.) Wracając do waszego pierwszego pytania, nie przemawiałem jeszcze dlatego, że nie potrafiłbym nawet grać na tak skomplikowanym instrumencie, jakim był ten „wysokopolityczny“, jak mówili delegaci włościańscy zjazd. Speszyłbym się odrazu! Doprowadziło mię do rozpaczki, że przez cały czas obrad nie poruszyliście w szerokim zakresie podstawowej, najważniejszej najgroźniejszej sprawy agrarnej w stosunku do ludu ruskiego. Podkreślaliście potrzeby włościanstwa polskiego, oficjalistów, niezdatnych po wojnie do pracy,

sierot po żołnierzach poległych na wojnie, żądaliście skasowania zakazu kupowania ziemi, ale...

— Kra, kra, kra! Jesteś niemożliwy, Stefanie! Ten twój Komitet Gminny napędził ci strachu nielada! A to są strachy na Lachy! Będziemy mieli wojsko, to utrzymamy porządek do chwili zwołania konstytuancy, a jeśli wszyscy posłowie rozstrzygną kwestję agrarną w duchu parcelacyjnym i ograniczą nam ziemską własność do pewnego maksimum posiadanych dziesięcin, to poddamy się temu z całą karnością. Czegoż chcesz więcej?!

— I w sprawie wojska swoje mam zdanie. Albo poważna siła, albo — nic zgola. Wy nawet nie wiecie, jak się obawiam, aby ostrzeżenie Stempowskiego o nieufności, z jaką Rada Centralna spogląda na tworzenie przez nas zbrojnych szeregów, nie zamieniło się w jakąś krwawą tragedję. Ten rozłam na sejmie wbija się jak klin w społeczeństwo. Blokowcy także rąk nie opuszczą. Wypowiedzieli swoje polityczne przekonanie otwarcie i dalej będą działali przeciw tworzeniu wojska na Rusi. A jak daleko sięgają ich wpływy i Lednickiego, tego nie wiemy. Przytem w lud ciemny można wmówić wszystko dla nas najgorsze. Czy pamiętacie rok 1863?!

— Doprawdy, Stefanie, nie znaleźmy ciebie dotychczas. Czy ty tak prędko dojrzałeś w tem przypiekającym słońcu wolności, czy zawsze byłeś taki „zicha pęk“, że teraz tak logicznie bronzisz swoich przekonania. Przecież dawniej nie byłeś kuty w sprawach politycznych? Co? Tak się nam zdaje przynajmniej.

— Słusznie mówicie. Ani w sprawach politycznych ani w pracach społecznych nie byłem „kuty“, bo inaczej sobie wyobrażałem swoją osobistą pożyteczność w tym kraju. Zato czytałem masami ścisłych dzieł historycznych, wyszukując dla własnej nauki błędy naszej przeszłości. Oczywiście, znacie opis Szajnochy owego pamiętnego sejmku przed latami „ruiny i licholecia“, kiedy to sprawa zaciągów wojska i kozaczyzny wbiła się także jak klin w przyszłość dziejową Rzeczypospolitej? Wtedy lekceważono kwestję kozacką, dziś my nie doceniamy nagłości kwestji agrarnej. Wtedy wicherzył obradami demon prywaty, teraz toż samo czyniła partyjność! I tam i tu — brak jedności i zgody. Nie nauczyliśmy się niczego.

— Pod tym ostatnim względem masz słuszność zupełną. Ale nie patrzcie tak czarno na chwilę obecną. W żołnierzu polskim jest wielka siła. Jeśli on dobrowolnie rzuca bolszewickie szeregi, gdzie może mieć życie bez pracy, i chce się poddać dyscyplinie polskiego dowództwa, to w tym zawiera się tak imponujący dowód duchowego zdrowia i patriotyzmu, że możemy śmiało spoglądać w przyszłość. Ten rozłam, to rzeczywiście fatalne. Ale cóż na to poradzisz? Dwie, wprost sobie przeciwne orientacje polityczne.

— To sprawy nie poprawia — zdecydował krótko Rożański i spojrział na zegarek. Żegnajcie, moi panowie. Czas mi już do hotelu po rzeczy i na dworzec. Trzeba powracać do ciężkich swych obowiązków.

Wszystkie te okoliczności i słowa, aż do najdrob-

niejszych nawet szczegółów, kołowały przez niedługą noc czerwcową w umyśle Rożańskiego, dręcząc go aż do świtu niemożnością rozwikłania tak desperacko splątanych nici. Na stacji w Serbinowcach wysiadł z pociągu i wobec rzeźwiącego chłodu cudnego poranku, rozesłanego przed nim aksamitnego płaszcza zielonych, buraczanych plantacyj i całego, drogiego oczom krajobrazu, uczuł nagle, jak te wszystkie, niepokojące go kwestje usunęły się na plan, daleki dla jego radosnego w tej chwili wzroku.

Przed budynkiem stacyjnym oczekiwały już nań kasztany, zaprzęgnięte dziś ze względu na suchą drogę w leje, a Mykoła na koźle, ze zdjętą czapką w rękę, witał go służbistą postawą.

— Jak się masz? Co słyhać nowego?

— Ał, proszę pana, ta szelma Gwiazda rwała jak warjatka przez całą drogę. Boki pozapadane, a pan jeszcze pomyśli, że ja jej owsa żałuję!

— I więcej nic złego? — zaśmiał się pan Stefan z zadowoleniem.

— Chłopy do dworu codzień łazili. Soldaty takie się robią podłe, że wszystko z rąk wydzierają! Hrehorko Waruszczak chciał już do pana pisać, żeby pan prędzej do domu wracał, tylko my zatrzymali. Adresu niema, to kto tam pana znajdzie w Kijowie?! Zdrów, Frant, zdrów! Będą nam radzi, jak tak konie prychają!

Rożański zszedł z kilku schodów stacyjnego budynku, zbliżył się do ślicznej swej czwórki i zaczął głaskać kolejno kasztany po głowach i wyczesanych



Wieś Podolska



starannie grzywach, przemawiając czule za każdym razem:

— Zdrow, zdrow, miły mój košku! poczem wskoczył do szarabanu i zakrzyknąwszy: — Ruszaj! — pomyślał jednocześnie: — Zaczyna się moja cieniowa droga.

Istotnie — objawy anarchji potęgowały się coraz bardziej, rozluźniając wartość bojową armji rosyjskiej. Dwudziestego lipca nastąpił odwrót wojsk z Karpat, a wszystkie chwile tego miesiąca wbiły się swemi ostrzami, niby kolce u jeża, w pana Stefana. Do jednego bowiem z obowiązków prezesa Gminnego Komitetu należało chwywanie przebywających bezprawnie po wsiach żołnierzy-dezertarów i odsyłanie ich na front. Oczywiście była to rozjudzająca obie strony gra w chowanego, przyczem wszystkie chaty stały się, za milczącą ugodą, nieprzeniknionym wałem ochronnym dla tych „nieszczęsnych stradalców“ (męczenników), lejących krew li tylko z powodu „chciwości i sporów kilkunastu wielkich kapitalistów państw wojujących“. Organizacyjna i celowa praca Komitetu Gminnego stawała się wręcz niemożliwą. Chociaż zarząd dotychczasowy trwał w niezmienionym od początku składzie, albowiem Rożański żądał tego jako warunku „sine qua non“ własnego nad gminą przewodnictwa, ale zebrania ogólne odbywały się w iście rewolucyjnym „podniesieniu ducha“.

Szanowani dawniej chłopci przycichli, zaszyli się w kącie, drząc o byt i o wzbudzające zawiść próżniaków mienie. Salę zebrań przepelniali miotający się

w rzucanych na wyższe sfery inwektywach — rewolucyjni „sui generis“ trybuni. Przy waleniu w stół zaciśniętymi pięściami wykrzykiwali ci przodownicy narodu groźne postulaty, zakreślonego przez nich na daleką metę ogromu prac całej Rosji:

— Uhłublat' rewolucju! Rizaty burżujów! Zabierać im siłą mocą nagrabione majątki! Słyszycie, ludzie?! Uhłublajcie rewolucju, póki czas, bo inaczej burżuje was znowu za gardła ścisną! Z korzeniem wyrwać ich gniazda, żeby nie mieli do czego powrócić!

To były jedyne konkretne wnioski. Reszta ginęła w dzikim tumulcie rozwrzeszczanych okrzyków. Wreszcie, doprowadzony do ostateczności Rożański, przemówił energicznie do wszystkich obecnych na ogólnem zebraniu:

— Nie chcę być dłużej waszym prezesem! Zrzekam się tej godności i kwita! Wszystkim swoboda, tylko nie mnie! Ucieknę! Zapadnę się w ziemię, libo kulę w łeb sobie puszcę, jeżeli mnie dłużej trzymać będziecie! Pierwszy lepszy towarzyszc ważniejszy tu prezes, niż ja! Pracować niepodobna! Zarwańska ulica, a nie ispołkom! Chory jestem — proszę o urlop!

— Dać mu urlop! — krzyczeli przedstawiciele Sowjeta Żołnierskich i Roboczych Deputatów.

— Nie zgadzamy się! Niech zostaje! — odwrzaskiwali inni.

— Niech przejdzie do Żywnościowego Urzędu! — zaproponował jakiś chłop z Szamrajówki. — A że

chory, to nie! Przeniesiemy ten urząd do Szamrajówki, do dawnego rządowego „monopolu“¹⁾.

Przeszedł tedy pan Stefan do Żywnościowego Urzędu, rad, że się wydostał z opalów rewolucyjnej prezesury. Urzędy te miały na celu ściąganie zboża od ziemian i chłopów po ustalonej przez rząd, czyli tak zwanej „twardej cenie“. Najbliższym wynikiem tego rozporządzenia było natychmiastowe zniknięcie ziarna u chłopów, którzy pochowali je w różny sposób, zakopując nieraz wprost do ziemi, gdzie później w znacznych ilościach zetlało. Dwory zaś sumiennie i bez protestu wyzbyły się nagromadzonych zapasów.

We wrześniu „pogłębienie“ rewolucji doszło do takich rozmiarów, że niektóre pułki jęły samowolnie opuszczać front i, cofnąwszy się na pobliskie ziemie Podola zaczęły tu szerzyć wśród włościan destrukcję myśli i dzikich czynów.

— Rznąć burżujów! palić ich gniazda! Bogactwa brać w swoje ręce! Nam wszystko wolno! Swoboda! Swoboda!

Istotnie każdy żołnierz miał nieograniczone prawo rządzenia i nie było żadnej, mogącej pohamować go siły. Usunął się tedy Rożański z Żywnościowego Urzędu, dając natomiast na swoje miejsce szamrajowieckiego chłopca, Petra Sawczuka. I ten jednak wobec przemarszu rozhukanego częstokroć stada dzikich ludzi uciekał z własnej wioski.

1) Skład wódek i spirytusu.

Podczas przechodu oddziałów rozpałały się wokoło chłopów płomienie podjudzających mów. Kończyły się wszystkie bijącym gdzieś w przestrzeń okrzykiem: — Spalić dwór! Zabić pana!

Szamrajowczanie słuchali tego uważnie:

— Zabić pana?! Zaco?! Co on wam zrobił?!

— Principjalno! ¹⁾ Żeby mniej było o jednego krwio-pijcę w Rosji i na całym świecie! Pojmujecie, baranie głowy?! — mówca się pienił, widząc, iż trafia na grunt dziwnie niepodatny.

— My baranie głowy, a wy co?! Z tegoż biednego narodu, co i my do wojska was zabrali. A pana zabić nie damy! Teraz swoboda i my tu gospodarze, a nie wy! My tu z dziada, pradziada, siedzimy, a wy co?! Przybłądy, taj hodi! Dziś przyszli — jutro wiatr was od nas wymiecie! Nie wasza w tem głowa, co tu robić będziemy!

— Pańszczyzny doczekać chcecie?! Ech! Rzuciłby was o ziemię, żeby aż krew nosem chlusnęła, a samym po naszemu porządek tu zawieść!

— Ano, spróbujcie! — chłopci stawali gromadnie, podniesionemi butnie głowami zdając się odpierać zapowiadaną zniewagę. — Jeść wam nie damy — myśleli mściwie. — Grzebać w ziemi nie będziesz, „oratielu“ ²⁾, a zboże i słonina dobrze schowane! Głód wam gardła wysuszy, to mniej będziecie szumieć! — i znów przemawiali zajadle: Widzimy już — jacy wy

1) Zasadniczo.

2) Oratorze.

ludzie! Zaraz dziś na noc warty swoje koło dworu rozstawim. Zostanie li pan — to jego. A nie — to szkołę dla dzieci tam zrobymy. Wrednyje wy! 1) Na pewno jakiegoś zbytku zrobięby chcieli?!

Tamci przyskakiwali do gospodarzy, tocząc rozgorzałym wzrokiem:

— Nie sługi wy rewolucji, a wrogi! Szkoda sił dla was i zdrowia! Splunąćby w waszą stronę i odejść! Skamieniały wam łby w tej carskiej niewoli! Predatori! Zdrajcy! Pańskie sobaki!

Rozchodzili się wreszcie jedni i drudzy, warcząc jeszcze na siebie z oddali w głuchym pomruku jałowitych słów, wzajemną groźbą podszytych. Tak wyrażali zobopólną dla się pogardę. Tymczasem szal agitacji hulał po całej Rosji, gromadząc miejscami piorunowe chmury, a poszum nadciągającej burzy stawał się coraz mocniejszym z każdą, ulatającą w przeszłość godziną.

1) Szkodliwi jesteście!

XIII.

ISKRY Z PÓŁNOCY.

Trzeci lipca (star. st.) 1917 roku był dniem znanym dla rewolucji rosyjskiej wobec niespodziewanych zgoła wypadków w Petrogradzie. Od pierwszych nieledwie chwil powstania Rządu Tymczasowego zaczątek fermentu przeciwko jego powadze stanowiła nie zalegalizowana, aczkolwiek nieliczna grupa gnieźdzących się prawem bezprawia w tak zwanej „daczy Durnowo“ anarchistów, do których przyłączyły się uwolnione z więzień szumowiny społeczne. Z przyjazdem w kwietniu do dawnej stolicy carów — Lenina, grupa ta została wchłonięta przez potężniejszą od niej moc jego programu, wypowiadającą się w mowach, głoszonych codziennie z balkonu pałacyku, wyrzuconej przezeń równie bezprawnie właścicielki, znanej tancerki Krzesińskiej. Z początku — audytorjum było bardzo nieliczne: kilkunastu, kilkudziesięciu zaledwo słuchaczy, następnie — ilość ta rosła niby tocząca się kula śniegowa i po pewnym czasie tłumy, które w ukazywanych im wid-

nokręgach znajdowały pole działania dla swych zachłannych i krwiożerczych instynktów — jęły zalegać cały plac i ulicę przed miejscem zamieszkania przemawiającego płomiennie trybuna. Z dniem każdym, pod wpływem tej trującej strawy duchowej, rozsprzęgały się w szerokich masach i tak już zachwiane podstawy dyscypliny i społecznego ładu. Ale Rząd Tymczasowy pomimo, iż kazał rozpędzać zasłuchane gromady, bagatelizował w gruncie rzeczy całą tę sytuację, nie przypuszczając, że w tym niepozornym, małym człowieczku o wypukłym i łysym czole, kryje się grom, mający niebawem strzaskać olbrzymią Rosję a jej ponurą lecz imponującą stolicę zmienić w opustoszałe rumowiska, do których droga porośnie trawą.

Tu — jako przeciwstawienie do oświeconych, ale nie orientujących się należycie w psychice własnego ludu, członków Rządu Tymczasowego — podkreślić wypada głęboką znajomość Rosji przez Niemców, którzy, wysyłając do Petrogradu w zaplombowanym wagonie — jako bakcyle rozkładu — Lenina z towarzyszymi, zdawali sobie jasno sprawę, do jakich granic wybuja rzucony przez nich ferment, unieszkodliwiający w ten sposób (co było właściwie ich celem) groźbę frontu wschodniego.

Istotnie — parafrazując wiersz Mickiewicza, można zwrócić się z gorzką inwokacją w imieniu ludów Wszech-Rosji do twórcy bolszewickiego przewrotu:

— Wolą i słowem wszczepiłeś nam w dusze
 jad, co nas będzie pożerać!..
 Patrzcie na nasze katusze!
 A ty?!... Jak będziesz umierać?!..

Bezsprzecznie — życie i koniec tego „czerwonego mesjasza“, tego, niosącego dar ogólnoludzkiej szczęśliwości, mniemanego zbawcy człowieczeństwa — roztwierają wrota do „wielkiej tajemnicy“ odwiecznych zagadnień, nurtujących umysły najgłębszych myślicieli świata. Jeśli prawdą jest, że genjusze w różnorodnych kierunkach powstają na tle zbiorowego intelektu swoich społeczeństw i — odwrotnie — społeczeństwa te syca się płodami ich, sięgającej niedostępnych wyżyn twórczości, to psyche Lenina stworzona była z pyłów jakiejś intelektualnej mlecznej drogi talentów i natchnień poprzedzających go rosyjskich wybitnych pisarzy i filozofów. Lenin — to twór duchowy Sałtykow-Szczedrinych, Dostojewskich, Czechowych i Gorkijów, twór — pogardy i nienawiści do władców źle używanych bogactw i namiętnego protestu przeciw zasadniczemu fałszowi struktury społecznej. To wszystko, co w dziełach literatury rosyjskiej przepływało całe lata podziemnym, żywiolowym, a tajonym pod okowami cenzury caratu prądem, znalazło ujście w płomieniu, ogarnąwszy wewnętrzną istotę Lenina, gdy przytem czasy oszalałającej wolności dały swe potężne „aprobatur“ temu doktrynerowi i wielbicielowi teorii Marksa, którą bez względu na wszelkie przeszkody wprowadzał z kart papieru żelazną ręką — w życie i czyn.

Niby rozżarzone do czerwoności żelazo, myśl jego o równości ludzi, o równomiernym, przymusowym rozpyleniu wszelkich bogactw, o gwałtownej niwelacji wyżyn społecznych gwoli nasycenia szczęściem upośledzonych dotychczas w tym względzie, myśl ta — w zetknięciu z życiem realnym wypaliła wszystkie szlachetne pierwiastki w zbiorowym sercu tłumu i jak smuga krwawego żaru przeszła i opasała całą zrewolucjonizowaną Rosję w przeciwstawieniu do równoległe ku niej promieniejącej od wieków idei Chrystusa, która wszelką ciemnię nasycy światłem wiecznej miłości.

Jak zaś bezbrzeżną była w pierwszych czasach przewrotu władza Lenina nad całą Rosją, władza, opierająca się nie na „umowie socjalnej“, ale na zapale i przekonaniu nieprzeliczonych tłumów, iż oto zstąpił bóg, z którego człowieczych rąk spłynie wreszcie nieznanne dotąd szczęście na ziemi — dowodzi fakt, że wbrew mądrości europejskich dyplomatów: — Mowa dana nato, by ukrywać swe myśli! — ów „czerwony“ dyktator mówił zawsze tylko to, co myślał istotnie.

Była to prawda cyniczna, gdy głosił w kole swych współdziałaczy:

— Wzięliśmy pieniądze od Niemców nie dla „wiaszczewo“ (triumfującego) kapitalizmu, ale dla „wiaszczewo“ komunizmu! — Była to prawda brutalna, kiedy na zjeździe rosyjskiej komunistycznej partji w marcu 1922 roku padły z ust jego otrzeźwiający słowa: — Należy wnikać do treści sprawozdania rocz-

nego C. K., aby móc w przyszłości ściśle określić swoją politykę i czegoś się jednak nauczyć!

Była to wreszcie prawda gorzkiego zawodu, gdy po wielu próbach stosowania marksizmu do opierającej mu się fali życia — doktryner uznał swoją porażkę: — Dopóki w Rosji istnieje chłop, dopóty nie zabijemy w nim burżuja!

Tak brzmiało ostateczne wyznanie wiary tego fanatyka złudnej idei, która piorunem nienawiści klasowej spopieliała erę świtającej wolności i morzem krwi zalała Rosję, dając nadomiar w fatalnym wyniku — bogactwa i władzę nie tym, dla których je wódz tej monumentalnej, wywrotowej akcji przeznaczał. Pod koniec życia mózg jego — ta najdoskonalsza i jedyna dlań świątynia siły i prawdy — uległ chorobie, a „zbawca rosyjskiego narodu“ włókł jako żywy trup długo jeszcze nędzne swe dni, niby posępny symbol przestrogi: „Errare humanum est!“

* * *

Przysłanie przez Niemców Lenina z towarzyszami do Petrogradu, w krótkim czasie po abdykacji Mikołaja II, zawierało w sobie głębokie, psychologiczne podstawy. Nietylko bowiem znajdowała się tu siedziba, podlegającego obaleniu w dalszym rozwoju rozwoju wydarzeń Rządu Tymczasowego, ale sama stolica Rosji była istotnie najodpowiedniejszą sceną dla przeprowadzenia destrukcyjnych zamiarów i absolutnej zmiany władzy i państwowego ustroju.

Genusz Piotra Wielkiego, który, wznosząc na bło-

tach nadnewskich „Sankt-Petersburg“ wybił okno na Zachód, odcisnął jednocześnie na długie lata swe piętno na azjatyckim przepychu i zepsuciu tej Wenecji Północy. Dwa pierwiastki łączyły się zgodnie w duszach, zamieszkujących ją sfer inteligencji, a zwłaszcza arystokracji rosyjskiej: przy chłodnym polorze zewnętrznych, wytwornych form Zachodu, sączące się z wiecznie mglistego nieba i posępnej, ubogiej natury — melancholja i spleen, z drugiej zaś strony — zamiłowanie w rozkoszach bajecznych dostatków i iście wschodniem zepsuciu. Wstrząsnąć i unieść tych opanowanych, a w gruncie rzeczy pozabawionych ideału ludzi, mógł albo wyrafinowany artyzm pierwszorzędných wykonawców, lub też namiętna i porywająca „toska“ (tęsknota), płynąca z chóralnych pieśni, śpiewanych przez zamieszkujących na „ostrowach“ (wyspach) Cyganów. Niejednokrotnie, świetne grono stolicznych arystokratów na zakończenie jakiejś szumnej hulanki, albo lukullusowej uczt — zjeżdżało do niskich domków tego koczowniczego plemienia (którego odłam osiadł tu jednak na stałe), wsłuchując się godzinami całemi w „zaunywne“¹⁾, to znów w tryskające zmysłowym szałem, muzykalne produkcje tych wirtuozów zbiorowej pieśni. Strzelały korki i lał się mrożony szampan, padały na tacę „Katarzynki“ i „Piotry“,²⁾ a bezmiar ognia, albo naprzemian szarpiący smutek, zawarty w dzikiej i zmien-

1) Rozdzierające bólem.

2) Sto i pięciusetrubłówki.

nej melodji chóru Cyganów — odpowiadał najlepiej melancholji i pustce duchowej dostojnych gości, pogrążonych w rozkoszy słuchowych upojeń.

Brak „wnutrienniawo mira“¹⁾ był najgłówniejszą może przyczyną załamania się burżuazji rosyjskiej w kataklizmie dziejowym. Oczywiście, zdarzały się i wyjątki, ale wogóle cała wyższa warstwa narodu nie posiadała duchowego kośćca i wskutek tego poddała się tak łatwo naporowi niewielkiej garstki rewolucyjnych „smielczaków“ (śmiałków), zapaleńców z przekonania, lub też żądnych nieuchwytniej dawniej władzy. Odwieczny przebieg klasowych walk w łonie ludzkości i tym razem, w czasie rewolucji rosyjskiej wykazał nieomylną prawdę znanego powiedzenia: „Ote-toi — pour que je m'y mette!“, z tem zastrzeżeniem, że wobec początkowych, słabych względnie ataków nizin społecznych, forteczne mury burżuazji petrogradzkiej padły zbyt szybko, świadcząc tem samem o swej kruchości. Rozmach cesarskiego gestu Piotra Wielkiego i jego następców, wyrażający się w ocembrowaniu granitem brzegów Newy, jej dopływów i kanałów, w rzuceniu nad nimi licznych, wspaniałych, rozwodzonych dla przejścia handlowej i wojennej floty — mostów, w imponujących pałacach i gmachach państwowych w rozległej perspektywie szerokich ulic i potoczystych jezdni, rozmach ten dawał wyraz potędze monarszej fantazji, zdolnej do zerwania z powierzchnią ziemi rosnących

1) Świat wewnętrzny przeżyć i myśli.

w tym miejscu lasów i do wtłoczenia ich w błota w tym celu, aby na takim podłożu wznieść godną olbrzymiego imperjum stolicę.

Tak było w śródmieściu, ale nawet na pierwszorzędnych ulicach, pomiędzy przepyszne, wielopiętrowe wykładane marmurem kamienice, z błyszczącymi od złota galonów „szwajcarami“ u drzwi wejściowych — wtulały się niskie, drewniane domki, zamieszkałe przez ludność roboczą.

Poza obrębem przepychu w centrum, tuż zaraz, na bocznych ulicach bił w oczy raptowny przeskok do zaniedbania i biedy, nie mówiąc o krańcach miasta, gdzie czaiły się zbrodnie wśród nędznych wyrzutków i mętów społecznych. Stanowiło to bezsprzecznie podatne tło dla rozwoju przy sprzyjających warunkach chciwości i żądz bogactw pośród odsuniętych od nich, a tak bliskich do tych miraży szczęścia — tłumów petrogradzkiej ludności (2 miliony mieszkańców). Fatalne skutki mów Lenina, a tolerancji Rządu Tymczasowego, objawiły się w pierwszym, niedość umiejętnie zorganizowanym i nieprzewidzianym zamachu stanu, w owym dniu trzeciego lipca. Nagły huk powtarzających się strzałów zadziwił i strwożył mieszkańców Petrogradu. Było to zbrojne wystąpienie „maksymalistów“ (bolszewików), dążących do obalenia istniejącego porządku. Olbrzym rosyjski drgnął — zakołysał się, ale nie przekroczywszy tym razem prawa wahadłości wobec znacznej części wiernych rządowi wojsk, powrócił do równowagi. Wezwany z frontu Kiereński samem swem

zjawieniem się uśmierzył bunt, korzystając z niebywałego „prestige’u“, jaki go wówczas jeszcze otaczał. Chodziły po całym mieście uparte słuchy, że po zlikwidowaniu tego „incydentu“ Kiereński miał jakoby spotkać na ulicy ukrywającego się Lenina i pominąć go, nie rozkazawszy zaarrestować. Tu — otwiera się pole do szerokich domysłów, dlaczego istotnie ten najwyższy przedstawiciel narodowego rządu nie obezwładnił „zdrajcy stanu“, jakim bezsprzecznie był Lenin? Pomijając nawet krążące wersje, fakt pozostawienia go na wolności jest przecież historyczną, bezwzględną prawdą! Czy było to wynikiem osławionej „kiereńszczyzny“, słabości woli w rządzących sferach, czyli też, może — uważano tego zachłannego antagonistę jako niegroźnego „straszaka“ dla reakcjonistów rosyjskich?

Wogóle naród rosyjski, naród — zdolny do niezrozumiałej dla Zachodu ekstrawagancji ducha — dał w czasie wielkiej swej rewolucji dwa jej znamienne przejawy:

Primo: Potrafił na drugi dzień po przewrocie wymazać ze swej pamięci owego cara, którego przez lata całe otaczał dymem kadzideł i uległością bez miary, a historia tych czasów nie zanotowała ani jednego wysiłku wyratowania z więzów niewoli ubóstwianego cara-batiuszki — monarchy w glorii samodierzawja, otoczonego niedawno tłumem schlebających dworaków.

Secundo: Ów przez zagraniczne państwa lekceważony, jako „słaba głowa“, Mikołaj II, potrafił również

znieść nieprawdopodobną zmianę losu i upadek z wy-
 żyn wszechwładnej potęgi ze spokojną godnością,
 czyniącą zeń w tem uwięzieniu, wśród raniących i ni-
 skich upokorzeń ze strony rozzuchwalonych „towa-
 riszczej“ — prawdziwego monarchę, jakim nie umiał
 być za swego samowładnego panowania, a czego się
 nie da powiedzieć o pozostałych członkach cesarskiej
 rodziny.

Najbliższym wynikiem nieudanego bolszewickiego
 zamachu stanu było wywiezienie Mikołaja II z żoną,
 dziećmi i kilku osobami z najbliższego otoczenia do
 Tobolska, gdyż marynarze zaczęli się dopominać, aby
 raczej im, niż żołnierzom powierzono straż nad rodziną
 „Romanowych“. Żądali przewiezienia ich do Petropaw-
 łowskiej twierdzy, co wobec rozbestwienia floty było
 równoznacznym nieledwie ze śmiercią. Kiereński, nie
 chcąc brać na siebie tej odpowiedzialności, usunął
 z przed oczu narodu cesarskich więźniów wysyłając
 ich na Syberję, skąd już powrócić wcale nie mieli.

Krater petrogradzkiego wulkanu rzucił w powie-
 trze rozmiotany snop iskier i przygasł pozornie, ko-
 łtując dalej w swem wnętrzu lawą wzbierającego bol-
 szewizmu. Powiew od mórz i równin pędził z jednego
 krańca w drugi dawnego imperjum te skrzące prze-
 loty podżegających myśli, które, trafiając na nagro-
 madzone przez wieki podkłady słomianej iście umy-
 słowości i zasad — wznieciły wreszcie pożar, godny
 wzroku Nerona, spoglądającego przez szmaragd na
 wstrząsający obraz własnych — zwielokrotniałyich
 zbrodni i szaleństw.

XIV.

ROK 1917.

O, roku ów! Kto cię nie pomni w naszym kraju?!... Pamiętny roku wojny, roku urodzaju, roku — nadziei promiennej i nieprzeliczonych klęsk na ukraińskich szlakach, bezbronnej polskości! Ze łzą w oku witali wiosniane twe dni i młodzi i starzy! O tobie — roku „wyzwolenia“ — pieśń uchodźców gwarzy!...

Wojska płyną dniem i nocą... Ale — nie wawrzyny sławy ciągną je na pola okopami poryte. Zdemoralizowana — to, zbolszewiczała armja. Jak fala leniwa kołysze się na miejscu w przyfrontowym pasie kresowych ziem. Budzi się z uśpienia morze chłopstwa ruskiego i do wtóru groźnie szemrać poczyna. Podstępnie szerzone pogłoski o rzekomem przejściu do wroga nowoutworzonych oddziałów polskich — wzbudzają chłopstwo niedalekiego od placu boju płoskirowskiego powiatu. Obietnica nadzielenia ich ziemią roznamiętniła ludność do tego stopnia, iż jedna iskra, nieopatrznie rzucona, może wywołać bezkres płomieni. Nie występują wszelako jako uzurpatorzy „pańskich“ praw i majątków otwarcie — korzystając z panują-

cego chaosu, przywłaszczają sobie pokryjomu jakieś kawałki odleglejszych pól, albo z dziecinną, przekorną złością wrywają ramy z okien, niszczą oparankienia w stojących pustką z powodu nieobecności kilku właścicieli — dworach. Nie wszyscy ziemianie zdają sobie jasno sprawę z tego, że dach poczyna tleć nad ich głowami, szczególnie niektóre kobiety kresowe nie chcą analizować narzucających się faktów. Krząta się, jak za najspokojniejszych czasów, w swych Zuzulińcach, pani Marja Zaleska — interesująca, małutka staruszka wśród pamiątek i staroświeckich gratów, zapelniających dom, niegdyś Sapiehów. Ciekawy typ pani polskiej na kresach — skrzętnej, pracowitej, zapobiegliwej, o powiększenie majątku dla znaczenia „rodu“ dbającej, nie przypuszczającej nawet przez chwilę, by chłop ośmielił się podnieść rękę na „pana“!

Armaty walą dniem i nocą. Suną nieustannie pociągi z Galicji, z rannymi i uciekającym wojskiem rosyjskiem. Na drogach zgiełk, przepełnienie, szeregi wozów. Jednocześnie to tu, to owdzie, wybuch potwornego niszczycielstwa — żołdactwo rozgromiło na Białej Rusi pięknie zagospodarowane dwory i majątki Skirmuntów, a dla usprawiedliwienia tych ekscesów podnoszą się znów pomiędzy chłopstwem burzliwe wersje o przerwaniu frontu i ewakuacji Tarnopola wskutek zdrady polskich pułków, czego jednak gazety nie potwierdzają. Rozkład zdemoralizowanej armji rosyjskiej staje się coraz jawniejszym. Koło Czarnego Ostrowia słupy kurzu wskazują cią-

gnące wolno tabory, na Zarzeczcu, przed Płoskirowem, stłoczone masy „powozek“ i automobilów. Wloką się olbrzymie potwory-armaty, uratowane przy odwróceniu z Galicji. W Płoskirowie panuje ruch i niezwykłe podniecenie. Życie wre. Porządek utrzymują „bataljony śmierci“, z młodych uczniów junkierskich szkół złożone, na stalowych kaskach trują głowę, jako emblemat swej niepowstrzymanej odwagi mające. Walczą ze zbrodniczym dezterterstwem, roztrzęliwując bez pardonu maruderów, życia młode kładą w ofierze, pragnąc powstrzymać rozbójstwo, grabież własnych wojsk, w kraju, należącym urzędowo do Rosji. Bandytyzm wraz z tchórzostwem stały się wybitnymi cechami dawnej dyscyplinowanej armii, aż prasa rosyjska smaga ją szyderczymi opisami ostatnich bojów: „Ciury niemieckie, wsiadłszy na obozowe konie, szpicrutami pędzą ją przed sobą. Niezmazana sromota! Hańba — przez wieki nie starta! Tylko polskiemu, ułańskiemu pułkowi, który w pełnym szyku bojowym wykonał sześć razy atak na siły niemieckie, zawdzięczamy uratowanie naszej piechoty“.

W takich wyrazach sławiła prasa rosyjska ułanów polskich, którzy po słynnej owej bitwie pod Krechowcami przybrali nazwę Ułanów Krechowieckich. Pułk ten — spadkobierca wielkich tradycji bojów konfederackich, kościuszkowskich, napoleońskich i powstańczych 31 roku, kiedy to I-szy pułk ułanów walczył w 33 bitwach, zdobywając sobie krzyż kawalerski i wirtuti militari, jał żłobić obecnie drogi ku chlubie teraźniejszości.

Po wybuchu rewolucji rosyjskiej odmawia dywizjon polskich ułanów złożenia przysięgi na wierność Rządowi Tymczasowemu, układając natomiast tekst własnej przysięgi na wierność idei walki o niepodległość Polski i wedle niej zostaje zaprzysiężony. Przeniesieni z Czugajewa, pod Charkowem, na front austriacki, spotykają się tu ułani z wpływami wysłanej z Kijowa do okolic Płoskirowa, a rozagitowanej przez bolszewików dywizji strzelców polskich, którzy się już wahają, czy iść do boju z Niemcami. Ułani polscy wyrzucają z pomiędzy siebie dwóch, niegodnych munduru polskiego towarzyszy broni, a sami decydują: — „Stojąc nadal niezłomnie pod sztandarem wolności, całości i niepodległości ojczyzny, pod który zaciągnęliśmy się jako formacja polska, sprzymierzona z armją rosyjską, będziemy się bili obok niej z Niemcami, wykonując wszystkie rozkazy dowództwa“.

Nagły odwrót tej armji rozprzęga doreszty zachwianą dyscyplinę żołnierza rosyjskiego, a jednocześnie rozpoczynają się wielkie dni chluby polskich ułanów. 19 lipca pułk. Bolesław Mościcki obejmuje dowództwo pułku, 22 — przybywają ułani do Krechowiec. Pobliski Stanisławów płonie. Kozacy, maruderzy, piechota rabują, gromią, mordują mieszkańców miasta. Jakiś zgrzytliwy ryk niesie się stamtąd w powietrzu. Pułk. Mościcki z oficerami pułku oświadcza gotowość obrony ludności. Dowództwo rosyjskie wyraża na to swą zgodę. Pędzą w cwał polscy ułani ku tym, niweczącym mienie i życie, czerwonym migo-

taniom ognia anarchji. Pod ich naciskiem umykają z miasta zbrodnicze watahy, a rozentuzjzmowani mieszkańcy zjawiają się u pułk. Mościckiego, prosząc, aby ułani doczekali się przyjscia Austro-Niemców i obiecując wyrobić u nowych władz zgodę na prawo przemarszu pułku do Warszawy, pod opiekę Rady Stanu.

Nie zahaczają się jednak o ten przypadek losu polscy ułani. Choć serce niektórych z nich tęskni do swoich, wyżej stawiają wszyscy obowiązek żołnierza, który zdrady względem sprzymierzonej rosyjskiej armji dopuścić się nie może. Dnia 24 lipca rozpoczyna się bitwa pod Krechowcami. Zakwitają pęki róż przy mundurach ułańskich — dowody wdzięczności obronionego Stanisławowa — rozkwita waleczność w ich sercach:

— Naprzód, ułani! Za niepodległość Polski! Marsz marsz!

Pod obstrzałem dział nieprzyjacielskich galopuje po polu pułk. Mościcki. Jest zawsze tam, gdzie szwadrony do ataku się porywają. Naciągnięta cięciwa jego rozumowania wyrzuca rozkazy, które jak strzały mierzą w cel określony: We cztery szwadrony osłonić odwrót 11 i 19 dywizyj rosyjskich, przed napierającymi na nie dwu i pół bataljonami niemieckiej piechoty. Rotmistrz Waraszkiewicz, jego pomocnik w dziale frontowym, nie ustępuje mu w męstwie. Adjutant pułkowy, ppor. Zdziechowski wykazuje wszystkie zalety bojowe. Spina konia szef służby łączności, ppor. hr. Bem de Cosban. Gwiżdżą mu nad

uchem kule, niby rój przelatujących z brzękiem szerzeni. Krótkie okresy celów podsuwa mu skupiona w piersi żądza czynu:

— Do oddziału z rozkazem! Do dowódcy zpowrotem! Na zagrożone stanowisko z nowym rozkazem! Byle tam dopaść! I znów zpowrotem! — Koń szybkonogi, niby jaskółka przed burzą, fruwa przy samej ziemi, ledwo kopytami jej dotknie — już się odsadza w bojowym z kulami wyścigu.

Stoi przy moście nad rzeką Bystrzycą ze swoim plutonem ppor. Łebkowski. Chłodny jak woda opodal płynąca, ostry — gdy chwila nadejdzie — jak szabla wzniesiona do cięcia, czeka, kiedy odstępujące oddziały rosyjskie przez most na rzece przewalą. Huk — łomot piekielny — lecą w powietrze, wysadzone już przezeń wiązadła — ciska bryzgami spieniona woda Bystrzycy — przeciągły warkot niemieckich armat i karabinów maszynowych wtóruje z za rzeki czynom polskich ułanów.

Skoczyły do ataku wzdłuż szosy wiodącej do Krechowiec dwa szwadrony ułanów! II pod por. Podhorskim i III pod rotm. Sobieszczańskim, a jako wsparcie szarży pędzi szwadron karabinów maszynowych, który, nie posiadając jednak pomimo swej nazwy owych karabinów, zmuszony jest szarżować jak zwykły linjowy szwadron. Na jego czele dowódca — ppor. Zboromirski. Kwiaty przy piersiach ułanów, a w sercu szczęście. Jak błyskawice, wrzynające się w wały chmur, podobnie i oni szablą, lancą i furją ataku rażą drugiego z kolei zaborcę

Rzeczypospolitej, ciemniźcyela polskości. Cofa się oszołomiony mocą tego piorunowego natarcia przeciwnik, pozostawiając na polu bitwy ogromną ilość porąbanych i okaleczonych żołnierzy. Spada jak jastrząb potężnym chwytem na wygrywający motywy śmierci karabin maszynowy niemiecki II szwadron ułanów z por. Zygmuntem Podhorskim na czele, zamyka mu gardziel szablami, do niewoli z triumfem zabiera.

Kłusem prowadzi IV szwadron na lewe skrzydło dla osłonięcia go i podtrzymania w razie potrzeby — rotmistrz Żółkiewski. Słyszy szum bohaterstwa we własnej głowie. Tańce z tym wrogiem są dlań zabawą. Zdobył już wszystkie krzyże i odznaki waleczności w armji rosyjskiej — teraz oblewa go war stokroć gorętszej żądz do boju pod sztandarami orła białego.

Stoi jeszcze jako odwód na miejscu, wyczekując niecierpliwie wskazówki, I szwadron ze swym dowódcą, rotm. Dziewickim na czele, poczem rusza wskok dla wsparcia szarży IV szwadronu i osłonięcia ponownego ugrupowania się szwadronu II i III w celu powtórnego natarcia na wroga.

Szaleją armaty w piekielnym rozgwarze. Rozpętały się wokoło odgłosy zacieklej walki. Nie podniecano ochoty ułana polskiego, bo wciska się sam żartko w gęstwę nieprzyjaciela. Już pole zasłane ciałami. Już ranny po dwakroć dowódca-bohater oddziału karabinów maszynowych ppor. Zboromirski.

— Tylko o jedną godzinę walki i powstrzymania naporu Niemców dowództwo rosyjskie błagało! Nie jedną godzinę — ale sześć razy tyle dla wywalczenia ciebie, niepodległości nasza, bić się z nieprzyjacielem od nas silniejszym będziemy! — W sześciu kolejnych natarciach, tracąc 31 zabitych, 46 rannych i 106 koni ułani polscy wykonywują swoje zadanie, zastaniając bohaterską postawą umykające w popłochu dywizje rosyjskie, poczem — zbiera pułk. Mościcki w niewielkiej kotlinie, na południe od Stanisławowa, swoje cztery szwadrony. Tu — przypomina sobie, że nie zostały doręczone burmistrzowi Stanisławowa, który już jest przez Niemców zajęty, uchwalone poprzednio na ogólnej naradzie ułanów listy do pułku do Rady Stanu i do komendanta Piłsudskiego. Dostaje tedy, wydarte z książki polowej, zapisane karty tej treści:

„Burmistrzowi miasta Stanisławowa — dowódca pułku przesyła te kilka słów, które chciał wypowiedzieć przy pożegnaniu. Polscy ułani spełnili jedynie swój obowiązek żołnierski i stanęli w obronie honoru armji rosyjskiej, w szeregach której związani przysięgą i poczuciem obowiązku żołnierza walczą. Korzystając ze szczęśliwej okoliczności, prosimy Radę Sławetnego Miasta Stanisławowa o przesłanie wyrazów Czcii, Miłości, Wierności i Synowskiego Przywiązania do Ukochanej, Zbolałej, Zniszczonej ziemi Ojczystej Naszej. Jedyнным promieniem jasnym, który nam żyć każe, jest głębokie przekonanie, że ta Uko-

chana Polska Nasza zmartwychwstaje teraz z gruzów i podnosi się do nowego życia, Wspaniała, Niepodległa i Silna.

Nowopowstającemu Rządowi Polskiemu składamy hołd! Przewodnikowi i budzicielowi militarne go ducha Polaków, Generałowi Piłsudskiemu — wiernemu synowi Ojczyzny — czołem! Niech żyje przyszła potężna Armja Polska, ostoja Wolności i Niepodległości Ojczyzny Naszej!

Niech zagrzni nad wszystkimi Polakami nasze hasło najświętsze:

Niech żyje Wolna, Niepodległa i Zjednoczona Polska!“

Każdy z ułanów rwie się na ochotnika, by zanieść do Stanisławowa te słowa przepiękne, ten bruljon listu, krwią serc pisanego, podobnie jak każdy postanawia tu czekać na powrót z niebezpiecznej wyprawy pułkowego wysłańca.

Jedzie wreszcie ułan Krzyżanowski z I szwadronu, a pozostali w kotlinie krechowieccy ułani jakimiż myślami skracają sobie godziny ciężkiego oczekiwania?! Wszakże każdy żołnierz prócz rozplamieniającej go do walki ideologii, posiada jeszcze inne, poboczne, tem niemniej drogie dlań cele: oto broni swemi pierściami, życiem swem młodem — własne osiedle, ziemię, rodzinę. Nie o tem myślą polscy ułani. W ich pułku jedni są z rdzennej Polski, inni z ukraińskich przestrzeni. Ci ostatni gotowi porzucić bez żalu gniazda rodzinne, zostawić w wirze zbolsze-

wiczałej rewolucji samotne i drogie kobiety, byle iść na obronę tej Polski, tak od nich dalekiej. A tamci?! Tamci — nie chcieli korzystać z możności przejścia bez rozbrojenia do swoich, albowiem pułk cały związany był słowem żołnierskiem z rosyjską armją.

Dwa idealne pojęcia: honor i ojczyzna, tak przedziwnie z sobą splecione, jak gra światła w brylancie, kierowały poprzednio wszystkimi czynami, a teraz lśniły w myślach ułanów krechowieckich, kiedy otoczeni wieczorną ciemnością i niemieckimi, wrogimi siłami, wyczekiwali w owej kotlinie na powrót swego wysłańca, niby jedna, wielka rodzina, umiłowaniam wspólnego, świętego celu przejęta.

W parę tygodni potem, kiedy w Rumunji misja francuska łącznie z generalicją rosyjską dokonała przeglądu pułku, wręczając dekoracje francuskie za bitwę pod Krechowcami, pułkownik francuski Tabouhis podkreślił w swem przemówieniu konieczność doprowadzenia wojny do zwycięskiego końca, albowiem wówczas; „Francja będzie piękną, Anglja bogatą, Rosja wielką, a Polska — będzie“! Na to — pułkownik Mościcki po niejakiem czasie, nie bacząc na żadne osobiste względy, wypowiedział te słowa:

— Jeśli myślicie, moi panowie, że ja się z pułkiem biłem dla Francji, albo dla Rosji, to jesteście w zupełnym błędzie! Ja się biłem tylko za Polskę! — mówiąc to, zdjął krzyże francuskie i rosyjskie i rzucał je na stół.

Dowódca II kawalerskiego korpusu, ks. Tuma-

now, Gruzin, wielce dla Polaków życzliwy, odczuł całe napięcie tej sytuacji i wznosił pojednawczy toast: „Na cześć Polski i polskich ułanów“!

Tymczasem panika w Płoskirowie rośnie. Niektóre filje bankowe już się przezornie wycofały, inne — nie wypłacają sum z rachunków bieżących, tłumacząc się brakiem pieniędzy w kasie. Dyrektor jednego z banków, pan Kanigowski, zachował 4000 rubli — kapitał ochronki polskiej i po naradzie z opiekunami postanawia doręczyć je zacyntarmentom i przełożonej zakładu pani Gołębiowskiej, które ten skarb ukryją we flaszeczkach szklanych gdzieś w ziemi, albo w kwitnących wazonach. Los bowiem sierot z ochronki gorąco wszystkich obchodzi. Nastrój ludności cywilnej trwożny wobec oczekiwanego lada chwila odwrotu miljonowej, zdeorganizowanej, rabującej tłuszczy — przychylny natomiast z tegoż powodu zbliżającym się wojskom nieprzyjaciela, który silną ręką złamie anarchję.

Paromiesięczna zaledwo akcja Lenina i jego adeptów rozwinęła chciwość i nieposzanowanie cudzej własności w szerokich warstwach narodu. W armji ustały wszelkie praktyki religijne, nie sprzyjające bolszewickim zakusom. Do tego stopnia upadło poczucie jakiegokolwiek bądź obowiązkowości, że rozeszła się ciekawa pogłoska, iż w owym czasie, w połowie lipca 1917 roku, siedem pociągów, naładowanych Japończykami, poszło na front, aby przykładem własnej, nie cofającej się przed niczem odwagi, podtrzymać w armji rosyjskiej żołnierski honor i męstwo.

Na froncie chwilowy spokój — jakgdyby cisza przed wielką burzą. Dezerterzy jednak przesuwają się przez Płoskirowszczyznę, po dwóch, po trzech, niekiedy w większych gromadach. Spotkawszy na polach, schylonych nad dworskim łąnem żeńców, zakrzyknęli do nich urągliwie: — Jakto?! Harujecie jeszcze dla niego?! Dowolno! Zabierajcie wszystko — to wasze! — Prowadzący ich dwaj konni żołnierze huknęli rozkazująco: — Nie twoje dzieło! Poszedł w pierod, draniu!

Dowódcy poszczególnych pułków nie ukrywają swych pesymistycznych przewidywań. Usuwający się z wołyńskiego frontu w tyły, na wypoczynek, pułkownik Wachhausen (13 pułk dragonów) mówi otwarcie: — Wojna przegrana, dzięki niebywałemu rozprężeniu piechoty. Stan kawalerji o wiele jest lepszy. Ilekroć nocować muszę pośród piechoty, mam dwa rewolwery pod poduszką, aby przynajmniej drogo życie sprzedać! To zbóje — nie żołnierze! Wszystkiego najgorszego się po nich, nietylko można, ale należy spodziewać! Przemarsz ich przez wasze ziemie będzie się odbywał przy akompanjamentie takiej pijatyki i rabunków, że nie wiem, co wam tu zostanie!

Tymczasem stojąca na froncie podolskim gwardja pruska pod wodzą Mackensena, po kilka dni milczy uparcie, zadowolając się rzucaniem bomb z aeroplanów na Wołoczyska, Wojtowce i Płoskirów — z niemiecką systematycznością wyczekując chwili, gdy rozpęd spustoszenia i anarchji odda w jej ręce bez

walki śpichlerze Podola. Zrzadka tylko huraganowy ogień przypomina czasy bojów o każdą piędź ziemi. Po wszystkich drogach włóczą się watahy zbójów-dezertarów, a rozlokowane w całym pasie granicznym tyły armji nie znają miary w swem obelżywym zuchwalstwie: rąbią samowolnie najpiękniejsze drzewa, rzucając z cynizmem lakoniczne słowa: — Nużno — bieriom!¹⁾, — w kilkuset kąpią się w stawach, nago biegając nad brzegiem, wśród wrzawy i wyuzdanych śmiechów, a nawet dobierają się jako ordynansi po dworach do szaf i schowków z odzieżą, witając przechodzących z musu i szybko właścicieli, urągliwemi płasami, wyzywającym świstem i wstrętnemi śpiewkami. Oficer nie ma już najmniejszego wpływu na tych pseudo-wojaków — co gorsza, niestety, wielu pomiędzy nimi uległo również zarazie, nie uznając skopanych przez Lenina „praw własności“. Nie do wiary poprostu staje się taki gwałtowny rozkład dawnej cesarskiej armji! Wobec jednak mrozących krew w żyłach szczegółów o rzeziach w Kałuszu, Tarnopolu, Stanisławowie i t. d., dokonanych przez rozbestwione wojska rosyjskie — rujnowanie sprawności gospodarstw dworskich wydaje się istotnie marnym detalem, chociaż 11 korpusów zebrano w płoskirowskim powiecie i od wydzierających, co tylko się da, żołnierzy — aż czarno.

Obawa głodu rośnie, wzmagą się wśród ludności cywilnej. Już w Felsztynie formalny brak mąki.

1) Potrzeba — bierzemy!

a studnie wysuszone docna przez rozłożone tu wojsko. Zapotrzebowanie zboża tak natarczywe, iż porywają je bez czyszczenia z pod pracujących lokomobil i maszyn skarbowych. Niesłychane próżniactwo, brak wszelkiej inicjatywy, słowiańska „lień“ (lenistwo) ogarnia miljonowe, uzbrojone masy, ściągnięte bez żadnego dla państwa i wojny pożytku. Automobile, ekwipaże, transporty, obozy, konie wierzchowe i juczne, eskadry lotnicze — stoją na miejscu, a oficerowie i „towariszczi“ kąpią się, łódkami jeżdżą, strzelają z kulomiotów, pukają z rewolwerów, Frankott, wiatrówek do zwierzyny, ogałając z niej wszystkie okoliczne lasy. Wróbla nawet nigdzie nie widać.

Oczywiście, na gruncie tak bezbrzeżnego rozpasania „obrońców“ agitacja niesie bogate plony w usposobieniu i czynach chłopów. Scena w niedaleko od Płoskirowa leżącej Bębnowce Janów Narkiewicz-Jodków stanowi znakomitą ilustrację ówczesnych nastrojów i czasów.

Przepełniony, jak wogóle wszystkie inne, żołdactwem i lotnikami dwór bębnowiecki bronił się dzielnie od ostatecznej dewastacji dzięki wytrawności i taktowi swego właściciela. Jan Jodko pozostał zawsze entuzjastą pomimo starszego już wieku, a szybkość decyzji i odwagę zachował tak nietknięte, jak za najmłodszych lat. To też, gdy pewnego późnego wieczoru służący wszedł do jego pokoju, oznajmiając, że cały Komitet Sielski i gromada żołnierzy stoją na ganku, rozprawiając burzliwie, zdecydowany natychmiast na stanowczą wobec tych napastników postawę,

przeciska się pan Jodko przez tłum zbiegających się na korytarzu „towarzystwiej“, dążąc do miejsca, skąd dolatuje gwar i ustalając z niezbędną szybkością:

— O koniczynę spasioną dworską im chodzi! Mówiłem, żeby nie telefonować po kozaków do Płoskirowa! Źle się stało!

W gościnnym pokoju, dokąd zdążył już ktoś wprowadzić natarczywych gości, stał pośrodku rosły chłop bębnowiecki, Todor Kałeniuk, w żołnierskim szynelu i, wymachując rękami, perorował zapalczywie:

— My cioho okomana musym z seła wykinuty, try czorty jeho materi! Win wczora koniaku (konia) mini zarizał! (Szpicrutą!) Win wczora na łanie kryczał: — Wże łopła wasza słoboda! — A zwidki ty ce znajesz, pańska sobako?! Ta słoboda, za kotruju miljony ludej krow swoju proływajut! Ona żyje i żyty bude po wiek, a ty skoriszcze sam łopnesz!¹⁾

Ujrzawszy wchodzącego pana domu, rozogniony swą wymową orator zwrócił się ku niemu, wyciągając drapieźnie ręce.

— Gdzie wasz okoman?! Dawajcie nam go tu wraz! On obraził całą armję rosyjską, całą rewolucję! Jemu śmierdzi nasza słoboda! Ha?!...

— Tss! Ciszej, ciszej, diad'ku Todorze! Ne szumit tak! — mitygował go jakiś rozsądniejszy chłop z komitetu. — Wy nie słyszeli jego słów sami. Prawda? A może kto na niego przez złość nabrechał?! — podszedł do gospodarza, który zatrzymał się w progu,

1) Pękniysz.

nie ujawniając wrażenia wyrazem twarzy i wodząc z za szkieł spokojnym wzrokiem po wszystkich:

— Przyjechały milicjonery z Trytelnik perekonaty-sia, na szo tutka potrzebne kozaki? Schod prosi, żeby pan zaraz się do nich zjawili! Inaczej — bieda! Na-ród buntuje się strasznie, że na nich, jakby za carskich czasów, kozaków z nahajem przysyłać chcą!

— Chodźmy! — zgodził się bez wahania pan Jodko i wśród zapadłych już ciemności powędrował pieszo do wsi, otoczony komitetczykami i zuchwałem żoł-nierstwem. Po drodze osądzał w myśli skomplikowaną sytuację:

— Ostromęckiego niema! Drapnął poprostu! Szczę-ściem — nikt nie wymawia imienia Ksawerego, a właściwie to on o kozaków prosił! Trzeba na sie-bie wziąć całą odpowiedzialność i jakoś ułagodzić niepotrzebne wzburzenie!

Tak doszli przed cerkiew. Tłum żołdaków i chłopów falował w pomroce, hucząc jak wzbierający przypyływ.

— Pan przyeszły! — wzbili się od brzegów szmer i niby wicher pomknął w głąb podnieconego „na-rodu“, który, rozstąpiwszy się przed wchodzącym od-ważnie w ten odmet roznamiętnienia właścicielem Bębnówki — zacisnął się za nim wnet zwartą masą.

Ostre wymówki buchnęły naraz ze wszystkich stron, niby podsycone zjawieniem się winowajcy pło-mienie. Nacierali nań gwałtownie chłopci, a najbar-dziej elokwentnymi okazali się żołnierze z aerodromu. Nie dał mu nikt przyjść do słowa.

— Pan wydumały jakiś bunt!... Nikomu się to nie

śniło!... Tutka ludy spokojnyje, czestnyje¹⁾, mirolubiwyje!²⁾... Sprowadzać nam na głowy kozaków?!... My wże z toho jarma (jarzma) od marca — sława Tobi, Hospody — wyswobodyłyś!... To wstyd dla takiego zamożnego, wielkiego siola!... Pan swoich ludej ne szanujut, znacził — proti narod idut!...

— Jeszcze kozaków niema! Spokojniej! Spokojniej! — mitygowali wzburzonych chłopów delegaci z Trytelnik.

Nagle załopotał w powietrzu przeciągły okrzyk: — Okomana nam tut dawajte! — niby wystrzelone działo największego kalibru, ciągnąc za sobą potakujący wrzask tłumu.

— Niema go! Pojechał do Narkiewicz! Posłałem umyślne, aby natychmiast powracał! — cisnął w gromadę mocnym głosem pan Jodko. Milczał dotychczas z umysłu, w psychologicznie umotywowanej nadziei, że podniecenie ludu wyładuje się w tym szale pierwszych uniesień.

— Taks! — podchwycił szydyczko jakiś podoficer. — Wy posłali po niego, tylko z ostrzeżeniem, żeby nie wracał! Cha, cha, cha!

Hardo i dumnie zakrzyknął nań z góry pan Jodko:

— Milcz pan! Mnie naród tutejszy od dziecka zna! Wie — zem mu nigdy nie skłamał! Jutro na zebranie Ostromęcki się stawi! A do Płoskirowa telefonałem do władzy, prosząc, by „wozstanowiła“ porzą-

1) Uczciwi.

2) Miłujący spokój.

dek. Jak to zrobi — jej sprawa, nie nasza! A teraz — dość już tego wszystkiego! — zwrócił się nagle do stojącego obok żołnierza:

— Towarzyszu! Czy zechcesz mnie, staremu podać rękę i odprowadzić do domu? Krótki mam wzrok, a w tej ciemności nie dam sobie sam rady!

Na człowieka snadź trafił, gdyż zainterpelowany odpowiedział natychmiast ochoczo:

— Gotów jestem wam usłużyć! — a w tonie jego głosu zabrzmiała jakby obietnica i groźba zarazem, że nie tylko przewodnikiem, ale i obrońcą w razie konieczności stać się potrafi.

Pod rękę szli ci dwaj „towarzysze“, tak dziwnie na chwilę zbratani, a za nimi tłum jeszcze szumiał, jak rój zaniepokojonych pszczół. Dwie wole bowiem wiodły ze sobą w owych tragicznych czasach atletyczne, acz nierówne zapasy: wola ludu — na sile zwierzęcej oparta i — wola ducha, z kultury i intelektu wykwitła. Zwyciężała to jedna, to druga naprzemian, aż wreszcie ta druga, ta piękna i wzniosła odeszła z nieszczęsnej ziemi Podola, pozostawiając w ciągu lat kilku pamiętnej rewolucji — ociekającą krwią zwłoki swoich wyznawców.

W połowie drogi do dworu spotkali szaraban, wysłany przez zatrwożoną rodzinę. Pan Jodko uściśnął dłoń żołnierza:

— Dziękuję wam, towarzyszu! Nie widzę twarzy waszej pociemku, ale warci jesteście jaśniejszej doli, czego wam życzę z całego serca. Żegnajcie! — wsiadł na bryczkę i dopiero wówczas uczuł nagły, znieczu-

lający upadek sił. Reakcja po stawieniu czoła — setkom.

W pierwszych dniach sierpnia wybucha niespodziewanie tak silna kanonada, że nasuwa się prawie pewnik, iż nieprzyjaciel lada chwila Podole zajmie. Dochodzą wieści o zbombardowaniu nad granicą leżącej Tarnorudy, to znów o wzięciu Rygi — w Moskwie, jakoby, straszna rzeź na ulicach. Śmierć powiewa skrwawioną chustą nad przyfrontowym szmatem kresowej ziemi, grożąc ludności cywilnej zachłanną swą mocą w razie odwrotu miljonowej, zezwierzęcej tłuszczu. Cisną się do kościołów pobożni, w spowiedzi i komunji świętej czerpiąc odwagę i rezygnację przed najściem rozhukanych żywiołów. W Satanowie sprzedają już na ulicach ornaty, kapy i różne zrabowane kościelne przybory, a „towarzyszczy“, rąbiąc i dewastując młodzieńskie leśne szkółki, drwią bezczelnie ze stawiających im nadaremny opór leśniczych: — Jeszcze żalujesz burżuja?! Jego i tak djabli prędko wezmą! — albo też grożą wrzaskliwie: — Ubić „jego“ i ciebie!

Wbrew jednak szerzonym pogłoskom wszechrosyjski zjazd w Moskwie odbywa się względnie spokojnie. Tylko wystąpienie Kaledina w imieniu wojsk kozactwa dońskiego burzliwie przez lewicę zostaje przyjęte. Nastroje polityczne — skrajne, nie do praworządności zatem, ale do radykalnych przewrotów raczej cała Rosja podąża. Żaden z posłów polskich nie wystąpił z protestem przeciw masowemu mordom ludności w Kałuszu, Tarnopolu, Stanisławowie. Nie

zbrakło im z pewnością odwagi, tylko Rząd Tymczasowy, nie mogąc takim ekscesom wojsk własnych zapobiec, powstrzymał prawdopodobnie oficjalne dyskredytowanie go na zjeździe. Zalewające Podole były armiji zaczynają przechodzić z biernej dotychczas względem burżujów nienawiści do ofenzywy: W pobliskim Sarnowie wyrznięto znienacka składającą się z dziesięciu osób żydowską rodzinę. Pierwszy to sygnał późniejszych, bezkarnych mordów, a od bezbronych żydów do bezbronych ziemian i inteligencji — krok tylko jeden. Mężczyźni we własnej energii, w paru strzelbach i rewolwerach jakiś ratunek, albo możność osłonięcia ucieczki rodziny widzą. Ale są dwory, gdzie kobiety same mieszkają, gdzie zdawna po śmierci mężów gospodarują i rządzą, jak w Bokijówce — pani Marja Żeromska (córka powołanego przez Wielopolskiego na ministra wyznań i oświaty Michała Grabowskiego) w Popowcach — pani Marja Skibniewska, z domu Trzebińska, szczytne zasady skromnego dworku w Łąkach dzieciom swym przekazująca, panie Anna i Magdalena Mogilnickie w Zaliscach i Zahorcach, pani Marja Zaleska w Zuzulińcach, panie Kosseckie w Korytnej.

Bóg jeno i aniołowie święci nad niemi czuwają, gdyż bez usługi, na wojnę wziętej, bez żadnej obrony, samotne zostały. A jednak nie opuszczają gniazd swych te dzielne niewiasty kresowe, pomimo, iż burza już huczy wokoło i „wicher żagle rwie“! W dziennikach rosyjskich pojawiają się coraz częściej wyznania wiary „maksymalistów“ (bolszewików). Jedni

twierdzą, że kwestja agrarna przed październikiem jeszcze w morzu krwi się rozwiąże! Inni — na zebraniu partyjnym w Odesie proponują, aby towarzysze i zwolennicy programu ciągnęli losy, który z nich ma „zlikwidować“, określoną zgóry ilość „burżujów“. W rosącym stale spodzeniu pierwotnych celów „bezkrwawej rewolucji“, jawnie dozwolony samosąd z zatrutem nienawiścią klasową ostrzem morderczego bagnetu, wkrada się coraz zachłanniej w sferę działań dawnego „Swordu zakonow“. (Zbiór praw.)

Ściąga swych członków Oddział Rolniczy w Płoskirowie na ogólne zebranie przy końcu sierpnia w celu naradzenia się nad środkami obrony. Czemże jednak jest to grono osaczonych inteligentów wobec wielomiljonowej tłuszczy? Projekt milicji konnej, pod dowództwem eks-buchaltera syndykatu, pana Królikowskiego, stacjonującej w Płoskirowie, gotowej wszelako śpieszyć na każde wezwanie zagrożonym po dworach jednostkom — wydaje się wszystkim bezwzględnie nikłym, jako wydajność pomocy. Uchwalają go atoli, mając na myśli spokój miasteczka. Tymczasem drapieżność żołnierska rośnie jak wybujałe grzybowisko, a życie ludzkie stacza się z dnia na dzień do rzędu lekceważonych nicości. Przy odstawianiu zboża do stacji kolejowej zabierają „towariszczi“ księcia Wiaziemskiego przemocą, a drugą ich partję rozszarpuje go tam, niby harpja sprawiedliwości nad „burżujami“, niewiedomo z jakiego po-

wodu — bez żadnego najpewniej — „sztuka dla sztuki“ poprostu!

Podjudzane przez zbolszewiczałych żołdaków włościństwo podolskie wre nietajoną bynajmniej zawzięcią względem posiadających te żyzne, rozległe, wspaniałe łany. Gdyż o te łany jedynie, przemawiające do ich pożądliwości chrzęstem dorodnych kłosów, im chodzi. O te łany i pola szerokie, kryjące w jesieni pod zielonym czubem soczystych liści niezliczone „berkowce“ cukrowych buraków. O tę glebę podolską, bez zawodu rodzącą, i o nic więcej! W prymitywnych ich rozmyślaniach narodowość nie gra najmniejszej roli. „Pan“ — bez względu na to, czy jest Polakiem, czyli też Rosjaninem — wróg to narodu, krwiopijca, a przedewszystkiem — zawada do owładnięcia przez „pracowity lud“ tych upragnionych „morgów“, na jawie i w snach oddawna się im mających. Więc skopać, zniszczyć, stratować, a najlepiej — wyrwać z korzeniem tę wyklętą zawadę, poza siebie ją precz odrzucić, a samym tak runąć na owe role, złote ziarna niosące, jak fale z uwięzi tamy zwolnione. I nietylko „pan“ tego systemu powolnej zagłady i prześladowań doznaje, ale i otaczająca go służba, oficjaliści, urzędnicy fabryczni, pracownicy rolni... Wszakże są ubodzy, ziemi nie posiadają, pracują ciężko na chleb powszedni. — Wirnyje panu! — (wierni panu) klnie ich z nieopisaną pogardą zbałamucony chłop, tak jakgdyby ową „wierność“ przyjętym na siebie obowiązkiem uważał jako potworną względem proletariatu zdradę.

Nie bacząc na rozwijającą się coraz jaskrawiej bachanalję namiętności partyjnych, Rząd Tymczasowy ujawnia niezmiernie liberalne tendencje. Najpospolitszem i dalekiem od literackiej wytworności stylu byłoby twierdzenie o dwóch ówczesnych rządach — Tymczasowym i nieoficjalnym bolszewickim — że „każdy sobie rzepkę skrobie“, a jednak w tej humorystyczno-trywialnej formie zawrzećby się dało najistotniejsze sprecyzowanie ich działalności.

Rząd Tymczasowy wśród wielu innych folg, czynionych wszystkim, wchodzącym w skład Rosji narodowościom i wyznaniom — ogłasza zezwolenie na budowę nowych kościołów i kaplic katolickich, na tworzenie nowych parafij, na wskrzeszenie diecezji nawet. Ojcom jezuitom wstęp do Rosji otwarty. Zachęćeni tem księża wnoszą z ambon błagalne prośby do Najwyższego Stwórcy, aby naród rosyjski odstąpił od schizmy i na łono katolicyzmu podążył.

Jednocześnie niemal bolszewicy nawołują otwarcie w swoich dziennikach do rabunku, do opanowywania majątków ziemskich przez chłopów, nie czekając na zwołanie konstytuanty. Lenin, który czas jakiś ukrywał się po nieudanym zamachu 3 lipca, powraca do Petrogradu, gdzie zamiast więzienia zastaje witających go owacyjnie adeptów, a wobec nierealnej, „ad infinitum“ odwlekanej groźby aresztowania — rozpoczyna na nowo ożywioną i płodną w następstwa agitację.

Bandytyzm rozwija się na Podolu i w przylegającym doń staro-konstantynowskim powiecie z szyb-

kością fermentujących drożdży, w specyficznej, odpowiadającej duchowi czasu postaci: Przed dwór zajeżdża późnym wieczorem automobil z oficerami. Proszą o nocleg. Gospodarz drzwi otwiera, przyjmuje gości, do przeznaczonego mieszkania prowadzi. Tu dopiero widocznem się staje, kogo dwór ufny pod dach swój przygarnął. „Czy widzisz na tym progu tego, co groźną trzyma broń?!“ — Ruki wwierch! — przykładają rewolwery do skroni „chaziaina“, nie wzruszając się bynajmniej widokiem zbielełej z przerażenia pani domu.

— Otwieraj szafy, komody! Dawaj srebro, klejnoty, odzież, bieliznę! A prędej się ruszaj, burżuju! — ładują zdobycz na czekające auto ciężarowe i, zaryczawszy jak wypuszczone z menażerji pantery, odjeżdżają w noc ciemną po dalszy łup. Osłupiali gospodarze patrzą na siebie:

— Co to?! Fra-Diavolo?! Czy jakaś inna tragikomedja?!

W ten sposób obrabowano Tadeuszów Kossaków, którzy ponieśli straty przeszło na dwadzieścia tysięcy rubli, Bronisława Pruszyńskiego w Rześniówce oskubali pseudo-oficerowie daleko dotkliwiej, bo około stu tysięcy postradał. Córkę jego, pannę Walerję związano, a dla oszczędzenia jej widocznie przykrego obrazu grabieży, pod poduszkami przez kilka godzin trzymano.

Ostrzeżeni jedni przez drugich ziemianie, wyrzekli się czem prędej staropolskiego: — Czem chata bogata — tem rada! — zawarli mocno drzwi swych

pocziwych, gościnnych domostw i z bronią napogotowiu odwiedzin nocnych wyczekiwali.

Dzwonichę Franciszków Jaroszyńskich najechali bandyci w czasie nieobecności właścicieli. Steroryzowali domowników, rzuciwszy im rozkaz: — Padaj na ziemię! — kilkunastoletnią zaś panienkę, córkę państwa Jaroszyńskich, zmusili do oprowadzania ich po całym domu i otwierania schowków. Nie stropiła się jednak dzielna, kresowa dziewczyna wobec tych zdemaskowanych złoczyńców i, zachowując się z niezwykłą przytomnością umysłu, ocaliła od rabunku wiele kosztownych przedmiotów.

Władze bezpieczeństwa publicznego nie istnieją, a gdyby nawet bandyci zostali ujęci, z pewnością żadnej nie ulegliby karze. Zasługą bowiem rewolucyjną jest — rujnować, niszczyć, wyplenić burżuazję. Cały też system finansowy cechuje coraz wyraźniejsza anemja, a Piotrogradzkie Towarzystwo Pomocy Ofiarom Wojny, tak hojnie dotychczas wspierające różne społeczne instytucje, odmawia z braku funduszy subsydjów dla ochrony i schroniska w Płoskirowie. Pomimo, iż koszty utrzymania polskiej dziatwy wynoszą parę tysięcy rubli miesięcznie, co wobec grożącej wszystkim ruiny staje się cyfrą poważną — zebranie ogólne z patronatem i księdzem proboszczem Nosalewskim na czele uchwała ochronek nie zwijać, otuchy nie tracić i poruszywszy wszelkie sprężyny wytrwać do wiosny — do „lepszych czasów“.

Kwestje szkolne źle się niestety zapowiadają po-

mimo nadludzkich starań proboszcza-komisarza i doktorowej Tarnopolskiej, którym nareszcie przyobiecano uwolnienie budynku szkolnego od stojącego tam wojska. Koniec września za pasem, miał się tedy rozpocząć wkrótce nowy rok szkolny w uczelniach ludowej i średniej, tymczasem złowieszczą depesza, iż sztab siódmej armji z Kamieńca przybywa, rekwirując dla własnych potrzeb wszystkie lokale — niweczy powzięte plany. Nauczycielstwo zjechało w komplecie — wytęża swą myśl, składając dowody umiejętności, egzaminowana dziatwa, radują się organizatorzy tej krzepnącej polskości — brak im tylko — pozał się Boże! — dachu nad głową.

Nad zainicjowaniem przez Wacława Skibniewskiego, ks. Nosalewskiego i doktorową Tarnopolską Gimnazjum im. Sienkiewicza przeciąga się dyskusja dwudziestu kilku zebranych osób do późnego wieczora. Program tej nowej szkoły, mającej być połączeniem realnej z klasyczną, wyłuszcza niezwykle treściwie i dokładnie profesor Kostecki, lwowianin, zaangażowany na jej dyrektora. Zagrożeni wywłaszczeniem, rabunkiem, odwrotem morderczych hord, zniszczeniem bez śladu wieloletniej kultury — ci kresowi ziemianie i inteligenci śpieszą złożyć, póki czas jeszcze, znicznarodowy w ręce tych, którzy tu ostać się mogą — w ręce ludowych warstw polskich.

Coraz to częściej wybucha jarzący się pokryjomu ogień zagłady. O parę mil od Płoskirowa zaledwo, gromi wojsko dom i folwark Kalusów, znęcając się nad całą rodziną, bijąc kolbami pana Kalusa, a córce

jego, zacnej pani Czarnowskiej, znanej z gorliwego pielęgnowania rannych w ploskirowskim szpitalu — grożąc sponiewieraniem niewieściej czci. To też nie tylko „Dziennik Kijowski“, ale i radujący się dawniej każdą porażką polskośći „Kijewlanin“ w ponurych barwach maluje wewnętrzną sytuację kraju. W Piotrogradzie i Moskwie bolszewicy górą, a pod ich batutą heroiczne marsze pierwszych rewolucyjnych dni zmieniać się poczynają w taniec św. Wita. Ostróg płonie, podpalony przez rabującą miasto piechotę. Latyczowski powiat widzi codziennie pogromy i napady na dwory, a te wszystkie niesłychane ekscesa uchodzą niemal bezkarnie.

Wezwane dla stłumienia rozruchów „zdrowe“ jeszcze pozornie wojsko częstokroć się łączy z grabieżcami, a w miejscowościach, gdzie są składy wódki, żołnierze padają na ziemię martwi z przepicia. Wznoszą głos okoliczni proboszczowie, zaklinając swych parafjan w gorących, patriotycznych słowach, aby nie zmazali honoru Polaka i wiernego syna kościoła przyłączaniem się do haniebnych czynów, jakie dziś wytwarzają dookoła istne piekło rozgorzałych, grzesznych namiętności i morderczych żądz. Na zebranie Komitetu Parafjalnego w Czarnym Ostrowiu przybyli żołnierze i oficerowie Polacy z rozłożonego w tej miejscowości 54 pułku piechoty. Ma to być najbardziej zdemoralizowany pułk w armji rosyjskiej — on to podobno „wslawił się“ w Tarnopolu. To też żydzi okoliczni oczekują w nieludzkiej trwodze z dnia na dzień — pogromu. Oficerowie zgnębieni, życia własnego nie-

pewni — żołnierz obdarty, zdziczały. Rwie się myśl polska, w tym chaosie potwornych zwikłań jasnej drogi nie dostrzegająca. Czy wyrwać tych braci z rozkładu i upodlenia, ogarniającego wszechwładnie rosyjskie oddziały?! Czy wskrzesić tradycje dawnych chorągwi i lekkiej jazdy!... Paręset tysięcy żołnierza w ten sposób powstać na kresach-by mogło! A potem — czy rzucić ich na „swoich“, z Niemcami idących?!... O, straszna tragedia rozdartej Polski, trzy miecze z trzech dzielnic w swe serce wrażliwej! O, mocy potworna zaborców — z Ablów — Kainów czyniąca!

Piętnasty października stał się w Płoskirowie pamiętnym na zawsze dniem wielkiej jakoby rewji nowozaciennej sił zagrożonej polskości.

Z rana odbyło się w pięknie udekorowanej ochronce solenne nabożeństwo na intencję solenizantki i prezesowej tej ukochanej przez wszystkich instytucji — pani Janowej Jodkowej z Bębnówki. Celebrował je w odświętnych szatach ksiądz Kazimierz Nosalewski przed obrazem św. Józefa, namalowanym i ofiarowanym przez znaną z artystycznego talentu i smaku solenizantkę. Pobożne pieśni w czasie mszy św. wykonywał z przejściem chór świątecznie ubranej dziatwy pod kierownictwem ochroniarki, panny Luni. Po ukończonem nabożeństwie dzieci wraz z personelem składały przemiłe życzenia swej opiekunce, potem zasiedli wszyscy społem do smacznego, a nawet jak na owe złe czasy, obfitego śniadania.

Gorąco i potoczyscie, jak zwykle, przemawiał ksiądz

proboszcz do swoich parafjan, polecając ich sercu te młode latorośle, które bez tej opieki na bruku znaleźć się mogą:

— Przystępowaliście wszyscy przed chwilą do komunji świętej razem z tą polską dźwiatwą. Niechże ten chleb anielski, wspólnie spożyty, złączy was w jedną wielką rodzinę! To dzieci wasze — uległe i wdzięczne za wszelkie dla nich starania, a wy jak ojcowie — pamięcią swą i dobrocią dalej ich otaczajcie! —

— Nie opuścimy naszej dzieciarni! — składali przyrzeczenie słuchacze, spoglądając z rozrzewnieniem na rozweselone twarzyczki, błyszczące jak paciorki oczęta i gładziuchno posplatane warkoczyki sierotek z ochronki, a jednocześnie nurtowała ich myśl dręczycielska: — Skąd czerpać na to niezbędne fundusze?! Ruina nam grozi niechybnie!...

Wieczorem ma być w teatrze obchód Kościuszki w celu unarodowienia Mazurów. Poprzedził go cykl odczytów dla ludu, zaznajamiających go treściwie, a w popularnej formie, z postacią niezapomnianego, z najgłębszej treści ducha Lechitów powstałego bohatera, rzecznika praw ludu do miłowania i obrony jednej Matki-Ojczyzny. Z ludu rolnego — Piast zasiadł na majestacie królewskim — z ludu kmiecego, z tej krwi i kości naszej, wzniosła się „krwi zasługą“, walecznością w tej krwi płynącą, władnym, ofiarnym heroizmem część rycerstwa polskiego, tylekroć w Europie całej sławionego! Więc w krzepkiej warstwie ludu naszego tkwią narodowe cnoty, jak skryty klejnot w kamiennej opoce. Wgórę oskardy! Złamcie

ten krzemień, pionierzy oświaty, i niech przedziwne blaski trysną z rozłupanego wnętrza narastającej przez wieki ciemnoty! Oślepiającą smugą niechże przepoją wyjąłowiłe zagony sławy i niech się odbiją imionami bez zmazy w nowym herbarzu szlachetnych!

Niemile intermezzo wita zjeżdżających się gromadnie na wieczorną uroczystość ziemian i śpieszącą w różnych kierunkach po ulicach Płoskirowa inteligencję miejską. Zajęci przygotowaniami do obchodu napotykną co chwila żołnierzy, usiłujących przypiąć im kartki z napisem: „Pokój chatom — Wojna pałacom!“ Potrząsają przytem wymownie puszkami na datki. Uchylają się kresowcy od tej narzucanej, a przeciw nim samym wycelowanej agitacji, niektórzy wydobywają z kieszeni białego orzelka na amarantowo-białej kokardce, przypinają go sobie ostentacyjnie do kłapy okrycia i oznajmniają z grzeczną ironją nagabującym ich „towariszczam“:

— Pod białym orłem — brak miejsca dla waszych znaków! —

Patrzą z podełba, mamroczą coś niezrozumiałego przez zęby, ale odchodzą.

To nieprawdopodobne zwikłanie podstawowych pojęć o ustroju społecznym, wyrażające się w przymuszaniu warstw kulturalnych do brania czynnego udziału w wytoczonej przeciw nim walce — przypomina scenę z wolnościowego pochodu w Moskwie, w pierwszych dniach rewolucji, z tą jednak różnicą, że tam — do-

broduszne kupiectwo miejscowe, z osławionego przez Lejkina typu „Nasi zagranicą“, szło dobrowolnie za niesionemi przez robotników fabrycznych, subjektów i wszelkiego rodzaju drobnych pracowników, sztandarami z napisem: — Precz z kapitalizmem! Żądamy zmniejszenia dnia pracy! —

Stojący w oknie hotelu, przejeżdżający przez Moskwę, krotochwilny Francuz brał się poprostu za boki ze zdziwienia i śmiechu, przyglądając się tym ciekawym objawom nowego, wolnościowego życia:

— Voyons! Voyons!! Quel drôle de pays! Że robotnicy demonstrują przeciw długości dnia pracy i krzyczą: — Śmierć kapitalizmowi! — to stara rzecz! I we Francji widzimy takie pochody i słyszemy takie pobożne życzenia! Ale dlaczego te bogate, poczciwe, opasłe „kupecziszki“ (kupcy) walą za takim sztandarem — nie pojmuję, na honor! Czy i oni pragną „śmierci kapitalizmu“?! Ah ah ah! C'est d'un comique inimaginable! Mais cela ferait rire une poule! Ah ah ah!...

Pomimo przykrego zgrzytu, wywołanego porannem starciem z natrętnem żołnierstwem, i nowego dowodu planowo zakreślonej walki — obchód Kościuszki udał się wręcz znakomicie. Teatr był przepelniony, a chociaż z powodu fatalnych komunikacyjnych warunków zaproszeni z Kijowa prelegenci i artyści przybyć nie mogli, zastąpiły ich siły miejscowe, wypełniając program ku ogólnemu zadowoleniu.

Apoteoza Kościuszki według scenicznego układu Wacława Skibniewskiego zakończyła uroczystość na-

rodowego obchodu. Przed stojącym na estradzie popiersiem wielkiego Polaka — przesuwali się przedstawiciele wszystkich stanów, składając mu w hołdzie wieńce u stóp. Szły dzieci z ochronek i szkoły ludowej, jak barwne kwiatki z kresowych pól — pochylali jasne, młodzieńcze czoła przed wodzem swoim uczniowie gimnazjum i organistowskiej szkoły — skauci maszerowali jak rycerzyki niezłomni — Mazurzy spleli dla „nacelnika“ wieniec ze złotych i srebrnych monet, złączonych drutem — delegaci kupiectwa, rzemieślników, kolejowców, profesorów, duchowieństwa, inteligencji miejskiej — tworzyli imponujący w patriotycznym nastroju i istotnem braterstwie klas orszak. Ziemiaństwo podolskie przedstawiali: Józef Starorypiński i niosący olbrzymi z purpurowych dębowych i klonowych liści wieniec — Jan Jodko. Oparł go ten ostatni o cokół popiersia i powiedział donośnie, zwracając się do całego zgromadzenia:

— W imieniu ziemian — cześć ci, przewodco narodu, któryś wskazał, jak rozproszone siły skupiać i kojarzyć należy! —

Apoteoza była niesłychanie piękna i wywarła głębokie wrażenie, a przed ostatecznem opuszczeniem zasłony wszyscy zebrani w teatrze zaśpiewali chóralnie:

„Boże, coś Polskę przez tak długie wieki,
 Otaczał blaskiem potęgi i chwały,

 Przed Twe ołtarze zanosim błaganie,
 Ojczyznę, wolność racz nam wrócić, Panie!“

Chłostani wichrem zagłady, o wolną, zjednoczoną ojczyznę błagali Pana nad pany, niepomni własnej niedoli i grożących ze wszecich stron niebezpieczeństw. Jął właśnie podówczas zsuwać się nieznacznie z grobu rozszarpanej Polski cmentarny, przywalający ją głaz... Ręka jednego z odwiecznych wrogów poderwała go z miejsca w zamiarze utworzenia dla swych politycznych celów powołanej do życia, acz okrojonej nadmiernie, polskiej państwowości, zrzucając następnie w logicznym rozwoju wypadków ów ciężki kamień grobowy na tę część dawnej Rzeczypospolitej, z której bił w niebo, wśród łun i pożogi — ofiarny hymn straceńców.

Skromna wieczerza w „stołówce“ zjednoczyła wszystkich, biorących udział w apoteozie. Zebrało się przeszło sto osób. Nastrój niezwykle serdeczny. Toastów moc. Pierwszy przemawiał Wacław Skibniewski, za nim sypnęły się mowy cywilów i wojskowych. Zatargał sercami obecnych oficer Polak, przyznający się łamanym językiem, iż służąc w wojsku rosyjskiem od lat już ośmiu, zapomniał o kraju i o swoich rodakach: — „Ja wot, dopiero teraz przebudził się prawdziwym Polakiem! I wstyd gryzie sumienie, że mógł ja tak długo żyć tem życiem niskiem, zwierskiem,¹⁾ że mógł ja wytrzymać w takiej zgniliznie, ja — Polak, ja — syn takiego sławnego narodu!“ — jak w gorączce się trząsł i wszystkich do głębi poruszył.

1) Zwierzęcem.

Rozentuzjasmowany podniosłością wrażeń, obdarty wielką swadą i łatwością słowa pan Jan Jodko, odpowiada często na różne przemowy.

Po wystąpieniu pułkownika polskiego, zachęcającego gorąco do formowania narodowego wojska na kresach, wznosi pan Jan płomiennie wygłoszony toast:

— Po Krechowcach, Stanisławowie, Kałuszu i Tarnopolu — braterstwo bez granic i opieka anielska nad męczennikami — oto nowe laury legionów polskich!

Poczem, wpadając w ton żartobliwy, z kieliszkiem w górę wzniesionym, wygłasza patetycznie:

— Wszechpotężny! Wszystko wie — wszystko widzi — wszystko słyszy — wszędzie jest! Niech żyje!

Na to rozbawieni biesiadnicy huknęli jak jeden mąż:

— Niech żyje ksiądz proboszcz Kazimierz Nosalewski! Niech żyje!

Włościanin z Hreczanej wystąpił na salę i zakrzyknął potężnym głosem:

— Niech żyje braterstwo i równość! — na co mu natychmiast odparł ze wzruszeniem i udzielającym się obecnym zapałem, pan Jodko:

— Kościuszko — nasz wódz naczelny — sprawił ten cud;

Iż po wiek będzie — z polską szlachtą polski lud! —

— Z polską szlachtą — polski lud! Wiwat! Wiwat! — huczały w sali szczytne prawdy, wypowia-

dane z najistotniejszą szczerością przekonań — i serca były mocnem, przyśpieszonym tętnem na cześć ideałów ukochanej Polski — ojczyzny!

Zaszczepiony wszelako w armji rosyjskiej szłał zniszczenia i mordy zbliżał się z huraganową szybkością wraz ze spływającym jak lawa frontem do ziem kresowych i niby ogień, szerzący się w płonącej prerji, podpełzał ze wszech stron ku oczekującym decydującego boju — na atakowanych rubieżach dawnej Rzeczypospolitej — strażnikom polskości.

UCIECZKA Z WŁASNEGU DOMU.

Kilkakrotne, ostrzegawcze brzęknięcie szyby w oknie, jakgdyby pod wpływem ostrożnego pukania w nią od zewnątrz, wyrwało Rożańskiego z czujnego, niepokojnego snu. Napół ubrany, usiadł w okamgnieniu wyprostowany na swej pościeli, nastawiając w ciemności ucho w stronę, z której ów sygnał czy alarm się niósł. I znów, głośniejsze tym razem, przyspieszone dźwięki zawibrowały w ciszy kancelarji, wyrzucając już gospodarza nagłym porywem z łóżka. Skoczył ku oknu, roztwierając szybko, umocowane tu odniedawna, solidne, dębowe okiennice i twarz aż spłaszczyl o szybę, chcąc dojrzeć koniecznie, co w mrokach nocy przed dworem się dzieje.

Dwie ciemne postacie zaruszały się tuż przy ścianie i na stuk odsuwanego w pokoju rygla twarz jakaś, niby czarna plama, przylgnęła również do szklanej tafli, wymawiając powolnym, wyrazistym głosem:

— Otworit, prosze pana!

— Hrehorko Waruszczak! — poznał odrazu Rożański. — Coś niedobrego się stało!... Ale co?!... —

kołowało mu w głowie, podczas gdy biegł przez ciemny salon, lekkim dotykiem wyciągniętych przed siebie rąk wyczuwając natychmiast, jak omijać należy znane od lat dziecięcych ustawienie mebli, i dążąc dalej do przedpokoju przez wąski przesmyk pomiędzy stołem jadalnym, a stojącymi szeregiem pod ścianą, ostrołukowymi krzesłami domowej roboty.

Wypadł wreszcie na ganek i drzwi staroświeckie z zasuw i podwójnego wielkim kluczem zamknięcia uwolnił, rozwarł je i sam się nazewnątrz z niecierpliwością wychylił. Dwie sylwetki, jakgdyby z czarnego płaszcza nocy wycięte, wsunęły się w okamgnieniu do domu, wpychając zpowrotem bez słów, z lekkim pośpiechem raczej, nieostrożnego gospodarza.

— Czego wy tu?! Mówcie! — rzucił Rożański krótko.

Chłopi przysunęli się tak blisko do niego, że w mroku listopadowej nocy zdali się tworzyć we trzech jedną, zwartą bryłę. Aleksander Martyniuk położył swą szorstką, suchą rękę na dłoni stojącego pośrodku pana Stefana:

— Nechaj pan tikajut (ucieka)! — szepnął mu wprost do ucha z przejęciem. — Pryjszoł do seła smertonosnyj otrad Jewłowa! Wsich „paniw“ kruhom ubywały budut po przykazu rewolucjonnoho komitietu! „Mohylnykami“ ich ludzie zwa, bo wszędy za sobą mogiły zostawiają!

Hrehorko Waruszczak, o pól głowy przynajmniej od Rożańskiego wyższy, pochylony ku niemu, kończył przekonywająco i z zalem:

— Ne możem my wid nych pana oberehty! ¹⁾ Zrazu, jak tylko przyjszły, szcze z weczera, wsim objawyły, szo kto bude im soprotywlatysia, ²⁾ to i muzykiw smert'ne mynuje ³⁾! Smertonoscy ony dla wsich — dla bidnych i dla burżujów!

— Wyjechać trzeba! Bezwzględnie! zawyrokował Rożański. — Czekajcież chwilę. Do Lityna, oczywiście, ale jak?!

— Nechaj pan za ce ne bezpokojatsia! ⁴⁾ My dlatego po nocy do dworu przyszli i nikt, ani żywa dusza o tem nie wieda, tylko jeden jeszcze pana i nasz przyjatel wierny, a taki, że jakby z niego skórę kto libo, niby z barana ściągał, to aniby piknął, gdzie pan i które to chłopcy pana pered neszczastjem osterehały! ⁵⁾ Szaraban panowy we trzech my do jaru, za ogrodem, pocichu zawlekli, a konie niedawno ze stajni wyprowadzili i on tam na nas ze wszystkim czekaje. Mykoły w stajni nie było, a Staśka my na hałaj, na bałaj zbudzili: — Nakładaj uprząż na Bakłarzany! — Poco?! Noc. — Tobie można powiedzieć. Pana chcą zabić! Wywieźć trza! — No, to ja powiozę. — Nie. Do Lityna daleko i ciemno. Nie znasz tak drogi. Powiezie inny. A ty jutro rano z Nastasią do pana i tam już zostaniesz. On zaraz w stanek. Odpina

1) Obronić.

2) Sprzeciwiać się.

3) Śmierć nie minie.

4) Nie kłopotce się.

5) Ostrzegali.

konie, a gada do nich, a klepie, choć uprząż nakłada, jakby z dziewczką się żegnał.

— Uberajtesia chutko,¹⁾ prosze pana, i prychoďte w cej jar, szo zdawna panu wiadomy, a my tam na pana czekaty budemo — poruszyli się ku wyjściu, gdy wtem Martyniuk dodał śpiesznie półgłosem:

— Oficerów tych, co we dworze kwaterą stoją, obudźcie też, panie! Ich takoz zabić te smertonoscy chcą za to, że burżujskie dobro sterehły pered narodom! Pospieszajće, pane! Nechaj Boh szczastywo provede (przeprowadzi)! —

— Idźcie z Bogiem — rzekł prawie machinalnie Rożański, myśląc już o tem, jak ma w tej krótkiej chwili zlikwidować dawne swe życie, a rozpocząć nowe. Zamknął drzwi za chłopami tylko na klucz i szybkim krokiem, w półmroku, do którego już nieco przywykły oczy, wszedł z przedpokoju na długi korytarz i zapukał głośno do pierwszych drzwi. Bezpośrednio prawie młody, energiczny głos zapytał śmiało: — Kto tam?! — i przez szczelinę w drewnianej tafli łyśnęło blade, przed chwilą zażgnięte światelko.

— Gospodarz — rzekł zwięźle Rożański. — Złe nowiny. Otwórzcie!

Tupot bosych nóg posunął się w mig ku drzwiom, klucz obrócono gwałtownie i jednocześnie z wejściem pana Stefana ruch się uczynił w pokoju, którego jedyne okno zasłonięte było ciężką, sukienną zasłoną.

Dwaj oficerowie 234 pułku, który na dłużej zatrzy-

1) Prędko.

mał się w Szamrajówce, wciągali już wysokie, obcisłe buty, na spodnie wojskowego ubrania, w którym spali, a przystojny, eks-cesarski pułkownik Wielkoborski stał przed Rożańskim bosi, w mundurze bez szlif, wpatrując się weń niespokojnie.

— Śmiercionośny oddział Jewłowa jest od wieczora we wsi i chce „zlikwidować“ życia panów i moje — wyjaśniał szybko gospodarz. — Chłopi przyszlizli mi ostrzec przed chwilą.

— Trzecia godzina w nocy! — zerwało się z ust oficera Gafenko, tak mimowiednie, jakgdyby ktoś inny za niego te słowa wymówił.

— Szaraban czeka na nas w jarze, tuż za moim ogrodem — ciągnął dalej Rożański, nie zważając na ten wykrzyknik. — W najkrótszym możliwie czasie musimy być gotowi do drogi. Przeprowadzę panów do jaru, a tam — pojedziemy w świat!

— A nasi ordynansi! — zawołał gorąco porucznik Kaszczuk. — Jeśli ich ten zdziczały oddział znajdzie jutro z rana we dworze, to mogą również paść pomordowani za to tylko, że byli sługami „burżujskich sług!“

— Prawda! — potwierdził Gafenko. — Żalby ich było! Ostrzegali nas zawsze przed mającym być buntem w pułku i naprawdę zawdzięczamy im nasze życia.

— Więc pobudźcie ich, panowie, co prędzej! — doradził niecierpliwie Rożański. — Śpią przecież we dworze. Niech umykają do przyjaciółek, „Moskalek“, których mężowie nie wrócili dotychczas z frontu,

a które tu na pewno po chatach mają. Te ich za swoich „czołowików“ przebiorą i ani Jewłow, ani sam djabel w tem wszystkim się nie rozwikła! Tylkoż uwaga przed Onyśkiem! Pewny jego tak bardzo nie jestem, a kredens niebardzo daleko. Całe szczęście, że baby ze strachu przed napadami nie śpią we dworze, tylko w piekarni! Prędeż, panowie! — i, pochwycając sobie leżące na stole pudełko zapalek, przyświecając sobie niemi w ciemnym korytarzu, Rożański dostał się do swej zacisznej, faworytalnej kancelacji. Zaryglował natychmiast starannie niedomknięte okiennice, świecę zapalił, przy skrytce, niewidocznie ukrytej, czas jakiś strawił — poczem wydobyty z niej spory zwitek carskich pieniędzy wsunął w cholewę buta. Oglądając się dookoła i z gwoźdźcia w przednią łapę haftowanego tygrysa wbitego, wizerunek Matki Boskiej Łatyczowskiej na blasze zdjął i szerokim ruchem kilkakrotnie nim dom, folwark i całe obejście myślą obiegłszy — przeżegnał, chowając następnie głęboko do jakiejś bocznej, wewnętrznej kieszeni. Już wszystko Jeszcze kożuszek i czapkę na siebie wdział, ogarek zdmuchnął i znów poomacku, w obawie, by światło z nieosłoniętych okien reszty dworu nie zwróciło nań zajądłości żołnierskiej, dotarł do przedpokoju. Tu — w krótkim czasie ściągneli i trzej wojskowi z niewielkimi tobołkami w ręku. Wyszli wszyscy przed drzwi i pan Stefan za sobą drzwi cicho, jakby od opuszczonej świątyni zamknął i klucz do kożuszka weisnął. Ciemność na nich z góry spłynęła i ogarnęła z boków, niby nieważka, a przenikająca fala. W milcze-

niu ponurem posuwali się trzej oficerowie wślad za Rożańskim, który nakształt podwodnego nurka znakomicie się orjentował w tym powietrznym, wzrokiem nieobjętym oceanie. Szli długą aleją topolową. Czarne od jesiennej żałoby, schłostane niedawnym deszczem, jak piramidy strzelające wzwyż gałęzie drzew, poruszane uporczywym wichrem, szeleściły nad nimi melancholijne, listopadowe recitative. Równie posępne myśli szamotały się w ich głowach, tworząc pod wtór szemraniom odartej z piękna natury leit-motywy niewysłowionej beznadziejności. Zastuchani w nie, ze zdumieniem spostrzegli, iż Rożański zniknął im nagłe z oczu.

— Mur ogrodowy! — doszedł ich głos jego, gdzieś z dołu. — Przeskoczcie, panowie! Z tamtej strony — niewysoko, a tu — miękko, bo rola pod buraki zorana!

W milczeniu ten nakaz spełnili i wdół podażyli do jaru, zagłębiając nogi w głęboko spulchnione brózdy, których jeszcze mróz nie ściał w ostre krawędzie. Schodzili tak coraz niżej, aż wreszcie jakiś czarny, zgęszczony kształt coraz wyraziściej jął się zamieniać w wysoką brykę i parę rosnących, zaprzęgniętych do niej koni. Dwóch ludzi majstrowało coś przy uprząży — trzeci siedział na koźle. Bystry jego wzrok i zaostrzony jakby u czerwonoskórego mieszkańca preryj słuch — dawno już uprzedziły go o zbliżaniu się męskich kroków.

— Chwałyty Boha, szo dożałalsia paniw! — przywitał podchodzących wędrowców życzliwym tonem.

Niehamowane westchnienie ulgi wypłynęło przytem z pod sumiastych wąsów.

— Danilczuk?! Ce ty?! — zapytał żywo pan Stefan.

— Ja. Powiozę danów do Lityna. Pamiatajut pan, jak my razem tam jeździli jeszcze w auguście (sierpień) znaleźć dla pana, ot tak, na każdy wypadek — jakuś prykmetu?!¹⁾ Zdadzą się teraz te dwa pokojczyki z kuchnią?! A?!... Starego zawsze trza słuchać!

— Zdadzą się, jeżeli i do miast śmierć za nami nie poczapie! — mruknął Rożański dość obojętnie.

— A na drogę my dla was dwie świty muzykie i dwa kozuchy przytaskali. Naciągnijcie na siebie to zrazu, żeby nikt ani podumał, jakie to burzuje i oficyry jadą! Zawsze bezpieczniej — chociaż was Łukjan aż pod sam Lityn horod (miasto) polami taj suhołowkami (miedzami) przewiezie. Siola objeżdżać teraz trza jak cholere, bo wszędy sołdaty stoją, a takie już czasy straszenne, że sołdat, a muzyk niejednen, a wilk — to jedno! — Takie porady i ostrzeżenia dawał uchodźcom Aleksander Martyniuk, a tak był przejęty tą nocną ucieczką Rożańskiego z pod własnego jego dachu, że wyprawiał jadących jakby rodzone dzieci — z trwogą i żalem nad ich tułactwem.

— Aleksander! Klucz od dworu. Tobie oddaję. Weź. — Głos pana Stefana zadrżał. — A tu jeszcze masz folwarcznych pęk. Od stodoły, od magazynu, brama, kuźnia...

¹⁾ Punkt oparcia.

— Dobrze, proszę pana. Za ce, nechaj pan ne bezpokojsia! Koły pan wernutsia, chociaj za sto lit — vse tak bude na miści stojało, jak pan jeho ostawły! A zawtra ja panu sam prywezu furmana, kucharku, Onyśka i wsiakaho chliba i omasty do toho, szob pan ne hołodowały! 1)

Oficerowie siedzieli już na szarabanie, owinięci w chłopskie świty. Pułkownik Wielikoborski w samym kozuchu, wysoki i zgrabny, wtulił swą rasową twarz w miękkie kudły barankowego kołnierza. Rożański ścisnął mocno ręce żegnających go chłopów i skoczył na bryczkę. Wśród powtarzanych przez podróżnych słów, pełnych rzetelnej wdzięczności, konie z mozolnym wysiłkiem jęły się piąć wolno pod wysoką górę.

— Jidte szczęsływo! Jidte szczęsływo! — padały za nimi szczerze życzenia, stojących na dnie jaru, dwóch wiernych przyjaciół.

Jeszcze raz — już ze znacznej oddali, doleciało uszu Rożańskiego, jakby ostatni liść z podciętego drzewa nadziei, wyłącznie dla niego przeznaczone wezwanie:

— A wertajty-sia zdrowi, ta szczęsły-y-wo! Szczęsły-y-wo!!!

1) Nie byli głodni.

XVI.

PRZEŁOMOWA NOC.

Jechali czas jakiś w milczeniu, pochłonięci rozważaniem wewnątrz tej nowej zgoła sytuacji, wysyłając napróżno myśl na szlaki nieprzeniknionych zagadek. Tylko czarność nocy poddawała się ich wdali biegnącemu wzrokowi, jakgdyby rzednąc wskutek dłuższego w niej przebywania.

Wreszcie porucznik Kaszczuk, usiłując rozproszyć nużącą tę ciszę zapytał żywo Rożańskiego:

— O czym tak myślicie, Stefanie Michajłowiczu?

— O chwili powrotu do swego domu!

Kaszczuk zaśmiał się z odcieniem melancholijnej ironji:

— Ot z was — marzyciel! — lubieźnyj nasz ekschazajin!¹⁾ Jej Bogu! Romantik, nie gorszy od typicznego Ewgenija Oniegina! Jeszcze my „nawierniaka“ od śmierci nie uciekli, a wy już o tej niemiłej nagonce zapominacie i może znowu w błogie dary rewolucji wierzycie?! Rzućcie te płonne marzenia!

¹⁾ Uprzejmy nasz gospodarzu!

Długie lata przemina, zanim wy w spokoju do domu, a my do pułku naszego wrócimy!

— W tem właśnie rozszaleniu się najgorszych żywiołów tkwi ta okropna beznadziejność nawrotu ku czystem istotnie i świętym hasłom rewolucyjnym — poparł kolegę Gafenko. — Spójrzcie, panowie! Tam i sam, na horyzoncie, różowieją łupy dalekich pożarów, a przecież i z Szamrajówki codziennie prawie obserwowaliśmy słupy ognia, niby wulkany, wybuchające po sąsiednich folwarkach! Hulają żołdacy, namawiają do rabunku ciemne chłopskie tłumy, a te chętnie się tym wpływom poddają, bo: „Wszyscy — to znaczy nie winien nikt!“ To ich filozofja, a kraj na cały szereg lat zniszczony i zubożały — to wzdor!¹⁾

— Przekłęta rewolucja! — zaklął sarkastycznie Kaszczuk. — Zaciągnąłbym się teraz papierosem z rozkoszą, a pomimo, iż sami tu na tych obszarach jesteśmy, nie mogę tego uczynić z podłego strachu, że ktoś może zdaleka ten ogienek podpatrzy i zleci nam jeszcze na karki banda nowych „mohylnyków“! Te ogniste rakiety nie szkodzą nic szczęściu „narodu“ — zato papieros w ustach znienawidzonego oficera, to pożar istotny, groźny w następstwach dla wyzwalającej się Rosji!

— Ostro gryziecie, kolego, ale słusznie — wmieszal się do rozmowy milczący dotychczas pułkownik. — Dalibóg! przypominają się mimowoli słowa

1) To głupstwo!

rannego po zamachu Stołypina, gdy wynoszono go z gmachu kijowskiego teatru:

— I oni myślą, że w ten sposób zbawią Rosję!

— Wiecie — odezwał się Gafenko z zapalem. — Gdybym się nie bał, że zadrwicie z niemęskiego mego sentymentalizmu, rzuciłbym się był tym szamrajowiczkim chłopom na szyję — tam, w jarze — i wyściskałbym ich jak swoich najbliższych. Kto wie?... Możeby i łza jakaś do oka podplynęła?... Jacyż to zacni ludzie! A ja tak dawno matki swej nie widziałem! Sama została — obaj synowie na wojnie. Bóg jeden wie, jaki jej los! Majątek ziemski w Chersońszczyźnie mamy...

Danilczuk poruszył się na koźle i odchrząknął mocno, jakgdyby go w gardle zadławiło przy tych szczerych i ciepłych wynurzeniach młodego chłopca. — Detyna to jeszcze! — pomyślał. — Ile to może mieć lat?... Dwadzieścia — a tam może dokinuty szcze dwa, trzy hodoczki...¹⁾ a jakby piat' (pięć) najbilsze, to i tak „mołokosos“ — taj hodi! I takiego szczyrego panycza ubiłyby te rozbójniki we dworze, jakby jego w swoje ręce dostały! — cmoknął na konie z głębokiem zadowoleniem, że i on przyczynił się do zniweczenia morderczych planów.

Bryka tymczasem wydostała się już z jaru i z krętych, wąskich „suhółków“²⁾, któremi prowadził ją po mistrzowsku wśród ciemności woźnica, obdarzony

1) Dorzucić dwa, trzy latka.

2) Miedza.

jakgdyby jakimś szóstym zmysłem wyczuwania kierunku i zwrotów pomiędzy szerokimi polami. Konie skręciły na bity gościniec i biegły równym, nieśpiesznym truchcikiem. Chwilowe milczenie zaciążyło powtórnie nad jadącymi ludźmi.

— Dziwny zbieg okoliczności — przemówił nagle pułkownik Wielikoborskij. — Czterech nas tu się zebrało — czterech przedstawicieli wyganianych, prześladowanych, mordowanych klas społecznych. Wy — Stefanie Michajłowiczu — krwiopijca — pomieszczczy! My trzej — oficerowie eks-cesarskiej armji. I jednak was, osaczonego ze wszystkich stron „didycja“ (dziedzica), wywożą z domu własni wasi chłopci, przez was niby tak okrutnie uciemienieni! Kaszczuka i Gafenkę bronili od rozpasanych żołdaków podwładni im ordynansi, a ja żyję dotychczas dzięki garstce żołnierzy mego pułku, którzy nie tylko nie pozwolili na skazanie mnie na śmierć, ale wmówili jeszcze w resztę „towariszczej“, że za czasów cesarskich byłem zawsze ich prawdziwym obrońcą i przyjacielem.

— Wybaczcie, pułkowniku, że wam przerwę na chwilę — zawołał Rożański — ale to mi przypomniało naszych ordynansów, którzy tyle czasu w Szamrajówce, we dworze przestali, a tak niezmiernie wiernymi i uczciwymi się okazali! Czy obudziliście ich, panowie?

— Wszystko się stało wedle waszych przewidywań, Stefanie Michajłowiczu — zaśmiał się wesóło Gafenko. — Zaraz po waszem wyjściu z pokoju po-

szliśmy z Kaszczukiem tarmosić ze snu naszych „dieńszczyków“. I co powiecie?! Co za czasy obmierzłe, kiedy nawet takie zdrowe chłopczyśka mają nerwy brzęzące, jak rozklekotana basetla! Zaledwo drzwi otworzyliśmy, już jeden poderwał się z tapczanu, jakby go piorun w głowę trzasł: — Gotów, gotów, wasze błagorodje! — Do czego ty gotów, idjoto?! — potrząsa nim Kaszczuk. — Zbieraj się i idź razem z tymi trzema ospalcami do wsi, do waszych znajomych. Niech was pod pierzynę schowają, bo tu smiertonocy zaleźli i nas wszystkich na pożarcie robakom chcą dać! — Ot, dranie! Wasze błagorodje! — Tamci trzej skoczyli także ze swoich sienników i do nas się garną: — A z wami to jak będzie, wasze błagorodje?! A?! Bo my — to choćby przez to okno — w sad, do sióła, a tam — końce w wodę i dobrze! Ale wy — jak sobie pomoc dacie?! — Ja już otworzyłem powoli okno, a Kaszczuk znowu do nich: — Niech już was o to głowa nie boli! Ze Stefanem Michajłowiczem jedziemy! Wyłaźcie prędzej, żeby tu po was nie zostało do jutra nawet juchtowej woni! A niech te dobre kobiety, co was przygarną, za nas szczodrze zapłacą, bo — jej Bogu — my wam możemy tylko powiedzieć: — Spasibo, za wszystko, rebiata!¹⁾ — Tak mój kolega podrwiwał niby wesoło, ale naprawdę i on i ja — mocno byliśmy „wzwołnowani“²⁾, a i tamte poczciwe zuchy, jak

1) Dzieci.

2) Wzburzeni.

błądnie w to okno leżeli. — Wasze błagorodje!... przywykli my do was!... Żałko ostawiać!... Czort wie, co się w tej Rosji wyrabia!... — Prędzej, prędzej! — Kaszczuk ich przynagłał. — Chcecie, żeby się nami w tym stawie raki nażarły? Tym smiertonoscom sobaczym wszystko do łba przyjść może! Z Bogiem, rebiata! — Zsunęli się do ogrodu i zaraz jakby ich nie stało, a ja okno porządnie zamknąłem i na przedpokój z Kaszczukiem my poszli, do was, Stefanie Michajłowiczu.

— Dalibóg! — rzekł pułkownik z zadumą. — I śmiać się chce człowiekowi i zapłakać nieraz-by rad! Bo wszakże pomyślcie, panowie — rewolucja praw tego ludu, tego szarego żołnierstwa, tego ciemnego plebsu ma bronić — tyranów dotychczasowych w pył skruszyć, obrońców jego, przyjaciół, wodzów — podnieść, zaszczytami obsypać, na stanowiska naczelne postawić. Więc po jakiegoż djaska my czterej, których kocha bezsprzecznie ten lud, ten żołnierz — uciekamy teraz w nocy przed bandą mścicieli, jakgdybyśmy wrogami, ciemieżcami, wyzyskiwaczami tego bronionego przez nich proletariatu byli?! Co, panowie?! Kto mi na to odpowiedź da?!

— 10 listopada — odezwał się Rożański posepnie. — Do końca życia nie zapomnę tej daty mojej ucieczki z ukochanego gniazda, mego wygnania, mojej tułaczki!... I zaco?!... Tak, pułkowniku! Dobrze mówicie. Zaco?! A jakie to przytem rozpasane bestjalstwo! Zważcie, panowie: Rosjan mordują i wypędzają zarówno jak i nas. W tem jest zasadnicza różnica z rzą-

dem caratu, który — choć w rękawiczkach, coprawda — ale systematycznie wyciskał Polaków z kresowych obszarów. I na jakiej historycznej podstawie, dalibóg, nie pojmuję! Gdzieżeście byli wówczas, Wielikorosy¹⁾, kiedy tu, na tej ziemi, całe rody polskie tak się kładły pokotem na polu walki z Tatarami, albo w jasyrze marniały, że nieraz tylko w herbarzach pamięć o nich została! Gdzieżeście byli, gdy osadnicy polscy w pocie czoła przed wiekami w te odporne calizny pługi swoje z nadludzkiem natężeniem wrzynali, futorki w uroczyskach zakładali, szablę jednocześnie nierdzewiejącą nad łóżem ze skór trzymając, by w każdej chwili na koń skoczyć, Tatara i Turka nią gromić, lud ruski z niewoli odbijać, przed pohańcem napadającym ochraniać?! Panowie! Nie dysputę jakąś zawiął tu rozpoczynam. — Boże chroń! Biegłym w dialektyce nie jestem — pobilibyście mnie odrazu! Wspólna niedola nas połączyła. Wiecie już teraz, czym jest prześladowanie, które się nie da usprawiedliwić rozumem, więc jak do ludzi prawych zwracam się do was i pytam: Dlaczego chcieliście nas przedtem z tego kraju pracą i krwią przodków okupionego — wypędzić?!

— Wielikoros, czy Małoros — wszystko jedno Ros! — odparł w formie tłumaczenia nacjonalistycznych zasad Kaszczuk.

— To jest temat do niewyczerpanej dysputy — zawyrokował pułkownik. — Ja wam powiem, że na-

1) Rosjanie.

sza historia rozpoczyna się od Światosława i Włodzimierza Świętego, a wy mi powiecie, że wedle Nestora Kijów, o wiele przedtem, należał ze swą ziemią do Polan. Rozstrzygać winna nie bałamutna przeszłość, ale stan chwili obecnej: bogaty Jugo-Zapadny kraj, skarbnica głodującej niekiedy Rosji środkowej, gniazdowy żywioł — Rusini, prawosławnego wyznania. Oto podstawy do najdalej idącej asymilacji, bez względu na słuszność, być może, praw polskich. Przytem, system rządowy — to jedno, a sympatje narodu, to znowu rzecz całkiem inna. Słyszałem zaś od Koziell-Poklewskiego, który miał na Syberji ogromną fortunę, że ludność tamtejsza odnosiła się do polskich politycznych przestępców z istic braterskiem współczuciem i z prawdziwem poważaniem.

— Tak było istotnie — przyznał Rożański. — Miałem na wygnaniu wuja, który, powróciwszy po jakiejś amnestji do kraju, zachowywał do końca życia najserdeczniejsze wspomnienia o kupcach Rosjanach w Irkucku. Pisywali nawet do siebie, nazywając się w listach wzajemnie: Drogi przyjacielu! Ale, co się tyczy kwestji polskiego tu bytowania, to powiem znowu otwarcie, że pomimo urzędowej tu waszej władzy, kultura i rozkwit kraju wychodziły wyłącznie od Polaków. Ojciec mój, który umarł w podeszłym wieku, był w swoim czasie żywą kroniką ubiegłych dziejów życia na kresach. Nasłuchaliśmy się nieraz w ciągu długich wieczorów zimowych przy trzaskającym ogniu kominka tyle ciekawych jego opowieści, że powstawał przed nami barwny obraz mi-

nionych lat, a tak interesujący i ruchliwy, jak zmieniający się co moment film. Przed 1863 rokiem posiadaliśmy w tym kraju największe i najpiękniej zagospodarowane dobra i wyższą kulturę umysłową, — byliśmy siłą.

Od urzędników obieralnych, Polaków wówczas, wymagano nie reprezentacji, ale znajomości rzeczy, jak największego oddania się sprawom społecznym, gdyż rozbudzone kwestją włościańską i projektowaniem zniesieniem poddaństwa życie wywoływało nowe zabiegi i krzątania się koło zagadnień materialnego i moralnego bytu. Pamiętam słowa dziada, jakgdyby je wczoraj wymawiał: — „A przedewszystkiem czujność — na objawy społecznego i rodzinnego życia!“ Czujność tak wielka, że powołane zostały do urzędujących marszałków rady powiatowe z kilku osób złożone i polubowne sądy, które wszelkie nieporozumienia zarówno majątkowe jak osobiste załatwiać miały, z uwzględnieniem szczególnem stosunków panów do włościan. Bo nie wiem, czy wam wiadomo, panowie, że Polacy kresowi brali żywy udział w pracach „komitetów włościańskich“, mających za cel oswobodzenie chłopca z poddaństwa? Ale może nudzę panów naszymi dziejami na kresach?

— Mówcie dalej, Stefanie Michajłowiczu! Mówcie, proszę was serdecznie! Nie macie pojęcia, do jakiego stopnia lubię „byłoje“! Ta barwa odżytych już lat ma dla mnie osobliwy wprost czar! — zachęcał z żywością Gafenko.

Siedzący obok na tylnem siedzeniu Kaszczuk po-

klepał go parokrotnie po ramieniu: — Miłyj mój družok — miłyj Kola, pastuszek! — przeciągnął śpiewnie z odcieniem przyjaznej wyższości starszego kolegi.

— Czy lepiej nurzać się w topieli beznadziejnej rozpaczy? — odparował to draśnięcie młody wojskowy. — Ja wolę ujść myślą przynajmniej, w ciekawszy świat. Zresztą — noc taka głucha — nic ci nie grozi, chwilowo, co prawda, więc nastaw uszy i słuchaj!

— Opowiadajcie, Stefanie Michajłowiczu! — wtórował mu pułkownik. — Mnie to istotnie zajmuje. Należę do tych Rosjan, którzyby z zadowoleniem ujrzeni ostrze waśni rosyjsko-polskiej stępione, po drugie zaś — stosunki na kresach nie są mi całkiem obce. Wujostwo moi posiadali prześliczny majątek na Ukrainie, w taraszczańskim powiecie, i co roku zjeżdżali tam na wakacje, ściągając za sobą grono przyjaciół i krewnych. Bywałem tam i ja na kilka lat przed wojną japońską, jako młody, nieżonaty jeszcze cesarski gwardziejec. Chodziliśmy na dalekie spacery, zachwycając się okolicą i starodrzewem dębowym: Allons promener! — dwa razy dziennie ten okrzyk, niby capstrzyk wojskowy, skupiał nas rozproszonych w ogrodzie i domu i w pola, w lasy wspaniałe gnał!

Copravda — próżnowaliśmy wszyscy na potęgę! Zajadaliśmy poziomki, truskawki, maliny, kurczęta, indyki, bekasy, kuropatwy — w miarę jak na te pyszności podchodziła odpowiednia pora ukraińskiego

lata i jesieni, a z pierwszym chłodem i błotem — wracaliśmy do nadnewskiej stolicy. Majątek był w dzierżawie — pracy żadnej wuj weń nie wkładał. Patrzyliśmy na tę wieś ukraińską, jak na powtórzenie, tylko w naturze i w szerszych nieco ramach, owych melodramatów chłopskich, przedstawianych przez trupę małorosyjską Kropiwnickiego na różnych scenach imperjum. Przytem była to znakomita lokata pieniędzy, zasilająca, jako wysoka dzierżawna tenuta, „rachunki bieżące“ wuja w petrogradzkich bankach. Dzierżawcą był Polak i ten harował od świtu do nocy, uprawiając świetnie oddane mu pola. Utrzymywaliśmy rzadkie, ale przyjazne stosunki z kilkoma okolicznymi polskimi dworami. Był to, jakgdyby wyraz wdzięczności z ich strony za istotną życzliwość wuja mego dla Polaków wogóle i za popieranie jego szerokim, senatorskim wpływem spraw, związanych z ułatwieniem bytu polskości w Jugo-Zapadnym kraju. Zdarzały się niekiedy jednak niemiłe zajścia, w których byliśmy wszyscy, jak to u nas określają: — bez winy — winowatyje (winni)! — Polacy bowiem trzymali się na tych ziemiach z taką jakąś chłodną nieprzystęnością, że widać ich było jakoby za szklaną ścianą, a przeniknąć do wnętrza ich domów stało się dla Rosjan prawie niepodobnem! Pojechaliśmy więc kiedyś pakownym, żółtym powozem w sąsiedztwo na podwieczorek, a trzeba wiedzieć, że brat wujenki był generał-gubernatorem kijowskim i różnił się tem od siostry, iż w rękawicach jeżowych całą polskość w tym kraju zdusiłby rad, za-

miast tak jak ona — na zgodne współzycie dobrodusznie zezwolić.

Trzebaż wypadku, że w dworze owym zastajemy krewnego gospodarzy, wysokiego, szczupłego mężczyznę, o srebrnej brodzie i włosach, powstańca 1863 roku, który, dowiedziawszy się znać od służącego, jacy to goście z wizytą zjechali — wita nas podczas wzajemnej prezentacji tak sztywno wyprostowaną postacią i lekkim pochyleniem głowy, że nie ośmielamy się wprost podać mu ręki. Zmieszani gospodarze podsuwają fotele, zapraszają nas do zabrania miejsc, ale pomimo towarzyskiego wyrobienia zebranych — dialog się, oczywiście francuski, nie klei. Wyrazista, mądra i piękna twarz powstańca¹⁾ protestuje swym niemym, kamiennym chłodem przeciw obecności „Moskali“ w tem gnieździe polskości, za którą on przecież krew własną przelewał i na Syberji, w katordze się męczył. To ostatnie zdołała szepnąć wujence taktowna pani domu, pragnąc jako tako wyjaśnić lodowate milczenie jednego z gości. Natychmiast po nużącym dla wszystkich podwieczorku, wuj szepnął do mnie:

— Każ zaprzęgać! Il faut battre en retraite! Usunmy się nieznacznie! W powozie już, w powrotnej drodze, siostrzeniec ciotki, młody graf Nirod skonstatował bezstronnie:

— Szanuję tego powstańca. Et au bout du compte on ma sùszność ze swego punktu widzenia! My-

¹⁾ Tym powstańcem był ś. p. August Iwański (senjor).

byśmy byli nielepsi, gdyby nas tak Polacy podbili! A przytem, z ręką na sercu, przyznać należy, że ten „diadia Trepow¹⁾“ to malarz nielada! Onby tak cały ten Jugo-Zapadnyj Kraj świeżym pokostem „obrusienia“ wszerz i wzdłuż pociągnął, jak dobry majster stary dach nową farbą smaruje! A przecież widzimy sami, ilu tu jest oddawna Polaków!

Zaśmiali się wszyscy na głos, gdyż Nirod był ulubieńcem wujostwa i wszystko było mu wolno, nawet takie uszczypliwe aluzje do brata wujenki! Śliczny był chłopak! Wysoki, smukły, a rysy!... Istny Apollo! Zginął potem w bitwie morskiej pod Cuszimą!... Pamiętam jeszcze jedno zdarzenie, charekteryzujące doskonale mimowolną niechęć do nas Polaków tutejszych. Ale rozgadałem się na dobre i zabieram wam głos, Stefanie Michajłowiczu. Doprawdy, wbrew to elementarnym zasadom przyzwoitości!

— Mamy czas! Posłuchamy was chętnie, pułkowniku, a potem przyjdzie i na mnie kolej!

— Zgoda! Wracam więc do tych chwil tak spokojnych, tak pełnych nieustającego bezpieczeństwa, że jakiś mord, jakaś nagła zbrodnia poruszały opinię publiczną, nie mówiąc już o sforze policjantów i detektywów, wyteżających wszystkie siły, tropiąc i ujmując wreszcie szkodliwych złoczyńców. I gdzież się podział ów spokój niebiański w porównaniu z rozgorzałem piekłem dni dzisiejszych?!... Niestety! Prze-

1) Generał-gubernator kijowski, znany polakożerca.

padł — ostygł ślad nawet jego!... A więc — przyjechali kiedyś do moich wujostwa na cały wieczór sąsiedzi z innego polskiego dworu. Była wśród nich młodziutka, strasznie żywa i wygadana panienska. Wuj — jako starszy człowiek — lubił niezmiernie takie miluchne pączki, zaczął się tedy z nią przekomarzać, żartować, usiadł przy niej w czasie kolacji i dalej że, dalej — wdał się w jakieś dysputy, egzaminował ją z historii polskiej, twierdził, że Polacy niedość cenili Stanisława Augusta... Tu się panienska zaperzyła, aż strach! Nazwała go zdrajcą ojczyzny, królem niegodnym sławy swych dawnych jagiellońskich poprzedników, „pantoflarzem“ obcej carowej, modnisiem i elegantem we francuskiej peruce! Wuj się śmiał rozbawiony i przypatrywał się tej czupurnej panience, tak różowej i białej jak kwitnąca jałbłonka. Dogadywał jej znowu. Pytał, czy to w Krakowie takich wiadomości historycznych nabrała, dowodził nawet zupełnie serjo, że jako ostatniego króla, wartoby Stanisława Augusta na Wawel przenieść...

Tego już było panience za wiele. Zwróciła się nagle do wuja i palnęła mu bez namysłu: — Grattez le Russe — vous trouverez le Tartare!

Siedzący naprzeciw niej przy stole jadalnym wuj tej panienski, działacz społeczny, ratujący majątki polskie od przymusowej sprzedaży, wdzięczny moim wujostwu za niejednokrotną pomoc w różnych sprawach w stolicy, wysoki, suchy, o rysach orlich i męskich — spiorunował ją takim wzrokiem, że stanęła

odrazu w ogniu. Spostrzegła zresztą sama, zanim skończyła francuskie przysłowie, jaką fatalną niezgrabność towarzyską popełniła.

— Il faut être sur ses gardes en citant les proverbes, n'est-ce pas, mademoiselle? — rzekł bez cienia obrazy mój wuj.

Wszyscy bowiem wiedzieliśmy doskonale, iż tylko żywość i młodzieńcze podniecenie dysputą, rażącą jej patrijotyczne uczucia, były powodem tego niestosownego wybuchu. Żalowaliśmy nawet ją bardzo, gdyż ów srogi wuj musiał jej w domu pamiętną zapewne lekcję savoir-vivre'u wygłosić! Miłeż to były czasy! Po kolacji chodziliśmy często nad staw posłuchać koncertu żab, dokuczając przytem jednemu z „petersburszczanów“, że o wiele jest efektowniejszy od jego biegłego muzykowania. Olbrzymi staw szemrał cicho i śpiewnie, żaby rechotały z zapalczywością, godną daleko ważniejszej sprawy, a księżyc pluskał się w wodzie, niby kawał złota, oplókiwany przez niewidzialnego, szczęśliwego kopacza... Rozmarzyłem się i ja, wracając myślą do młodych, wesółych lat! Jeszcze i mnie gotowa spotkać apostrofa od porucznika Kaszczuka. (Nigdybym nie ośmielił się! — wtrącił śpiesznie młodzieniec.) Widocznie ta cicha noc i uczucie zadowolenia, żeśmy umknęli przed chwytem potwornej śmierci — tak mnie nastrajają przedziwnie!... Już dość! Oddaję wam głos, Stefanie Michajłowiczu, lecz dla wznowienia waszego poprzedniego opowiadania ośmielę się zaznaczyć, że nietylko Polacy przyczyniali się do rozkwitu tego kraju, ale

i graf Bobrinskij, Rosjanin, skoro urządził najpierwszą tu fabrykę cukru w Smile.

— Jesteście w zupełnym błędzie, pułkowniku. Mylnie was poinformowano. Wszystkie sprawy ekonomiczne „Jugo-Zapadnawo kraju“, jak wy to nazywacie, czyli Podola, Wołyńia i Ukrainy — są mi znane dokładnie, a cyfry mają dla mnie wymowę wprost czarującą, zapewne taką jak dla poetów — słowa. Uważam bowiem, że tylko mocna podstawa ekonomiczna trwały byt nam tu zapewnić była w możności. Przestudjowana tedy przeze mnie kwestja cukrowniczego przemysłu na Rusi przedstawia się tak: Najdawniejszą tu cukrownią jest fabryka w Troszczynie, w roku 1826 przez Poniatowskich wzniesiona. Cukrownie zaś zbudowane w Smile sięgają roku 1838, a więc są późniejsze o 13 lat od najpierwszej polskiej, z o 12 lat od cukrowni w Berszadzie, w 1827 przez hr. Moszyńskiego założonej. Wreszcie hr. Potocki wznosił fabrykę cukru w Orłowcu na Ukrainie. Założycielami więc owego przemysłu na Rusi byli bezsprzecznie polscy ziemianie, którzy po zawodowe wiadomości udawali się do Francji, gdzie w tym czasie cukrownictwo było najbardziej udoskonalone, lub też jechali na Litwę, do Karola Szpakowskiego, prowadzącego w swojej cukrowni w Wieżkach fabrykację systemem Kutry. Józef Moszczeński studjował cukrownictwo w Arras, w sławnej fabryce pana Crespel, a po powrocie założył w Ryżawce fabrykę przed 1830 rokiem, a zatem i ta starszą była od fabryk hr. Bobrinskiego.

— Zabiliście mnie, Stefanie Michajłowiczu! — zaśmiał się pułkownik przyjaźnie. — Nie śmiem z wami polemizować, bo widzę, że istotnie kuci jesteście na cztery nogi!

— To nie koniec! — zapewniał Rożański gorąco. — Na Podolu, Mieczysław Komar założył w roku 1836, po powrocie z Francji, dwie po europejsku urządzone cukrownie, w Żwańcu i w Kuryłowcach. Przykład okazał się zaraźliwym i w krótkim czasie powstał tu cały szereg fabryk cukru: w Babinie u Wincentego Bukara, w Bałakirach u Jana Jaworskiego, w Kotłubajowcach u Jerzego Górskiego, w Gołdaszówce u Sabbatyna. W ostatniej dobie mieliśmy polskich cukrowni 60, a produkcja ich roczna wyraża się cyfrą 30 milionów pudów, co stanowi 43% ogólnej produkcji, w przeliczeniu zaś na pieniądze po 4 ruble i pół wraz z „akcyzą“¹⁾ — wynosi 135 milionów rubli i to przedwojennych, mających swój ekwiwalent w złocie. Czyż nie wspaniałe tempo rozwoju polskiej przedsiębiorczości?!

— Chciałoby się naprawdę kłąć, patrząc na to beztalskie spustoszenie dookoła! — rzucił Gafenko porywczo. — Przecież prócz polskich były tu jeszcze cukrownie rosyjskie, żydowskie, obcokrajowców.

— A niszczone obecnie gorzelnie? Posiadają ich Polacy na Rusi 63% liczby ogólnej, czyli 190, a produkcja roczna 8 i pół milionów wiader — zmienia się w imponującą cyfrę tyluż milionów rubli. A młyny?

¹⁾ Państwowy podatek.

15⁰/₀ młynów handlowych i około 40⁰/₀ — gospodarskich bezwątpienia do Polaków należy. A browary, olejarnie, fabryki bryczek, powozów, sani?! Cegielnie?! A przemysł leśny i papiernictwo, na Wołyniu tak postawione, że te papiernie nie ustępują europejskim, a fabrykacja sztucznych nawozów w Winnicy przez grupę ziemian Polaków zorganizowana, a hodowla zarodowego bydła i koni?! „Związek Hodowlany Podola“ liczy 100 z górą pierwszorzędnych obór i działalnością swą obejmuje trzy ziemie Rusi. Czy dacie wiarę, panowie, że udział polskich gospodarstw w tym względzie wyraża się cyfrą 90⁰/₀ w stosunku do wszystkich obór krajowych? Jeszcze jest produkcja mięsna, a głównym naszym rynkiem zbytu były miasta polskie: Warszawa, Łódź, Sosnowiec, Wilno. Wreszcie — imponująca wręcz wartość polskiej produkcji rolnej, zbóż, kukurydzy, buraków, kartofli i wszelkich nasion — buraków cukrowych przeważnie — stanowiąca około 350 milionów rubli rocznie. Zapomniałem jeszcze o jedynem, wielkiem przedsiębiorstwie kopalnianem w Gniewaniu. Eksploatacja granitów należy tam do Jaroszyńskich i przez nich jest prowadzona. Inne kopalnie, choć jest ich około 1000, bo mamy marmur, piaskowce, wapniaki, kredę, w dorzeczu zaś Dniestru — fosforyty, prowadzone są pierwotnie i dużo przyczyn na to się składa. Parę cyfr tylko dodam i skończę. Zaludnienie po wsiach tworzą Rusini, z tak przygniatającą przewagą, że jest ich 95⁰/₀. Nikt już teraz nie dojdzie, ilu wśród nich zruszczonych, przechrzczonych Polaków! Na Po-

dolu przedstawia się jednak ten procentowy stosunek o wiele korzystniej dla elementu polskiego. Żydzi przeważają absolutnie w małych miastach. W większych zaś miastach zawodowa inteligencja polska gra znów wybitną rolę, stanowiąc 30% mieszkańców. Skoro przytoczone przeze mnie cyfry polskiej wytwórczości w każdym kierunku dają tak wspaniałą naprawdę obraz ich prac i rzutkości, to musicie, panowie, przyznać bezstronnie, że pomimo mniejszości — Polacy są tu głównym motorem życia gospodarczego, przemysłowego i społecznego. Najpoczytniejsze miejsce w przemyśle Rusi zajęły bezpośrednio z ziemią i z produkcją rolną związane: cukrownictwo, gorzelnictwo i młynarstwo. Dlatego to przemysł fabryczny umieścił się nie w centrach miejskich, ale po wsiach, chociaż tam była Polaków — właścicieli, dzierżawców, rządców, pracowników rolnych, nawet po rosyjskich majątkach — znikoma ilość wobec masy ruskiego żywiołu. Skończyłem.

— Wyborny ustrój społeczny, kiedy wywołuje taki żywiołowy protest — Kaszczuk powiódł ręką w stronę dalekich łun. — Nasza partyjna „platforma“ chciałaby wszystkich na sobie pomieścić, aby pojęcie nienawiści klasowej raz na zawsze zniknęło!

— Przestań, Władimir! Znam tę piosenkę namięć! Ogólne postrzyżyny, płótnianka, łapcie i marsz! każdy za pługiem z książką w rękę! Ani na krok szybciej lub zwinniej od całej gromady! Pod sznur, bracia, pod sznur. Nuda! Przeklęta nuda! I gdzieżbyście wy, socjal-rewolucjoniści, znaleźli miejsce w ta-

kiem państwie szarzyzny na piękno, na rozmach geniuszu, albo chociażby na wyrzut tęgich ramion dobrego pływaka, który raz, dwa — odsadzi się nagle od wlokącej się za nim ciżby niemrawych?! I cóżbyście poczęli, gdyby ktoś raptem ośmielił się wyróść ponad przepisaną dla wszystkich miarę?! Obciąć go po kolana! Ano, hej! Wlecz się teraz, kulasie!

Takie młodzieńcze junactwo biło ze słów Gafenki, a głos jego taki był świeży i melodyjny, że niepodobna było nań się rozgniewać i Kaszczuk poprzestał na rzuceniu łaskawym tonem:

— Poeto! — poczem zamknął się w głębszem od słów milczeniu.

— Nie! — powiedział Rożański, nie do Gafenki, lecz do Kaszczuka raczej: — Tu nie było wyzysku, ani prawdziwej nędzy. Żyło się wszystkim dobrze w tym cudnym kraju. Tylko agitacja znalazła swój żer: namiętność chłopca do ziemi. Należało już dawno przeprowadzić częściową przynajmniej reformę rolną. Wszystkiegooby tego nie było, bo przecież i żołnierz — to chłop. Ten uzbrojony grozi zuchwale i głośno: — Broni do ręki nie oddam, dopóki sam czegoś nie zyskam! — A tamten drugi, po wsiach, objawia niemniej groźną swą wolę: — Wpierw ziemia! A potem dopiero ucucie, jak z niej ciągnąć większe korzyści! 1)

— I ja powiem: Nie! Mylicie się wszyscy trzej! —

1) Autentyczne słowa żołnierskich i chłopskich tłumów.

słowa pułkownika szły wolno, jakgdyby kierowane wyteżoną myślą przeciw dotychczasowemu prądowi. — Nie! To nie jest sedno całej tej wyolbrzymionej sprawy. Rewolucja podobna do trzęsienia ziemi: znikły jedne zarysy, powstały znienacka nowe. Otwarły mi się oczy i widzę jasno to, czego dawniej nie dostrzegałem w spokojnej ciasnocie mego pola spostrzegawczości. Dopóki my, klasy przodujące, nie obudzimy w tej czerni poczucia praw i obowiązków człowieka, — dopóty świat będzie uśpionym, lub naprzemian — rozplómonionym wulkanem. Płomienie już są. Niedługo przyjdzie się czekać na lawę, a potem — popioły!

— A jednak mieliśmy tu działaczy społecznych, choć ja do nich nigdy nie należałem. Ciągnęli mię wprawdzie tu i tam, ale odpowiadałem zawsze jednako: — Oto moje pole działania! — i wskazywałem ogrodową nieledwie kulturę szamrajowieckich łąnów. Dostawałem za swoje! No! jedni jechali na mnie za moje ukrainofilstwo: — Morze ma brzegi! Musi je wzmocnić. Zgadzasz się na to, czy nie?! — Zgadzam się, dajcie mi spokój! — Więc i każde państwo ma kresy, gdzie musi być ludność mieszana! Uważaj tedy: Francja ma taki graniczny pas z Hiszpanją, a Włochy z Austrią, a Polska z Rusią! Trzeba swych brzegów bronić i basta, bo jak nas morze zaleje, to i ty w Szamrajówce utoniesz! Chcesz tego, czy nie?! Ano, jeśli nie — to dawaj pieniądze na szkoły polskie! — Bo trzeba wam wiedzieć, panowie, że tajna oświata ludowa polska krzewiła się

tu nawet silnie w przeróżnych miejscach. Ale to was, oczywiście, mało zajmuje.

— Ależ i owszem — uprzejmie zaprzeczyli słuchacze.

— Inni zato działacze twierdzili, że lichym jestem ukrainofilem, skoro nie zakładam u siebie jakiegoś towarzystwa kredytowego z kredytem meljoracyjnym, jak to zrobił w swych Winnikowcach, zaprzyjaźniony z całą naszą rodziną Stanisław Stempowski. Odpowiadałem na to stanowczo: — Mój bank kredytowy — to moja kasa. Biorą z niej chłopci pieniądze bez żadnego procentu, a potem odrabiają mi je na przerywce buraków albo we żniwa i mamy spokój: oni i ja. Wozili mnie z Joachimem Wołoszynowskim po zakładanych przezeń kooperatywach chłopskich. Chwaliłem. — Dobre to, ale nie możemy być wszyscy działaczami, bo nasze gospodarstwa w słup pójdą, a naród bez ziemi co wart?! Wy sobie działajcie, a ja lubię godzinami przy pługach orzących chodzić, aby mi brózdy kładły się jedna za drugą, bo i orka — orce nierówna!

— To bardzo ciekawe. Opowiedzcież nam o tej pracy nad chłopem ruskim więcej szczegółowo — zainteresował się szczerze Kaszczyk.

— Dobrze. To było tak. W sekcji polepszenia drobnej własności przy Towarzystwie Rolniczem w Winnicy, którego pierwszym prezesem był Tadeusz Grocholski ze Strzyżawki, zebrało się kilku ludzi, jak Wołoszynowski, Adam Sobański, Stempowski, mój brat stryjeczny Piotr Rożański i postanowili za-

kładać, pozwolone dopiero po roku 1906, kooperatywy dla włościan miejscowych. Z ministerstwa rolnictwa dostali zapomogę, były prócz tego udziały chłopskie, a Bank Państwowy dodawał tyleż. Potworzyły się duże centrale towarów, które finansował następnie Sojuz-Bank, oczywiście na długo przed rewolucją. Wołoszynowski założył takich kooperatyw na całym Podolu do 116, a znaczenie miały one nie tylko ekonomiczne, ale ideowi ukraińcy szli do nich, aby stykać się z chłopem. Przy Ziemstwie były kursy dla kierowników kooperatyw i tak wyrabiały się młode siły, a duch wśród nich był bardzo, podobno, piękny. Joachim Wołoszynowski, człowiek wierzący, gorący patrijota polski i szczerzy demokrat — wydawał jeszcze pisemko w języku ruskim, uważane powszechnie za klasyczny jego wzór. „Switowa Zirnycia“ jednak była pismem deficytowem, a deficyt ten pokrywali polscy ziemianie, przeważnie zaś Tomasz Michałowski. Wołoszynowski niewielką miał częśćkę i dworek w Serbach, znał doskonale stolarkę, oddawał się chętnie pracy fizycznej, a z chłopem rozmawiał z prostotą i życzliwością, jak równy z równym, co nie przeszkadzało mu wcale być członkiem Kijowskiego Gubernjalnego Zarządu Ziemskiego. Stanisław Stempowski założył u siebie, prócz dwóch kooperatyw, owo Towarzystwo Kredytowe. Rada wybrana składała się z delegatów różnych wsi — był i zarząd, a kierownikiem został uproszony przez wszystkich Stempowski. Natura kredytu — meljoracyjna, a według statutu, jeśli pożyczający pieniądze chłop,

oszukał instytucję, podając nadmiernie oszacowane swe mienie, albo wykręcał się od zapłacenia sumien- nego w terminie, to wykluczano go raz na zawsze z grona członków, co, oczywiście działało umoralnia- jąco na ogół chłopski. Taka robota zbliżała właściciela z gromadą — temu nie przeczę, ale — w Szam- rajówce towarzystwa takiego nie było, a jednak mie- liście panowie dowód tej nocy przywiązania do mnie gromady.

— Nie gromady! — zakrzyknął Kaszczuk — ale kilku wybranych, zacnych ludzi! Stefanie Michajło- wiczu! Pozwólcie powiedzieć sobie rzetelną prawdę; gładziliście waszych chłopów pod włos — byliście dla nich sprawiedliwi i dobrzy — tak. Ale tamci, interesujący działacze byli na jedynej, prawdziwej drodze! Tamci dobierali się do wnętrza serc, do pod- stawy charakterów i tamci, gdyby mieli czas — mo- gli byli kiedyś zwyciężyć! Rewolucja pobije wam te szkła, przez które patrzyliście fałszywie na świat, przeznaczony jakoby w krzywym zwierciadle i wtedy powiecie sobie:

— Ten es-er zwarjowany — miał słusność wsze- lako!

— Byłem przecież prezesem Rewolucyjnego Ko- mitetu — bronił się żywo Rożański. — Uległem na- mowom i prośbom chłopów, jedyny raz w życiu wy- szedłem na tę arenę społeczną i co?! Przekląłem powielokrotnie tę chwilę, kiedym na to się zgodził!

— Nie wporę! — rzekli jakby jednym głosem trzech oficerowie.

— Nie mówmy o tem! Samo wspomnienie tego wstrętnego chaosu działa na mnie jak czerwona płachta na hiszpańskiego byka! Lepiej zgódźcie się ze mną, panowie, że nasi Polacy na Rusi dają tu w tej lub innej formie myśl swoją i pracę. Tem właśnie się różnią od przedstawionych tak po mistrzowsku przez pułkownika naszego — kulturalnych i delikatnych, wykształconych i muzykalnych jego krewnych i goszczących u nich „petersburszczanów.“ Nawet niektórzy Rosjanie oddawali nam sprawiedliwość w tym względzie. Żywo staje mi w tej chwili w pamięci niejednokrotnie cytowany przez ojca mego list gubernatora wołyńskiego von Wahla do ziemiannina z Wołynia, pana Zygmunta Luba-Radziwińskiego, historyka, heraldyka i członka Akademii Umiejętności w Krakowie. Zapraszając go do wzięcia udziału w wystawie starożytności w Moskwie w 1889 roku, tak się wyraził:

— Pański w niej udział wykaże całą różnicę, istniejącą między właścicielami z dziada, pradziada, Wołynia — nie żałującymi trudów, ani kosztów dla zebrania dawnych jego pamiątek, a temi napływowemi elementami, które tylko troszczą się o wyciągnięcie materialnych korzyści z jego historycznej gleby.

— I to von Wahl miał taki napad szczerości? To wprost nie do wiary! — zaśmiał się pułkownik Wielikoborski.

— Pan Zygmunt był przyjacielem mego ojca, a pochodziło to z czasów uniwersyteckich studjów w Kijowie, kiedy jeden należał do „Gminy Wołyńskiej“,

drugi zaś do „Gminy Podolskiej“, przyczem obaj brali czynny udział w życiu koleżeńskim w latach 1861—62. Ojciec mój przeciwny był powstaniu — stał bowiem na gruncie „trzeźwości ekonomicznej“ i utrzymania w rękach wyzutyk z niepodległości Polaków ziemi i jakich takich praw do uczestnictwa w pracach nad dobrem tego kraju. Dawał najchętniej dość znaczne sumy na cele narodowe, ale działaczem społecznym nie był, pracował natomiast zawzięcie w Szamrajówce i doprowadził ją do nadzwyczajnej kultury.

— A ten historyk i heraldyk jak sobie urządził życie? — spytał ciekawie Gafenko. — Czy zakopał się w książkach jak mól, czy też stanął do pracy dla ogółu?

— Jego dzieje są również dowodem pożyteczności Polaków w tym kraju. Stał się on czasem opiekunem małoletnich i ich majątków, znanym i cenionym kompromisarzem, był przytem w ciągu lat sześciu jednym z honorowych sędziów pokoju krzemienieckiego okręgu ¹⁾ i prezesem zjazdu sędziów, a gdy

1) Wielka sądowa reforma w Rosji a właściwie jej ustawa 1864 roku powołała do życia instytucję wybieralnych sędziów pokoju z pośród ludzi na zaufanie wyborców zasługujących. Zastosowanie praw wyjątkowych do ludności polskiej po 1863 roku pozbawiło ją praw wyborczych tak czynnych, jak biernych. Dopiero w roku 1878 na przedstawienie woł. gub. prokuratora Szopena do Min. Spraw. zdecydowano się na zrobienie wyłomu w dotychczasowych prawach, dopuszczając do objęcia kilkunastu krzeseł honorowych sędziowskich na Wołyniu, Podolu, Ukrainie, ziemian polskich, nie z wyborów wszelako, lecz z nominacji. Wyszli wówczas z tej „sui generis“ urny wyborczej następu-

w roku 1885 ustępował z tego stanowiska, żegnali go sędziowie-Rosjanie, dziękując za „wysoce moralne i gorliwe zajmowanie się sprawami zjazdu“ — uznawali i współpowietnicy, Polacy, że trwał w tej honorowej, drażliwej roli, „nic z siebie nie uroniwszy“. — Później był kierownikiem wydawnictwa archiwum ks. Sanguszków w Sławucie i współpracownikiem Ossolineum we Lwowie, pisząc i prowadząc najmilejsze dlań historyczne badania.

— Więc pozostawił po sobie ślad niezatarty. To powinno być celem każdego myślącego człowieka! — oświadczył Gafenko z zapalem.

— Z pewnością. Każdy jednak inaczej to swoje zadanie pojmuje. Nie bierzcie mi zatem za złe, moi panowie, gdy skonstatuję fakt, iż Rosjanie przychodzą przeważnie w te strony „do gotowego“, bez pracy, tak jak carowa Katarzyna zabrała, korzystając ze słabości Polski, te bogate, uprawne, rodzące ziemie kresowe, nie przykładając do ich kwitnącego stanu pracy i wysiłków swego narodu. Przyszają, że na rozwój przemysłu wpływało również otoczenie go

jący sędziowie z Wołynia: H. Stecki, Z. Pruszyński, Moczulski, hr. Wł. Grocholski, Wł. Jamont, ks. St. Lubomirski, L. Kossowski, hr. St. Czapski, F. Dunin-Karwicki, L. Młodziejowski, ks. Roman Sanguszko, A. Jodko-Narkiewicz, hr. Wł. Chodkiewicz, J. Dunin-Karwicki, hr. Tarnowski, Z. Luba-Radzimiński, T. Kossowski, J. Siemiątkowski, hr. Potocki Antoni. W tym samym „prikazie“ ministra sprawiedliwości z 1878 roku wymienieni zostali jako honorowi sędziowie Polacy: z gub. kijowskiej — B. Skirgiełło, ks. R. Gedroń, M. Wiszniewski, N. Wierzbicki, oraz na Podole z pow. lityńskiego — H. Kielkiewicz.

opieką rządu rosyjskiego, zapewniającą protekcję produkcji wewnętrznej i budowę wielu nowych linii kolejowych, ale i wy, moi panowie, zechciejcie mi przyznać, że oprócz Rusinów i my, Polacy, mamy odwieczne prawo do pracy w tym kraju i do pozostania tu, na tej ziemi!

— Nowe zupełnie rzeczy nam powiedzieliście, Stefanie Michajłowiczu — zawyrokował Kaszczuk. — Prawa wy swoje macie, bezwątpienia, tylko czort wie, kiedy w tem władztwie bezprawia upomnieć się o nie będzie wozmożno!

— Żaden Europejczyk tego wrzenia w rosyjskim kotle nie pojmie! — dorzucił pułkownik. — Bolszewizm wszędzie górą i przyszła chwila, kiedy zdziwała czerń chce wszystko zmieść, co stoi na drodze do jej pożądań! Nie czas na dzielenie futra z niedźwiedzia, gdy niedźwiedź ryczy i pazurami tę ziemię drze!... Jeśli zaciekawia was to, panowie, mogę wam opowiedzieć przebieg bolszewickiego przewrotu i ujęcia przez „maksymalistów“ władzy ostatecznie w swe ręce. Byłem wówczas w Petrogradzie, u źródła, więc sprawę tę znam dokładnie.

— Słuchamy z wyteżoną uwagą każdego waszego słowa, pułkowniku, tem bardziej, że do Lityna mamy z Szamrajówki czterdzieści wiorst do przebycia. Czasu jest dość, a im się mniej myśli o własnej niedoli — tem lepiej (pomimo to Różański westchnął nieznacznie)!

Pułkownik owinał się szczelniej kożuchem, ręce na kolanach skrzyżował, w długie, ciepłe rękawy głę-

boko zasunął i tak, przeciw pociągającemu z jego strony ostremu wiatrowi gruntownie zaopatrzony, swe opowiadanie rozpoczął:

— Wybuch 25 października tego roku był równie niespodziewany, jak poprzedni bolszewicki zamach w dniu 3 lipca, z tą wszelako różnicą, że wywrotowe siły zdobyły się teraz na bardziej skoncentrowaną działalność, a Kiereński stracił już był podówczas swój fenomenalny przedtem wpływ, wobec czego zamierzony przewrót osiągnął swój cel.

Jeszcze z rana, dnia tego, spokój stolicy nie był niczem zamaçony — dopiero po południu, około piątej wieczorem, tłumy wyległy na ulice, tamując ruch wszelki dorożek i tramwajów. Mosty przez kanały i Newę, łączące rozmaite części miasta, zostały przez spiskowców „rozwiedzione“¹⁾ zapomocą specyficznych, dawnych urządzeń, aby w ten sposób unieвозмоwić połączenie się wiernych Rządowi Tymczasowemu oddziałów wojska. Walki na ulicach trwały do późnej nocy. Nad ranem zaś zapanował względny spokój. Zdawałoby się na pierwszy rzut oka, iż wszystko powróciło do normalnego stanu rzeczy...

Tymczasem — po południu — grzmot wystrzałów i charkot dział obwieścił mieszkańcom zatrwożonego. Petrogradu, że walka została na nowo podjęta, łącznie tym razem z uporczywym bombardowaniem przez wojenny statek „Aurora“ — Zimowego pałacu, gdzie się w owej chwili odbywało posiedzenie Rady Mi-

1) Podniesione.

nistrów. Boje trwały dni kilka i zakończyły się definitywnym zwycięstwem bolszewickiej partji. Teraz Kiereński, jak ongi Lenin, ukrywać się musiał przed swymi politycznymi przeciwnikami — wreszcie w przebraniu, przy pomocy oddanych mu ludzi, dostał się do Finlandji. Może w tej ułatwionej, bezwątpienia, ucieczce — zawierał się rewanż uprzejmości ze strony Lenina.

Tak został opanowany przez bolszewików Petrograd i rozpoczęła się orgja zwycięzców nad zwyciężonymi, w której teror jest prawem, a żaden mieszkaniec nie może być pewien swego życia i mienia. Nowy „rząd proletariatu“ obrał sobie jako siedzibę opustoszały Instytut Smolny, gdzie się lat tyle wychowywały poprzednio całe pokolenia młodych dziewcząt z najpierwszych rosyjskich rodów w tradycjach dworskości i samodzierżawia. Co dalej będzie i do czego ta nowa faza rewolucji rosyjskiej doprowadzi, trudno, oczywiście, przewidzieć. W każdym razie już dziś można stwierdzić z najzupełniejszą pewnością, że ani jedna partja w Rosji nie potrafiła tak przeniknąć psychologii ciemnych, nieprzeliczonych mas, jak bolszewicka. Zawdzięczając temu, mają oni teraz w swem ręku tłum, który na nieobjętych przestrzeniach małokulturalnej Rosji jest jedynym decydującym żywiołem i, jak wyostrzonym, a poddającym się ich woli mieczem, będą nim cięli i poskramiali każde, grożące trwałości ich władzy, z jakiegokolwiek bądź strony wznoszące się niebezpieczeństwo. Kim jest właściwie ich przewodca i bóg partyjny — Le-

nin?! Fanatyk — li to idei, czyli też demon zniszczenia?!... Dwoistość duszy rosyjskiej również się zeń wyłania. Byłem w przebraniu — gdyż oficerowi praworządowego rządu nie godziło się tego otwarcie słuchać — pod balkonem pałacyku Krzezińskiej i przysłuchiwałem się wraz z roznamiętnionym tłumem wygłaszanej przez niego obronie komunistycznych teoryj.

Ten człowiek — to magnetyzer, umiejący podobnie jak fakir narzucić zaciekawionej gromadzie — widmo nieistniejącego obrazu. Nawet gruby materjalizm plebsu ulegał fosforyzującej z mówcy sile jego wewnętrznych przekonań, widząc jakby na jawie cudowny ten obraz błogosławionego przez wszystkich ustroju, w którym dość było urodzić się, albo tylko żyć, by zostać najniezawodniej — szczęśliwym. Czy uwierzycie, moi panowie, że nawet ja, tradycyjnie z innej sfery społecznej i z innych biegunowo pojęć wyrosły — złapałem siebie na mimowiednej myśli: „Ależ to byłby raj!“, podczas, gdy wokoło mnie, jakby wkopany w ziemię, tłum pochłaniał z milczącym upojeniem te targające trzewiami, jak huragan niosące się słowa. I po tych przepięknych istotnie obrazach wzajemnej miłości, sprawiedliwości najczystszej, wruszającego hołdu dla istnienia człowieka — jakże wytłumaczyć i usprawiedliwić można następujące po nich, jak piorun huczące, z piekiel chyba powstałe hasła: — Bierzcie! To wszystko — wasze! A jeśli „tamci“ będą się wam opierali, — przez morze krwi dojdziemy do celu!

— Wspaniale to wyjaśnacie, panie pułkowniku! — zakrzyknął z uniesieniem zapalczywy Kaszczuk. — Rzucacie w samej rzeczy przenikliwy snop światła na ostatnie zwickłane wypadki!

— Teraz, moi panowie, przejdę do moich osobistych wydarzeń li tylko z tego powodu, iż służyć one mogą jako jaskrawa ilustracja do ogólnego ła. Przedewszystkiem — dlaczego żyję dotychczas?... Nie dziwcie się takiemu postawieniu kwestji. Pochodzę bowiem ze starej rodziny rosyjskiej, wychowywałem się w petrogradzkim Aleksandrowskim Liceum, gdzie uczęszczają tylko synowie arystokracji, bywałem na dworskich przyjęciach, a żona moja — księżniczka Urusow z domu. Dość chyba przyczyn nato, aby takiego z krwi i kości „burżuaz“ miecz rewolucji posiekał na drobne kawałki! Istotnie — byłem skazany na śmierć. Tymczasem, co mnie uratowało?! Nie zgadlibyście nigdy, panowie! Oto ostatnia, za cesarskich czasów, niedbale przyrządzona dla moich żołnierzy wieczerza! Choć ostry i wymagający względem podwładnych, dbałem zawsze o zdrowe i smaczne dla nich pożywienie. Poprostu jakiś niepohamowany, wściekły gniew mię ogarniał, gdy m spostrzegł kiedy, że na żołądku i sile rosyjskiego „sołdatika“, który tak pokornie kładł się pokotem na polu bitwy, skoro tego wymagała polityka Rosji, żeby na jego zdrowiu — dostawca, lub ktoś z intendury robił majątek! Przyjeżdżałem często zniecka do koszar i kazałem sobie podawać miskę z sołdackiem jedzeniem, kontrolując co dni kilka

świeżość i dobroć zapasów. Otóż — w przeddzień wybuchu zamieszek marcowych, które doprowadziły do tragicznej abdykacji cara, wpadłem z teatru późnym wieczorem do koszar. Już przy wejściu uderzył mnie wstrętny odór. Trzaskając po drodze wszystkimi drzwiami, tak aż koszary się trzęsły, wkroczyłem z pasją do kuchni. Leżał tam jeszcze kawał cuchnącej słoniny — wily się w niej robaki. — Jak śmiałeś, bydlę, gotować taką zgniliznę! — Żołnierz, warzący dla pułku strawę, drżał w moich rękach — zdaje się tłukłem nim o ścianę, bo kiedy owładnie mną gniew, tracę świadomość, a mocny jestem jak olbrzym. Na drugi dzień z rana urządziłem piekielną awanturę dostawcy, a żołnierze w koszarach tak za mną oczami wodzili, gdym do nich spokojny już przyszedł, jak pies za swym panem.

Owoż, kiedy po ostatnim, bolszewickim przewrocie jakaś żołniersko-robotnicza rada na śmierć mię skazała, zaprotestowała przeciw temu część mego pułku burzliwie. To pobicie wówczas głupiego warzykrupy i złajanie oszusta-dostawcy stały się „istotnie rewolucyjno-diejałecznoścju“,¹⁾ a żeby z oczu krwawym tygrysom zszedł — umysłili moi żołnierze wysłać mnie po wagon cukru do południowo-zachodniego kraju i z odpowiedniami papierami, „orderami“ (nakaz) i dokumentem bolszewickim sami na dworzec mnie odwieźli i do wagonu wsadzili. Tak więc — jestem obecnie „krasnym komandirem“ mego daw-

1) Prawdziwie rewolucyjna działalność.

nego pułku. W Kijowie spotkałem dobrego, petrogradzkiego znajomego, rotmistrza Kunickiego, który bardzo mi was, Stefanie Michajłowiczu, chwalił i wasz dom, jako oparcie chwilowe polecił. Stąd miałem właśnie do różnych fabryk pojechać i zamówienie pułkowe wykonać, gdy smiertonosnyje zbawcy Rosji plany moje radykalnie zmienili.

— To dziwne jednak, jak dobro, kiedykolwiek przez nas uczynione, powraca na nasze głowy. Rzekłbyś — odbija się o jakąś niewidzialną ścianę w przestrzeni — skonstatował z zadumą Gafenko.

— Ty — bo, Kola, mistyk jesteś „pierwoklasnyj!“ — rzucił się niecierpliwie Kaszczuk. — Powiedzże, jeśli łaska, za jakież to dobro tłuczemy się teraz po nocy?! A przyznasz sam, że my z twoim starszym bratem za czasów studenckich dość dla tej przyszej rewolucji sił młodych, zapału i zdrowia stracili! Szaleńcy! Po więzieniach za to nieraz miesiącami przychodziło gnąć! Na uniwersytecie w Kijowie dopiero robota szła. Do eserów całą paczką my należeli — partyjne rozkazy ściśle wykonywali: W lud iść, „podpolną“ agitację prowadzić, uświadamiać, aż nim jak dźwignią, pod carski tron podłożywszy — dynastję i carat dla jegoż „błaga“ (szczęścia) zwalimy. A teraz co?! Boję się strasznie, że przyjść może chwila, kiedy my wszyscy tych dawnych, świętych wysiłków żałować będziemy!

— Możebne — przyznał Gafenko. — Ja już nieraz zamyślałem się, patrząc na to rozpadanie się frontu, na to zezwierżenie żołnierza, na idjockie wdepty-

wanie w ziemię pracy i starań ludzkich, co powiedziałby na to wszystko nieodżałowanej pamięci lejtenant Szmit?! Czy nie załamałby z rozpaczą rąk?! Czy nie zasłoniłby sobie z boleścią oczu, tych oczu, które spoglądały bez trwogi na lufy wymierzonych doń w chwili rozstrzału karabinów?! Jakżeś odmienna, rzeczywistości, od ideowych programów i marzeń?!

— Ja myślę, że i dekabryści nie poznaliby „wolnej Rosji“ w tym szale dzikości, jaki ją opętał! — zgodził się z młodzieńcem Wielikoborskij.

— Czy wiecie, panowie, jakie były ostatnie chwile lejtenant Szmita? — zapytał z pewną melancholją w głosie Gafenko. — Nie?... Więc posłuchajcie. Zawdzięczam te szczegóły memu kuzynowi, monarchiście z przekonania, który dowodził oddziałem, przeznaczonym do rozstrzelania „buntownika“ na odludnej wysepce Berezań, koło Oczakowa. Możecie sobie wystawić, jak bardzo „niesokruszimy“ (niezłomnych) żołnierzy posłano tam, a jednak, snadź i im niezbyt ufano, kiedy trzy szeregi wojsk, ustawione jedne za drugimi, stały na wysepce owego ranka przed słupami skazańców. Pierwsi — marynarze z „Uralca“ — za nimi uzbrojona piechota, a dalej — artylerzyści z karabinami. Rząd obawiał się najwidoczniej jakiegoś nowego buntu. Wyprowadzono lejtenant z czterema najwinniejszymi marynarzami. Wszyscy mieli być rozstrzelani za zdradę stanu. Chciano przywiązać Szmita do słupa, ale się wzbraniał, zaręczając, że będzie stał spokojnie. Odrzucił chustkę, jaką wedle zwyczaju osłaniają oczy

skazańcom, i zawołał mocnym, entuzjastycznym głosem: — Dla ciebie ginę, Rosjo! Pamiętaj, narodzie! — Mój kuzyn — szablą przeciął ku dołowi powietrze, na znak egzekucji. Mówił mi potem, że tak wstrząsające wrażenie zrobiła na nim fanatyczna wiara, bijąca od tego straceńca, że głos uwiązłby mu z pewnością w gardle i rad był z humanitarnego zwyczaju, by wobec zawiązanych oczu skazańców — niemym gestem położył kres ich życiu.

Huknęły wystrzały — runął na ziemię, skoszony przez śmierć, przeciwnik caratu — ideowiec najczystszej wody, a w oczach żołnierzy, wkładających do trumien ciepłe jeszcze zwłoki, widniała tajona myśl: — Jakby tam nie było, a „gieroj to jest nastojaszczij!“¹⁾ I czy podobna, aby ludzie takiej miary, jak ów, legendarny już teraz bohater, nie przewidzieli chaosu, w jaki zapadnie oswobodzona od Romanowych Rosja?!

— A słynna „babka rewolucji“ — Breszko-Breszkowskaja?! — rzekł z ironją pułkownik. — Z Syberji ją sprowadzili, z honorami, jak dawniej panującego nieledwie witali, w Zimowym pałacu posadzili, a teraz — w Kijowie po drodze od kogoś słyshałem, że albo uciekła z Petrogradu, albo też skryć się chce, bo w strachu jest wielkim, aby jej za „kontrrewolucjonistkę“ nie ogłoszono i konsekwencyj z tego niemiłych nie wyciągnięto! Mówię wam, panowie, łzy i śmiech naprzemianę, ale łzy jak żółć gorzkie, a śmiech — krwawy śmiech.

¹⁾ Bohater to jest rzeczywisty.

Tymczasem czarność nocy bladła powoli, jakgdyby białe tony zbliżającego się dnia, rozjaśniały jej uporczywe cienie. Na horyzoncie zamajaczyły dość już wyraźnie rozciągnięte kontury jakiejś wsi.

Rożański wpatrzył się w nie uważnie:

— To Bahrynowce, rozparcelowana wieś — zwrócił się do woźnicy: — Bierz się na prawo, Łukjan, i znowu — hajda! polami i suhołowkami przed siebie. Mamy jeszcze około piętnastu wiorst do Lityna, a od ludzkich osiedli uciekać nam trzeba. Sprawiedliwie Aleksander powiedział: „Jak od cholery!“ Zaraza w nich naprawdę zabójcza, choć nie od kurczów żołądka się mrze! A pamiętaj dobrze, Łukjan, kogo my z sobą na tym szarabaniu wieziemy! Ich się najzwawiej ta zaraza trująca uczyć może!

Łukjan Danileczuk ściągnął lekko cugle, tak, iż konie poczęły iść stępa, odwrócił się całą postawą na koźle, spojrzął w twarz panu Stefanowi i pułkownikowi, którzy jechali na przednim siedzeniu, i rzekł uroczyście:

— Znaju, proszę pana! To jest, szob ne zbrechaty¹⁾ — nie wiedział ja prawdy do wczora wieczorem i dumał sobie: — To goście panowe — spasaty ich tra!²⁾ — Ale tej nocy tyle ja się ciekawych rzeczy nasłuchał, że jakby kto ślepcowi oczy otworzył! Nie wszystkie ja słowa mógł pojąć — zwyczajnie jak ciemny muzyk — a pro te do śmierci

1) Żeby nie skłamać.

2) Ratować ich trzeba.

pamiętać będę, że „dla narodu“ wy, co tylko mogli robili i krzywdzić żołdatów nie dozwalali i naród biedny lubili i że ten wasz „lijtynan Szmit“ takoz „dla narodu“ krew oddał, ale dla jakiegoś innego, jak ten, co teraz durije! Ja słuchał, słuchał, co wy tylko gadali, jakby wodę świeżą w gorączce pił, a strogo nakazywał sam sobie: — Pylnujsia, Łukjan, szob z dorohi ne zbytysia¹⁾, ta szczasływo wsich dowesty, bo znajesz wże teper dobre, jakich ludej ty ratujesz!

— Brat! — wyrzucił ze wzruszeniem Gafenko, kładąc rękę na ramieniu chłopca. Tamci trzej milczeli, solidaryzując się bez słów z tym wybuchem „mistyka“, odtwarzającym jednak dokładnie ich własny nastrój.

— Hm! hm! — odchrząknął Łukjan grubym głosem i, przełożywszy cugle do lewej dłoni, przykrył prawą rękę młodzika, ściskając ją kilkakrotnie, poczem wrócił do dawnej pozycji na koźle i potrząsnął energicznie, ale bezgłośnie lejcami, kierując konie na boczną, wąską miedzę.

I znowu głęboka cisza jechała razem z nimi na bryce, lecz tym razem nie miała już na sobie czarnej, przepaścistej zasłony nocy beznadziejnego zwątpienia. Przeciwnie — jakiś promienny rąbek nadziei osiągnięcia czasem — w dalekiej przyszłości może — zrealizowania różnych, ale umiłowanych celów, jaśniał niby cieniutka smuga na ciemnej drodze obecnego ich życia.

¹⁾ Nie zbłądzić z drogi.

Listopadowy dzień zamienił już długą noc, niewiele się od niej różniąc w monotonji jednolitej barwy — tam czarność, tu zaś szarzyzna powlekała cały krajobraz, jakby nałożone nań zwarcie, lub też leciuchno, przesłaniające słońce muśliny. Druga i trzecia wieś przesunęły się woddali i zapadły poza kulistość widnokregu. Pusto było wokoło i głucho — nie spotkali dotychczas nikogo na tych ogołoconych po zbiórce jesiennej — polach. Ujechali tak spory znowu szmat drogi.

— ... i wtedy losy Rosji byłyby zupełnie inne! — wymówił napół głośno i niespodziewanie pułkownik, jakgdyby kończąc zadzierzgniętą w cichości myśl.

— Jak powiedzieliście, pułkowniku?! — zdziwili się jego towarzysze.

— Myślałem w tej chwili o młodziutkim następcy tronu... Bywałem dość często przy dworze, na polowaniach w Spale — miałem więc możliwość poznania bliżej rodziny cesarskiej. Cesarzewicz zaciekawiał wszystkich wybitną swą indywidualnością, przytem — może zbyt śmiało to, co powiem — posiadał jakiś, instynktem chyba wyczuty wobec jego chłopięcych lat zmysł państwowy. Naprzykład wiadomo było ogólnie wśród krewnych, że „Aleksiej zaigrywajet“ — kokietuje żołnierzy, jakby przeczuwając, iż tron i dynastia na szarej masie tych ramion wesprzeć się winny, nie lubił natomiast „wysoko-postawionych“ osobistości i dobrze nieraz we znaki im się dawał. Jego poważna twarzyczka rozjaśniała się ujmująco i przyjacielsko, kiedy chwyciwszy pokryjomu z bu-

fetu przyniesione ciastka i przysmaki, wychylał się przez okno carskosielskiego pałacu i wołał do siebie wartującą, żołnierską straż. — Blżej, blżej, bratcy! Podchodźcie śmiało! Nie bójcie się niczego, kiedy ja, — następca tronu, — rozkaz wam daję! Tak... a teraz, — nastawcie ręce... — wysypywał z uciechą cały półmisek wykwintnych smakołyków. — Zajadajcie na zdrowie! Teraz, — widzicie, — nic więcej dla was zrobić nie mogę, ale poczekajcie cierpliwie! Jak będę cesarzem, — wszystkim wam będzie inaczej!

Dla zauszników zaś ojca umiał przeciwnie być złośliwym i ostrym. Zbliżeni do dworu pamiętali długo zajście cesarzewicza z ministrem Izwolskim. Ten ostatni piastował wówczas tekę spraw zagranicznych i cieszył się zaufaniem, a nawet faworami Mikołaja II. Idąc kiedyś przez aleję parku carskosielskiego, dostrzegł wybiegającego z głębi następcę tronu i, zatrzymawszy się, złożył mu głęboki ukłon. Aleksiej, nie skinąwszy nawet głową, wyciągnął rękę w kierunku, kędyś poza ministrem, i rzekł uszczypliwie: — Przedewszystkiem, ekscelencjo, honneur aux dames! Kobietom należy się pierwej szacunek, niż mnie! — Zmieszany dworak oglądnał się szybko i ujrzał tuż za krzewami gromadkę wielkich księżniczek, które z rozbawioną minką i figlarnymi oczami przysłuchiwały się admonicji, wygłaszanej przez brata. Bawili się bowiem wszyscy w cache-cache i cesarzewicz w poszukiwaniu siostr wpadł na niefortunego ministra. Izwolski skłonił się wnet przed księż-

niczkami i, słowa nie mówiąc, poszedł szybko w stronę pałacu. Po drodze jednak ogarnął go gniew. — Za wiele sobie ten „malczik“ pozwala! — myślał ze wzrastającą irytacją. Wszedł do pałacu i, oczywiście, natychmiast wprowadzono go do gabinetu cesarza. — Przyszedłem z „dokładem“¹⁾ do waszej cesarskiej mości, ale obawiam się, że za moją wierną służbę zacznam tu być źle notowanym!

— W czom dieło? — spytał Mikołaj II, wpatrując się przenikliwie w ministra. Spojrzenie jego dziwnie było przejmujące i zdawało się, iż w tym ostatnim z Romanowych — dwóch było ludzi: jeden — nieśmiały, drugi — z wewnątrz wyzieraający — innych onieśmielał, monarszym nimbem w mówiących z nim się wrażał. Nieco już powściągliwiej opowiedział Izwolski całą swą w parku przygodę i powtórzył dokładnie słowa następcy tronu.

— Bojkij u mienia malczik²⁾ — cesarz uśmiechnął się z zadowoleniem i polecił służbowemu adjutantowi zawezwać do gabinetu niesfornego syna.

Po chwili — Aleksiej wbiegł do ojca wesoło, ale, napotkawszy jego surowy wzrok i widząc chmurną twarz siedzącego ministra, pojął, że czeka go niemiła nagana. Cesarz odezwał się nakazująco:

— Aleksiej! Tacy mali chłopcy, jak ty — nie mają prawa pouczać starszych i poważanych ludzi, w jaki sposób mają się zachować! Przeproś natychmiast ekscelencję!

1) Raportem.

2) Zuch chłopiec.

Cesarzewicz zbladł i stał przed ojcem nieruchomy. Wewnętrzny bunt zapalił się w jego oczach.

— Słyszałeś mój rozkaz?! Przepróż natychmiast! — powtórzył cesarz nalegająco. Znany był ogólnie niesłychany upór Mikołaja — musiał go nieraz doświadczyć i ukochany przezeń, domniemany następca, gdyż wyjąkał z przymusem: — Izwiniajuś! — poczem przyłożył po wojskowemu rękę do czoła, zaznaczając tym ruchem, iż tylko jako żołnierz spełnił rozkaz swego dowódcy — i wypadł jak strzała z gabinetu cesarza. Od tego jednak czasu, Aleksiej zniecierpiał Izwolskiego i, skoro go zdala zobaczył, — ostentacyjnie przed nim umykał w przeciwną stronę. Niewielki to wprawdzie incydent, ale przejawia się w nim charakter cesarzewicza, co łącznie z jego wyrażeniami względami dla szerokich warstw „narodu“, gdyby nie było owej fatalnej rewolucji, gdyby — wogóle — następca dożył do chwili wstąpienia na tron, mogło wykręcić sterem Rosji w krańcowo przeciwnym kierunku... Dziś już za późno!... Minuwszije wremiena! Minuwszije ludi!...¹⁾ choć jeszcze żyją!

— Od kolegi, który jest obecnie w Kijowie, dostałem niedawno jeden z ostatnich numerów „Kijewlanina“ — podjął ciekawy temat Kaszczuk. — Otóż od pewnego czasu zaczyna w nim prawicowiec, Szulgin, obecny jego redaktor, uważany dawniej przez nas eserów za „czarnosotienca“ — zaczyna, powiadam, wcale mądrze pisać. W tym właśnie nu-

1) Minione czasy i ludzie.

merze był znakomity naprawdę wstępny artykuł pod tytułem: „Na lewo — zwrot!“ I ani mniej, ani więcej, tylko takie, najlogiczniej umotywowane wywody, że ponieważ Rosja już się toczy z anormalną szybkością w przepaść bolszewizmu, niechże więc nikt tego rozpędu nie hamuje, bo im prędzej przyjdzie ten szalony, niszczyielski, krwawy, a nieunikniony eksperyment — tem rychlej minie! Odrodzeni zaś po tej krwawej kąpieli, Rosjanie — staną się dopiero wtedy wielkim narodem!

— Niewiadomo tylko, skąd ma przyjść to odrodzenie, z dołu, czyli też z góry? — zamyślił się pułkownik. — Raczej z góry — bo rozkładowy wpływ bolszewizmu na szerokie tłumy będzie z pewnością, w znaczeniu ujemnem — długotrwały. Co zaś się nas tyczy, wyższych społecznych warstw, to mam nadzieję, że zdążę jeszcze przedstawić panom zapamiętania mego piętnastoletniego syna na bolszewizm, rewolucję i zachowanie się nasze wogóle.

— Już widać zdala Lityn, ale mamy przed sobą przynajmniej kwadrans jazdy — stwierdził Rożański. — Pośpieszajcie, pułkowniku, bo każde wasze słowo wyjątkowej uwagi warte.

— Wierno! wierno! — przytaknęli z uznaniem oficerowie. — Słuchamy!

— Dziękuję wam, moi panowie, ale sądzę, że w tym wypadku byłem w najszlachetniejszym, demokratycznym znaczeniu „równy wśród równych“, bo każdy z nas niemało interesujących rzeczy przytoczył. Otóż — mówiłem wam już, iż żona moja po-

chodzi z książęcej rodziny, a chociaż mam za sobą szerokie plecy oddanych mi żołnierzy, ale w teraźniejszych czasach te parantele kulą w głowę zapieczętowane być mogą. Przedewszystkiem należy obecnie zatrzeć wszelkie ślady arystokratycznego pochodzenia, bo przecież to walka klas i zemsta za dawne przywileje — osobistość nie gra tu żadnej roli, tylko społeczny stan. Przed wyjazdem więc moim z Petrogradu poszła żona do komisarza odpowiedniego cyркуłu i oznajmiła mu, że zgubiła swój dokument i prosi o wydanie jej nowego, bolszewickiego.

— Kimże jesteście, towarzyszeko? — spytał podejrzliwie komisarz. (Żona moja jest ładna, wytworna, a strój ubogi nie zdołał tego zatrzeć.)

— Córka praczki Anny Awdotjewoj — odparła z aplombem, a stojąca obok niej nasza dawna, przywiązana, od moich dziecięcych lat będąca w naszej rodzinie, Annuszka, potwierdziła te słowa z najspokojniejszą pewnością, podając swój paszport z cesarskich czasów: „Praczka, Anna Awdotjewa, lat 54, wdowa, ma jedną córkę“. (W nawiasie powiem, że córka ta, mężatka, mieszka w naszym majątku, w orłowskiej gubernji, ale ktoby to sprawdzał wobec żółwiego ruchu pociągów i poczt!) Sprawa została tedy załatwiona pomyślnie i moja żona już jako córka praczki i małżonka „krasnawo komandira“ przeniosła się z naszego cudnego, artystycznego, ogromnego mieszkania do dwóch niziutkich komnatek na przedmieściu stolicy, gdzie, jak myślę, niepokojoną nie będzie. Odetchnąłem. Ach, panowie, i w tem leży najgłębszy

tragizm, że ta śmierć bezlitosna, to znęcanie się rozbestwionych katów, grozi naszym najdroższym! Nie umiemy się zdobyć na heroiczną wzniosłość poświęcania dla idei bliskich nam istot! A tak właściwie powinniśmy być! Ja sam, dawniej porywcy i niepohamowany, potrafię się dziś opanować wobec widziadeł krwawego teroru, jakgdyby mi ktoś nałożył raniące wędzidło! Ale powróćmy do historii o moim Juriju — tak się bowiem syn nasz nazywa. Przychodzę z koszar do domu — do domu?!... Niestety, tak muszę nazwać te dwie izdebki, gdzie stoją tylko niezbędne, prostacze sprzęty. Na moje spotkanie wybiega Jurij — twarzyczkę ma rozpaloną, w oczach — żar. — Papa! Chodź prędzej do kuchni, chcę z tobą pomówić. Mama w ostatnim pokoju układa z Annuszką rzeczy, będziemy sami. — Ciągnie mnie za rękę, podniecony niezwykle.

— Papa! Czto tut tworitsia?!¹⁾ Ja wszystko sły-
 szałem, choć się przede mną kryjecie! Mama kłamie
 przed jakimś podłym komisarzem, że jest córką Awdo-
 tjewoj, porzuciliśmy nasze śliczne mieszkanie, nasze
 pamiątki, nasze portrety! Dlaczego?! Czy my to komu
 ukradliśmy?! Dlaczego, papa, wszyscy oficerowie ce-
 sarscy w rozsypce?! Dlaczego wy nie idziecie razem
 na tych bandytów?! Oniby przed wami udrali²⁾ na
 pewno! To mierzkije trusy!³⁾ Ach! dlaczego ja taki
 mały jestem i nic mi nie wolno?! Poszedłbym tam,

1) Co tu się dzieje?

2) Uciekli.

3) To obmierzłe tchórze!

do naszych komnat, na Kamiennoostrowskim, pod portretami usiadł i czekał „na nich“! A jakby przyszli — takbym zajął tym zbirom: — Tak! Ja jestem graf Wielikoborskij i wnuk księżnej Urusow, bo takie jest moje prawo! Wiem, że mnie za to rozstrzelacie, ale ja przedtem wypoliczuję tu zaraz te wasze podłe twarze złodziei, łotrów i dręczycieli cara i mego biednego narodu! Oniby mnie na sztyki „towariszczom“ nanizać kazali, ale nie patrzyłbym na taki straszny wokoło pozór (hańbę)! — zwałił się nagle na stół kuchenny, twarz w ręce wtulił i tak począł łkać, jakby mu wulkan wewnętrzny tę pierś chłapiącą rozsadał. Stałem przy nim jak winowajca. — Nie płacz dziecko, nie płacz! Jeszcze się wszystko ułoży! — On się porwał z nad stołu i płomień w oczach wysuszył mu łyzy! — Ułoży się?!... Papa!... A hańba, pozór? Ty — „krasnyj komandir“!... — Ja to dla was zrobiłem! Dziecko!... Dla was! Dla mamy... — Dla mamy?!... Jabym tak nie mógł, ale chodźmy do niej... Ona biedna, płakała z rana...

— Dobra detyna! — zamamrotał przez zęby wzruszony Danilczuk.

Pułkownik przesunął ręką po oczach, wydarło mu się rozpaczliwe wyznanie:

— Paraliż ducha u jednych — rozuzdanie zwierza u drugich! Oto tragedia, rozszczępiająca Rosję na dwie połowy, bluzgające strumieniem bratniej krwi!

Widać już było wyraźnie pierwsze, niskie domki Lityna, zwykłego podolskiego miasteczka, powstałego z osiedlonej na początku XVI wieku przez ród pol-

ski — Dyakowskich, Litynki, prarodzicielki licznych „majdanów lityńskich“.

— Myślę — zaprojektował Kaszczuk śpiesznie — że lepiej będzie nie wjeżdzać do miasteczka taką gromadą. Ściągniemy na siebie niepotrzebnie uwagę. Wsiądźmy przeto za chwilę — niech każdy idzie w swoją stronę, a nasz szanowny gospodarz, który w razie jakichś komplikacyj mógłby być niepokojony za to, że oficerów wywiózł — sam z Danilczukiem dostanie się do swojej kwartiry.

— Idźcie — pochwalił te słowa pułkownik. — Co do mnie, poproszę was, Stefanie Michajłowiczu, o podwiezienie mnie do zajazdu. Papiery bolszewickie, wobec rewolucyjnego „entuzjazmu“ śmiertonoscew nie okazałyby mi żadnej usługi, bo przecież naleźliby mnie w „burżujskiem gnieździe“ z „staro-reżimnoją swołoczą“, która nie chciała rabować i palić dworu! Zato tu — w tem ustronnem miasteczku — tytuł „krasnego komandira“ wzbudzi pewno odpowiednie uważenie. Zaraz, dziś jeszcze, najmę furę i pojedę do bliższych i dalszych fabryk cukru, aby wykonać dane mi zlecenie i jak najprędzej wrócić do Petrogradu.

— A my mamy zamiar do stacji kolei się dostać, a stamtąd — Kola do matki, zaś ja — do Kijowa. Mój ojciec posiada tam szykarny „Restaurant Kastchuk“, chociaż zapewne wobec przewagi komunistów będziemy zczasem obydwa z „Vaterem“ we własnym lokalu, jako usłużni „czelowieki“¹⁾ pół-

¹⁾ Kelnerzy.

miski krasnogwardiejcom podawali! Czort pobieri!
Zbieraj się, Kola!

— Prrr! Ho! ho! Stójże! — powstrzymał konie
Danilczuk.

Dwaj oficerowie zrzucili z siebie pożyczone świtki
i uścisnęli gorąco ręce Rożańskiego, pułkownika
i odwróconego w ich stronę woźnicy:

— Bolszoje wam spasibo, Stefan Michajłowicz, za
wasz chleb, sól i za waszą prostą serdeczność! Da-
nilczuk, dobryj, wiernyj druh, niech wam Bóg za nas
storieju odda! Żegnajcie! Panie pułkowniku! Cześć
mamy was również pożegnać! Wszystkiego najlep-
szego życzymy! — zeskoczyli z szarabana i, rzu-
ciwszy jeszcze ostatnie przyjacielskie, żalem i wdzięcz-
nością tchnące:

— Proszczajcie, druzia! ¹⁾ — weszli w jedną z boczn-
nych uliczek przedmieścia.

— Nechaj was Boh chranyt! ²⁾ — rzucił im w ślad
pobożne życzenie, wstrząśnięty do głębi przebytą
nocą — stary Łukjan. — Wio, Bakłażany!

— Sławnyje małyje! — zaopiniował z przekona-
niem pułkownik.

— Dużo im zawdzięczam — przyznał Rożański —
bo choć ich pułk „szumiał“ niekiedy, ale bądź co
bądź, lepszym był od tych rozbestwionych gromad
dezertarów, których już nie dopuszczał do rabowania
Szamrajówki, aby jemu samemu wygodniej było.

1) Żegnajcie, przyjaciele!

2) Strzeże.

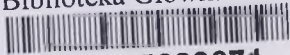
Bryka wjechała na wystający i miejscami żłobiony, nierówny bruk miasteczka. Ryzykowna ucieczka i podróż nocna kończyły się pomyślnie, a ludzie, których dziwaczny zbieg okoliczności związał w tragicznym momencie węzłem braterskości, mieli odtąd kroczyć każdy z osobna po karkołomnych i cierniowych ścieżynach przeorywanej z szaleńczą bezwzględnością kresowej ziemi i całej, chylącej się już wolno pod jarzmo bolszewickiego „eksperymentu” — Rosji.

SPIS ROZDZIAŁÓW

	Str.
Zamiast wstępu	1
1. 18 marca 1917 w Szamrajówce	5
2. Rewolucyjne wybory	18
3. W dal wieków	36
4. Rzut oka wstecz	54
5. Mściciele	77
6. Wstawaj, ludu roboczy!	98
7. Polski lud na Podolu	108
8. Płowskirowszczyzna	135
9. Kijów w wojennych latach	160
10. Zaczątki wojska polskiego	167
11. Kresowy sejm polski	177
12. Pogwary burzy	212
13. Iskry z północy	224
14. Rok 1917	234
15. Ucieczka z własnego domu	269
16. Przełomowa noc	278



Biblioteka Główna UMK



300045283671